

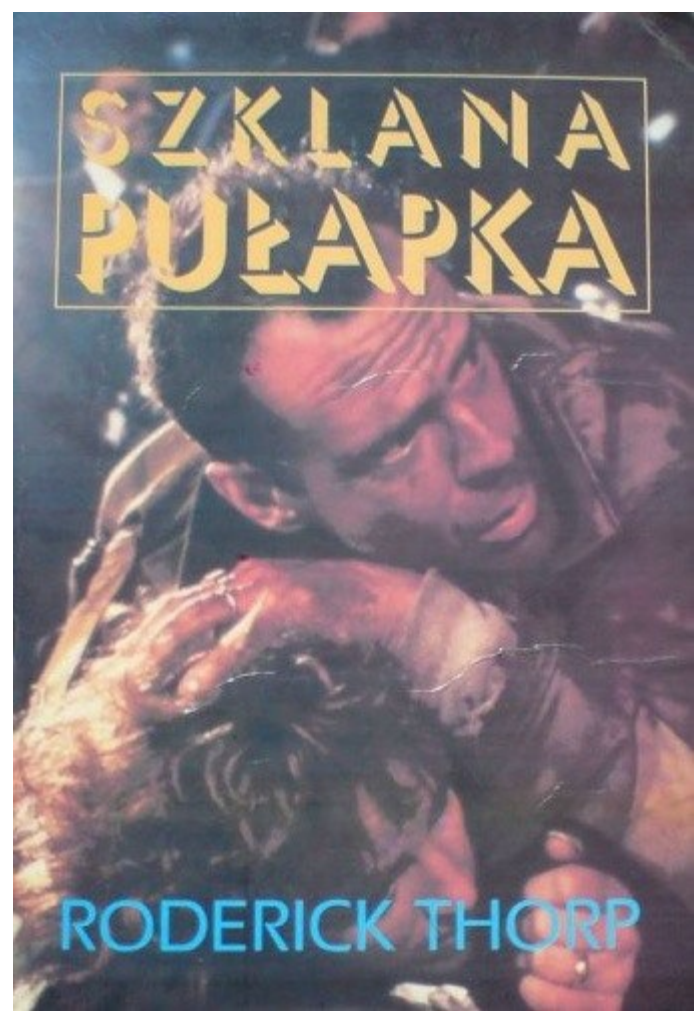
A man with a beard and dark hair, wearing a dark jacket, is shown from the chest up. He is holding a large, hairy, orange creature with long, thin, hair-like appendages. The creature has a textured, almost crystalline appearance. The background is dark and blurry, suggesting an indoor setting with some lights.

SZKLANA PUŁAPKA

RODERICK THORP

SZKLANA PUŁAPKA

RODERICK THORP



RODERICK THORP

Szklana Pułapka

(Przekład : Artur Leszczewski)

ROZDZIAŁ 1

24 grudnia, godzina 15.49, wg czasu strefy środkowoamerykańskiej

- Nie rozumiem jednej rzeczy - taksówkarz starał się przekrzyknąć rytmiczny stukot wycieraczek - co powoduje, że człowiekowi przychodzi do głowy myśl, aby okaleczyć kogoś w ten sposób?

Kiedy dla podkreślenia swoich słów odwrócił się do pasażera, biały furgon, jadący trzydzieści stóp przed nimi, nagle zahamował, ślizgając się w nagromadzonym błocie, a jego masywny tył, urastając do rozmiarów olbrzymiego wieloryba, niebezpiecznie się przybliżał.

Joseph Leland, pasażer taksówki, który zastanawiał się nad czymś zupełnie odmiennym, wyrzucił do góry ręce, gdy kierowca wreszcie zareagował, wciskając pedał hamulca i skręcając kierownicę. Taksówka przesunęła się do przodu, wolno obracając się wzdłuż osi, i trzasnęła bokiem w furgonetkę, Leland uderzył czołem w ramę drzwi, zostawiając na niej krwawy ślad.

Naprężył nogi, gotowy na kolejny wstrząs z tyłu, ale żaden nie nastąpił.

- Gówno! - zawołał kierowca, waląc pięścią w kierownicę. - Gówno!

- Wszystko w porządku? - zapytał Leland.

- Tak. - Taksówkarz zobaczył krew na czole Lelanda. - Cholera! Niech to cholera!

- Niech się pan tym nie martwi - Na chusteczce Lelanda pokazała się plama krwi wielkości znaczka pocztowego.

Kierowca był młodym Murzynem o wystających kościach policzkowych i owalnych oczach. On i Leland dyskutowali na temat okrucieństw popełnianych w Afryce. Ciągłe opady śniegu znacznie przedłużyły jazdę z hotelu na lotnisko. Leland dowiedział się, iż taksówkarz przybył jako samotny człowiek do St. Louis z Birmingham w późnych latach pięćdziesiątych i że teraz jego syn był najlepszym w mieście trzecim rozgrywającym w szkolnej drużynie.

W czasie powolnej jazdy na lotnisko tematem rozmowy była przemoc. Wjeżdżając na drogę dojazdową, kierowca wspomniął o niedawnych okaleczeniach seksualnych, dokonywanych na czarnych w Afryce.

“Lambert Field - uprzytomnił sobie Leland, kiedy taksjarsz opowiadał o obciętych penisach. - I Lindbergh, ale bez związku z St. Louis. Zwykła złośliwość skojarzeń. Lindbergh to również niebezpieczne lotnisko, które znajduje się w San Diego”. W czasie ostatnich pięciu lat Leland

odwiedzał, kilkakrotnie St. Louis i nie pierwszy raz nazwa lotniska przypominała mu starą sprawę, o której chciał zapomnieć.

Czuł, że krwawi. Starszy mężczyzna z rozciętą brwią mógł być uznany przez wielu ludzi za pijaka. Mimo niemiłych przewidywań Leland nie był ani zły, ani rozstrojony. Nie wyglądało to aż tak źle. Ale z powodu wypadku zapomniał przez chwilę o czymś ważniejszym, co wcześniej jedynie przemknęło mu przez pamięć. Zaczęło go to teraz nękać.

Tymczasem na chustce pojawiła się znacznie większa plama.

- Przykro mi, człowieku. Naprawdę mi przykro.

Leland widział wyraźnie, jak kierowca furgonetki otworzył drzwi i spojrzał do tyłu, nie mając zamiaru wychodzić na zewnątrz. Był to olbrzymi, gruby facet z wąsami, człowiek-góra, w typie ludzi, w stosunku do których policjanci zawsze mają się na baczności. Wyglądał

także na porządnie wkurzonego. Wrzasnął na taksówkarza i wskazał palcem na pobocze drogi. Furgonetka podjechała do przodu, ochlapując błotem bok taksówki.

- Za dwadzieścia minut mam samolot - powiedział Leland.

- Jasne. Ten facet może na mnie poczekać przy terminalu. Przepraszam, człowieku.

Strasznie mi przykro. - Zatrzymał się przy furgonetce i otworzył okno, pozwalając, żeby wiatr wiewał do środka wirujący śnieg.

- Zjedź na bok! - zawołał potężny mężczyzna.

- Mój pasażer krwawi i musi złapać samolot.

- Nie wciskaj mi tego kitu! Zjeżdżaj!

Leland otworzył boczne okienko.

- Pozwól nam dojechać na lotnisko.

Wielki facet przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

- Nie jest z tobą tak źle. Wiesz, jaki numer ten facet chce mi wywinąć? Zjeżdżaj! -

krzyknął na taksówkarza.

- Ten pan musi złapać samolot!

- Nie wkurwiał mnie, pieprzony czarnuchu! Jak tylko facet wyjdzie z taksówki, ty spróbujesz zwać! Taksówkarz przycisnął pedał gazu.

- Pierdol się! - zawołał. Niemal stracił kontrolę nad samochodem, gdy siłował się z oknem. - Nie muszę słuchać tego gówna!

- To jakiś psychopata - powiedział Leland. - Tu jest moja wizytówka. Będę w Kalifornii przez dziesięć dni i wracam. Jak będzie robił jakieś trudności, to postaram się ci pomóc.

- Nie martwi mnie, co będzie później - odparł kierowca. - Boję się, co będzie teraz.

- Tak długo, jak jestem w taksówce - powiedział Leland - nie będzie żadnych kłopotów.

Kierowca spojrział w tylne lusterko.

- Znowu jest na drodze. Człowieku, czyżbyś był gliniarzem?

- Obecnie raczej doradcą. - Leland dotknął czoła. - Liczy się, że mam ze sobą broń, która to potwierdza.

- Jezu! Nigdy nic nie wiadomo, co? Zawsze mnie interesowało, w jaki sposób pozwalają to zabrać ze sobą na pokład?

- Wydają specjalną przepustkę. Bardzo specjalną. Nie można jej podrobić.

- Pewnie, jasne, musi być jakaś karta. To śmieszne, zupełnie jak agenci handlowi.

Kapujesz, człowieku?! - zażartował. Złożył dłoń, jakby trzymał w niej pistolet. - Oto właściwa karta kredytowa.

Leland wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Muszę to zapamiętać.

Krwawienie zmniejszyło się, ale teraz poczuł w głowie pulsowanie. Będzie jeszcze gorzej. Ruch na drodze zmniejszył i kierowca spojrział najpierw w tylne, następnie w boczne lusterko.

- Nadjeżdża.

Furgonetka znalazła się po ich lewej stronie. Potężny mężczyzna skręcił i zatrzymał się. Leland opuścił szybę.

- Nie zastrzel go tylko, człowieku, proszę!

- Tacy faceci sami się wykańczają - odparł Leland, zadowolony z własnego żargonu.

Jak wielu czarnych, taksówkarz miał dar odczytywania myśli na podstawie analizy slangu używanego przez pasażera. Leland zastanawiając się nad odpowiednim doborem słów zaczerpniętych z żargonu, znowu przypomniał sobie o tym, co umknęło mu w czasie wypadku.

- Jestem oficerem policji - zawołał do olbrzymiego mężczyzny. - Pozwól nam dojechać na lotnisko.

- Powiedziałem już mu, żeby mnie nie wkurwiał! Teraz mówię to samo tobie! -

wrzasnął olbrzym, kierując wozem tak, iż nadal napierał na taksówkę.

Leland przypomniał sobie mężczyznę, który trzymał kilkunastu policjantów w kręgielni w New Jersey, ciskając kulami niczym z katapulty. Trudno było przewidzieć, jak niebezpieczny jest ten facet. Leland wyciągnął swój dziewięćmilimetrowy browning, upewnił się, że jest zabezpieczony i wysunął go przez okno w stronę nosa mężczyzny. Browning był profesjonalnym pistoletem z magazynkiem na trzynaście kul i miejscem na czternastą w lufie. Facet zrozumiał, że Lelanda należy traktować poważnie. Jego oczy wywróciły się ze strachu, a język wysunął się z ust. Olbrzym sądził widocznie, że Leland chce mu strzelić prosto w twarz.

- Żeby tylko dostać się na samolot! - Taksówkarz wyskoczył do przodu.

Olbrzym zupełnie zamarł, niezdolny wykonać żadnego ruchu.

- Będzie na ciebie czekał na lotnisku - powiedział Leland.

- Jezu! - zawołał kierowca.

Leland miał dreszcze i czuł mdłości. Mógł się znaleźć w poważnych kłopotach - a przynajmniej mieć niezłą rozmowę w firmie.

- Popełniłem błąd - powiedział szybko do kierowcy. - To była tylko niewielka stłuczka. Jeśli będzie cię przyciskał, oskarżymy go o napaść.

- Ech, człowieku, nie musisz się tym martwić. Nie widziałem żadnego pistoletu.

Leland wyjął dwadzieścia pięć dolarów z portfela. W wirującym śniegu ukazał się podjazd do terminalu.

- Kalifornia, co? - spytał kierowca. - Nigdy tam nie byłem.

- Mam się spotkać z moją córką w Los Angeles. Później przejadę się wzdłuż wybrzeża, żeby zobaczyć starego kumpla.

- Twoja córka jest mężatką?

- Rozwiedziona. Ma dwoje dzieci. Jej matka już nie żyje, ale kilkanaście lat wcześniej też się rozeszliśmy.

- No cóż, będziesz z rodziną - powiedział kierowca. - To się zawsze liczy. Dla mnie też. Mam zamiar tym razem miło spędzić święta. Powiem ci coś, człowieku, nigdy nie miałem szczęścia w święta. Kiedy byłem mały, mój stary zawsze się upijał i źle mnie lał.

Nie jest to najlepszy sposób na wychowanie...

Nad dachem budynku odlotów pojawił się boeing-747, zaciemniając blade niebo i topiąc w ryku silnika ostatnie słowa kierowcy. Furgonetka przemknęła obok nich, a olbrzym spoglądał ostrożnie przez okno. Leland wyjął jeszcze dziesiątkę z portfela, a po chwili dokument pozwalający mu zabrać naładowany browning na pokład. O ile pistolet nosił przy sobie całkiem legalnie, o tyle odznaka nie była zupełnie zgodna z przepisami. Odznaka wydana na nazwisko nowojorskiego detektywa była prezentem od przyjaciół z wydziału. Na odwrocie zostało wygrawerowane: TEN FACET JEST KUTASEM. Leland położył

dwadzieścia pięć dolarów koło kierowcy.

Taksówkarz podjechał do krawężnika i wyłączył taksometr.

- Och, nie człowieku, nic nie płacisz.

- Wesołych świąt! - powiedział Leland, podając mu banknot. - Spędź przyjemnie tych kilka dni.

Kierowca wziął pieniądze. Furgonetka zatrzymała się tuż przed taksówką. Portier otworzył drzwi od strony pasażera i Leland wysiadając dał mu dziesiątkę.

- Znajdź mi szybko policjanta. Bagaż leci do Los Angeles.

- Tak jest, proszę pana. Znajdę kogoś, żeby podał pański bagaż. Życzę wesołych świąt.

Leland poczuł lekką ulgę. W porannych wiadomościach *Dzień dobry, Ameryko* podawano, że w Los Angeles jest siedemdziesiąt osiem stopni Fahrenheita. Zauważył w tłumie policjanta zbliżającego się do automatycznych drzwi. Podniósł rękę i pomachał na niego.

- Zostań na swoim miejscu - powiedział do kierowcy. - Jeszcze raz, wesołych świąt.

- Nawzajem. Dziękuję za pomoc. Miłej podróży.

Leland poczuł się tak, jakby zostawił faceta własnemu losowi. Wewnątrz budynku pokazał policjantowi, także czarnemu, swój dowód. W plastikową kartę wtopiono kilka szlachetnych metali i teraz zabłyśły w ostrym świetle lamp.

- Dobra, w porządku, wiem kim jesteś. - Policjant, na którego plakietce identyfikacyjnej widniało nazwisko T.E. Johnson, spojrział ponad ramieniem Lelanda. - O co chodzi?

Leland wyjaśnił mu, że znajdował się w czasie wypadku w taksówce i że kierowca furgonetki zwyczajnie stracił panowanie nad sobą.

Posterunkowy uważnie przyjrzał się Lelandowi.

- Skierowałeś na niego swój...

- Powiedziałem mu tylko, że mam go przy sobie - skłamał Leland.

Policjant uśmiechnął się i wrócił wzrokiem do taksówki. .

- Mnie tam pasuje. Nie kiwasz mnie?

Na twarzy Lelanda pojawił się szeroki uśmiech.

- Słowo skauta. Zasalutowałbym, ale boję się, że znowu zacznę krwawić.

- Lepiej niech ci to ktoś obejrzy. Dobra, zmykaj. Nie przejmuj się tą sprawą. Miłego odpoczynku.

- Wesołych świąt. - Leland trzymał w ręce kartę identyfikacyjną, aby okazać ją oficerowi przy bramce do wykrywania metali. Ponownie wytarł czoło - teraz na chustce były już cztery plamy. Przyjrzał się swojemu odbiciu w szybie wystawowej sklepu z upominkami.

Rana była porządna, ale niezbyt głęboka i nie dłuższa niż cal. Znowu coś go zaczęło nękać, uporczywa myśl wróciła. Oficer przy przejściu też był ciemny: R.A. Lopez. Matka Murzynka i ojciec Hiszpan? Taka kombinacja była bardziej popularna w Los Angeles. Leland po raz drugi poczuł się tak, jakby przeszedł przez lustro.

- Którym rejssem pan leci?

- Dziewięćset pięć do Los Angeles. Pierwsza klasa - to jest prezent gwiazdkowy. Sam go sobie sprawiłem.

- Mógłby to być niezły lot dla jakiegoś potencjalnego porywacza. W klasie ekonomicznej leci dwóch policjantów do San Diego i jeszcze szeryf federalny. Pokażę panu, który to.

- Lepiej niech pan powie mu, kim ja jestem.

Oficer roześmiał się cicho.

- Pewnie, uprzedzę go. Na czym pan się poślizgnął, na lodzie?

- Słuczka. Nic poważnego!

- Dobra, życzę miłego lotu. Ciekaw jestem, ile czasu zajmie panu zorientowanie się, który pasażer jest szeryfem.

- Dziękuję. Kocham zagadki.

Zegar na ścianie wskazywał 16.04. Przez przejście nadal napływali nowi pasażerowie.

Leland spytał urzędnika, czy ma jeszcze czas na wykonanie jednego telefonu.

- Oczywiście, będzie pan tu jeszcze czekał przez dobrych kilka minut. Od pół godziny starają się

wydostać sprzęt z St. Louis. Wyjątkowo kiepska pogoda. Zamykamy punktualnie o ósmej.

- Czy jest możliwe, że wcale nie odlecimy?

- Na pewno nie - odparł urzędnik tonem wskazującym na to, że pytanie Lelanda jest po prostu głupie.

Telefonistka tylko krótką chwilę sprawdzała numer karty kredytowej Lelanda i już za moment sekretarka jego córki odebrała telefon.

- Ach, pan Leland, ona jeszcze jest na obiedzie. Leci pan ustalonym rejssem?

Zapomniał o różnicy czasu.

- Tak, ale chyba trochę się spóźnimy. Mamy tu śnieżycę. Dzwonię w innej sprawie. -

Nie był pewny, czy ma mówić dalej. - Miałem mały wypadek samochodowy koło lotniska.

Nie jestem ranny, ale mam rozciętą brew.

- Och, jak mi przykro. Jak się pan czuje?

- No cóż, jestem trochę zdenerwowany, ale wszystko w porządku. Nie chciałem, żeby Stephanie - pani Gennaro - wystraszyła się, jak mnie zobaczy.

- Powiem jej. Proszę się nie martwić.

Usłyszał lekkie pukanie w drzwi kabiny. Za nimi stała stewardesa mniej więcej w wieku trzydziestu pięciu lat, z farbowanymi blond włosami, wijącymi się w lokach, które były modne jeszcze za Kennedy'ego. Według plakietki była to Kathi Logan. Kiedy zwróciła jego uwagę na siebie, uśmiechnęła się pogodnie, nieco zbyt młodzieńczo, i nieznacznie się skłoniła. Leland pożegnał się z sekretarką, uważając, żeby nie odwieść słuchawki, dopóki i ona nie złoży mu życzeń, i otworzył drzwi. Kathi Logan zwróciła się do niego z zawodowym uśmiechem na ustach.

- Pan Leland? Czy jest pan gotowy? Wszyscy czekamy już tylko na pana.

Minęło czterdzieści pięć minut, zanim samolot wykołował na pas startowy. Leland nie ruszał się z fotela, a Kathi Logan przyniosła w tym czasie trochę wilgotnych i trochę suchych chusteczek, lusterko, plaster oraz dwie tabletki aspiryny. Kiedy wydobyła z niego, że wybiera się w odwiedzinach do córki, w jej głos wkradło się delikatne ciepło, wskazujące, że była zadowolona ze swojej dedukcji. Nie nosił obrączki, a mężczyzna nie podróżuje w czasie świąt w odwiedzinach do córki bez żony, jeśli tylko ją ma. Jednak daleka była jeszcze droga do tego, aby dowiedzieć się, kim jest i czy mówi o sobie prawdę. Jej samotność i strach przed zbliżającą się starością dawały się zauważyć na pierwszy rzut oka. Leland znał to uczucie i dlatego podobało mu się, że jest taka rezolutna.

Boeing był wypełniony po brzegi i bardziej przypominał podmiejski pociąg niż samolot lecący przez pół kontynentu. Siedzący obok Lelanda pasażer zagłębił się w lekturze.

Na pewno nie był to szeryf federalny, bo był zbyt niski, żeby dopuszczono go do egzaminu.

Kathi Logan poinformowała Lelanda, że zamieć rozciąga się aż do zachodniej granicy Iowa i że nie może go w ciągu najbliższej godziny puścić do toalety ze względu na wstrząsy.

Siedzący koło okna pasażer, usłyszawszy ich rozmowę, mocno zacisnął ręce na rozpostartym "Newesweeku".

Od czasu wojny Leland sam pilotował samoloty przez ponad dwadzieścia lat. Udało mu się dojść do cessny-310, zanim z tym skończył. Zwracał mniejszą uwagę na samoloty niż którykolwiek inny pasażer. Wiedział jednak, że ostatnią generację odrzutowców stanowiły najbezpieczniejsze maszyny, jakie kiedykolwiek zbudowano, a największym problemem stała się ludzka zawodność.

Natomiast gdy w grę wchodziła możliwość piractwa powietrznego (mimo iż od lat nie zanotowano ani jednego przypadku, porwania na terytorium Stanów Zjednoczonych), to na pokładzie samolotu znajdowało się zawsze dosyć broni, żeby wystrzelać wszystkich pasażerów w przedziale dla niepalących. Leland zastanawiał się, czy szeryf wie, że drugi z uzbrojonych pasażerów pierwszej klasy pomagał stworzyć program, który był podstawą jego pracy.

W okresie szczytowego rozwoju terroryzmu Leland pracował jako konsultant Federalnego Zarządu Lotnictwa. Obecnie, lecąc uzbrojonym samolotem, znalazł się w sytuacji, której jego program starał się zapobiec: zbyt wiele broni na pokładzie. Od wielu lat nie miał żadnego kontaktu z tymi sprawami i nie znał najnowszych zmian w przepisach. Nie był zatem w tym zakresie lepszy od laika, ale wiedział jedno - było zbyt wiele broni i zbyt mało doświadczenia. Jeśliby teraz potrafił wyczuć zagrożenie, to tylko dlatego, że tak w ogóle miał dużą wiedzę na ten temat.

Ich samolot był następny w kolejce. Przed nimi zniknął w ciemnościach olbrzymi DC-10. Dobiegł ich stłumiony ryk silników odrzutowych. Boeing-747 znowu zaczął się toczyć i koło Lelanda pojawiła się Kathi Logan, trzymając się oparcia, gdyż samolotem zaczęło już trząść.

- Czy chciałby pan się czegoś jeszcze napić, zanim wystartujemy? Może podwójną whisky?

Uśmiechnął się.

- Nie lubiłaby mnie pani więcej. Mogę prosić o colę?

- Oczywiście.

Pilot skręcał na pas startowy, gdy Kathi Logan wróciła z butelką coli na tacy.

Uśmiechnęła się do Lelanda i pospieszyła na swoje miejsce koło schodów prowadzących na górny pokład. Widocznie świadomość, że pasażer jest byłym pijakiem, nie wystraszyła jej.

Pilot zwiększył maksymalnie obroty silnika. W połowie pasa dziób samolotu podniósł się do góry jak huśtawka. Tylne koła zawisły nad ziemią i znaleźli się w powietrzu.

Leland starał się uporządkować chaos w myślach, dotyczący nie rozwiązanej sprawy Lambert-Lindbergh, gdy kierowca taksówki zadał mu zaskakujące pytanie, które zwróciło jego myśli w przeciwnym kierunku. Miał właśnie powiedzieć kierowcy, że nie wie, co się dzieje w takiej chwili w czyimś umyśle - gdy uświadomił sobie, że wie.

Jako młody detektyw, wiele lat temu, zajmował się sprawą, w której poszkodowanemu obcięto członek. Prowadząc śledztwo, Leland poszedł po linii najmniejszego oporu i skierował podejrzenia na włóczęgę z kryminalną przeszłością, mieszkającego razem z ofiarą.

Po wielu godzinach nieustannego przesłuchiwanie włóczęgą, o nazwisku Tesla, załamał się i złożył zeznanie. Było to w latach, kiedy każdego tygodnia sadzano ludzi na krześle elektrycznym. Tesla został skazany na śmierć i wyrok wykonano w tym samym roku.

Sprawa ta zwróciła uwagę opinii publicznej na Lelanda po raz trzeci w jego życiu.

Przed wojną, jako posterunkowy, brał udział w strzelaninie, w której zginęło troje ludzi, w tym partner Lelanda. Jako pilot samolotów bojowych w Europie zestrzelił ponad dwadzieścia hitlerowskich maszyn - wystarczająco dużo, żeby nowojorski wydawca zaproponował mu napisanie książki. Obecność Lelanda na sprawie Tesli oraz ujawnienie w jej trakcie wszystkich elementów zakazanego seksu i sensacyjnych okaleczeń uczyniły z procesu wydarzenie w czasach, gdy tego typu sprawy nie miały jeszcze własnych etykiet. Wkrótce rozpadło się prywatne życie Lelanda. Był tym faktem tak samo wstrząśnięty, jak każdy inny na jego miejscu.

Sześć lat później Leland, wtedy już szef prywatnej agencji detektywistycznej, został

poproszony przez młodą, ciężarną kobietę o zbadanie okoliczności, w jakich jej mąż spadł czy też zeskoczył z dachu budynku. Zebrane dowody poprowadziły do sprawy Tesli. Okazało się, że Leland wysłał niewinnego człowieka na krzesło elektryczne.

Prawdziwym zabójcą był klozetowy homoseksualista, zżerany przez nienawiść i niezdolny do zaakceptowania siebie samego. Jego ofiara - współlokator Tesli - Teddy Leikman został poderwany w barze pedziów. W apartamencie Leikmana, gdy niewinny Tesla znajdował się gdzieś na mieście, dla tamtego człowieka sytuacja znowu stała się nie do zniesienia.

Zaczął bić do nieprzytomności Teddy'ego Leikmana i w końcu rozwalił mu głowę jakimś wazonem. Spostrzegłszy, że w walce Leikman schwycił go za szyję i pod jego paznokcie dostały się kawałki zdrapanej skóry, zabójca wpadł na prawdziwie przerażające rozwiązanie. Obciął palce Leikmana i dla zmylenia policji oderznął także jego członek.

Podstęp się udał, ponieważ nikt nie podejrzewał nawet przez chwilę, że okaleczenia mogły być czymś innym niż wyrazem nienawiści mordercy do siebie samego.

Okaleczenie ciała, stanowiące sposób na ratowanie własnej skóry, niewiele pomogło na wyrzuty sumienia. Sześć lat później morderca popełnił samobójstwo. Przed dokonaniem ostatecznego kroku zostawił jeszcze niepodważalne dowody największego oszustwa podatkowego od czasów Boss Tweed.

Najwięcej ucierpiała na tym wszystkim wdowa po mordercy. Zupełnie jak dziecko dążyła do ujawnienia całej prawdy - od dawna uważała, że istnieje związek pomiędzy ukrytymi niepokojami męża a rozrastającymi się zyskami przedsiębiorstwa. Chciała wykazać, jak przestępstwa podatkowe przyczyniają się do zubożenia części społeczeństwa.

Nic takiego się nie stało. Każdy z uczestników oszustwa zdołał się wywinąć od więzienia. Prasa, zamiast się skoncentrować na machlojkach podatkowych, wróciła do starej sprawy Tesli. Kiedy dział towarzyski jednej z gazet zasugerował istnienie romansu pomiędzy wdową a Lelandem, Norma - żona samobójcy - wyjechała do San Francisco. Leland nie ujrzał

jej potem przez wiele lat.

Pomyłka w sprawie Lindbergh-Lambert nastąpiła właśnie w tych latach, kiedy Leland przeżywał wszystkie nieszczęścia związane ze sprawą homoseksualisty, z osobowością przypisywaną mu przez media i własnym rozwodem. W rozpaczy często nazywał siebie Lucky Lindy¹. Jak morderca, który zdołał się mu wymknąć, prowadził dwa różne życia i okłamywał się co do ich związku. Jego małżeństwo rozpadło się w zastraszającym tempie - i oczywiście, tak naprawdę, nie udało mu się rozwikłać swojej wielkiej sprawy Lindbergh-Lambert, choć o tym dowiedział się znacznie później.

“Co się dzieje w Umyśle człowieka? Zupełnie nic - w takich sytuacjach ciało i umysł

stanowią jedność. I właśnie w tej jednolitej pustce pomyślał Leland - leży rozwiązanie zagadki”.

1 Lucky Lindy - w przybliżeniu: Lipny Szczęściarz.

ROZDZIAŁ 2

Godzina 17.10, wg czasu strefy górskiej²

Prognoza pogody nie była dobra. Pokrywa chmur rozciągała się aż do Gór Skalistych i teraz, gdy słońce znajdowało się za górami, nie kończące się, wzburzone kłębowisko obłoków miało kolor czerwony. Boeing-747 leciał na wysokości trzydziestu ośmiu tysięcy stóp i Góry Skaliste wyglądały jak pokryty śniegiem archipelag, wynurzający się z bajkowego morza.

Leland nadal lubił latać i miał szczęście spędzać sporo czasu w powietrzu. Był już zbyt stary, żeby znowu pilotować samoloty, ale czasami zastanawiał się, czy uda mu się przed śmiercią zrealizować pewien pomysł. Gdzieś w głębi duszy chował marzenie o udaniu się concordem na wycieczkę do Europy. Jego skrzydłowy w Eurece, Billy Gibbs, nie siedział w samolocie już od trzydziestu lat. Leland przypomniał sobie, jak obserwował go kręcącego z wyciem potępieńca beczki nad kanałem La Manche. Kiedy wojna się skończyła, Billy Gibbs całkowicie wyrzucił latanie z pamięci. Z lektury Szekspira Leland zapamiętał zdanie, że niepokój nie pochodzi z gwiazd, lecz tkwi po prostu w nas. Upływ czasu wyraźnie to potwierdził. Wszystko, co robimy, co się nam przydarza, ma główną przyczynę w kierujących nami impulsach, z których większość ludzi nawet nie zdaje sobie sprawy, a mało kto je rozumie.

Po obiedzie udał się do kuchni, żeby zobaczyć się z Kathi Logan. Wyglądała na lekko zmęczoną.

- Dziękuję za pomoc.

- Cześć. Aspiryna podziałała?

- Pewnie. Mam nadzieję, że robisz także operacje plastyczne.

Przyjrzała się jego brwi.

- Nie, to by nie było eleganckie.

- Jak mnie znalazłaś na lotnisku?

- Jesteś policjantem, tak? Otrzymałam telefon od obsługi terminalu. Oficer powiedział mi, że masz rozciętą brew, ale spróbowałam odnaleźć faceta z bronią. To był sprawdzian.

- Jak ci się to udało?

- Zawsze miałam piątki.

Przypomniał sobie, że na pokładzie jest szeryf. Zazwyczaj, gdy stawiał sobie zadanie 2 Strefa czasu obejmująca głównie Góry Skaliste.

tego typu, potrafił dać na nie odpowiedź, zanim jeszcze samolot nabrał wysokości. Zgodnie z własnymi zasadami, nie mógł szukać pomocy u Kathi Logan.

- Chciałbyś jeszcze jedną colę?

- Najpierw uporaj się ze swoją pracą.

- Nie mam z tym żadnego kłopotu. Mogę spytać, czym się zajmujesz jako policjant?

- Pracuję jako konsultant do spraw bezpieczeństwa i procedur policyjnych. Właśnie skończyłem trzydniowe seminarium w McDonnell Douglas.

- Wygląda to bardzo prosto, jak o tym mówisz, ale wiem, że jest to praca odpowiedzialna. Uśmiechnął się.

- Mam na imię Joe.

- A ja Kathi. Od jak dawna nie pijesz?

Starał się ukryć zdziwienie, spowodowane jej szczerością.

- Och, już całkiem długo. Nie było zresztą ze mną tak źle. Trochę piłem, żeby się wyłączyć na noc. Przestałem, jak uświadomiłem sobie, że muszę zaprawić się już przy obiedzie.

- Ja musiałam czekać, aż wyląduję w więzieniu okręgowym w Clark. To w Vegas.

- Wiem.

- Zdziwiony?

- Już nie. Tak naprawdę całkiem mi się to podoba.

Samolotem zaczęło nagle podrzucać. Uśmiechnęła się.

- Przypominasz mi pewnego znajomego boksera.

Roześmiał się głośno.

- Daj spokój.

- Nie, zawsze był bardzo grzeczny i delikatny. Nigdy się nikomu nie narzucał.

- A jak sobie dawał radę na ringu?

- Był mistrzem świata w wadze lekkiej.

Patrzyła na niego wyzywająco, gdy się uśmiechnął. Wyraźnie się narzucała, ale nie było to niemiłe. Spojrzał na kawałek lodu w swojej szklance. Kiedy podniósł wzrok, znowu się roześmiała.

- Chciałam tylko powiedzieć, że był podobnie nieśmiały.

Kathi Logan miała domek na plaży, na północ od San Diego, z dużym pokojem i sypialnią, kominkiem i świetlikami. W jej opowieści brzmiało to cudownie. Leland mieszkał

w domku z ogródkiem pod Nowym Jorkiem, ale większość czasu spędzał w pokojach hotelowych Waszyngtonu i Wirginii. Kiedy udawało mu się wyjechać gdzieś dalej, to było to Palo Alto. Dwa razy był w Santa Barbara. Na szczęście Kathi latała niemal co tydzień na wschód. Miała taki rozkład lotów, że w ciągu tygodnia wpadała na tyle często do domu, iż mogła zadbać o kwiaty.

Leland wierzył jej całkowicie. Pochodziła z Kalifornii i była niezachwianą optymistką. Powiedziała, że kochałaby American Graffiti, gdyby weszły w modę pięć lat wcześniej. Niemal wyrosła na plaży.

- Nie należałam do hippisów, ale zachowywałam się jak na wpół wyzwolona. Przez pewien czas uwielbiałam włóczęgostwo i jeździłam do Vegas na koncerty Sinatry. To były fajne lata. - Nowe turbulencje powietrza poruszyły spodem samolotu. - Najchętniej zapomniałabym o tych wszystkich latach, kiedy Nixon był u władzy. Nie wiem dlaczego, ale moje życie właśnie wtedy się rozsypało.

- Kierowca taksówki w St. Louis powiedział mi, że święta Bożego Narodzenia były zawsze dla niego przekleństwem.

Spojrzała na plaster na jego czole. Leland pamiętał, że kiedy Stephanie była jeszcze mała, on i Karen nazywali przylepce "oznakami bojowymi". Kathi zauważyła, że na chwilę oddalił się od niej myślami.

- W tym roku zamierzam odwiedzić przyjaciół - powiedziała. - Dziś wieczór zapalę wszystkie światła i będę oglądać telewizję.

- Życzę ci wesołych świąt.

- Postaram się. Chciałabym, żebyś też je miło spędził.

Druga stewardesa musiała przygotować drinki dla pasażerów na piętrze i Leland odsunął się, aby nie przeszkadzać. Zaczął przyglądać się śniegowi zwiewanemu przez wiatr z ostrych szczytów górskich pod nimi. Żaden człowiek nie mógłby przeżyć na zewnątrz w takich warunkach, a oni lecieli spokojnie nad okolicznymi szczytami, z ciepłym obiadem w żołądkach i drinkami w rękach, a najgłośniejszym odgłosem, jaki dochodził, był szum ich własnych rozmów.

Książki geograficzne z jego dzieciństwa umocniły go w przekonaniu, że Góry Skaliste są nie podbitym, naturalnym cudem Ameryki. Z reklamy wynikało, że na zachód od Gór Skalistych ceny są nieco wyższe. Kathi Logan wyrosła na plaży. Leland pamiętał, jak w czasie wojny pisał do Karen o nowym świecie, który zacznie się kształtować wraz z nadejściem pokoju, ale tak naprawdę, nikt nie mógł wówczas przewidzieć, jak będzie. A teraz żył z tym światem w zgodzie i bawił go zawodowy żargon stewardesy, podobnie jak niedawno slang taksówkarza z St. Louis. Była to na wiele sposobów nadal piękna Ameryka, taka jaką zawsze była. Robert Frost wyjaśnił to krótko, mówiąc, że stali się narodem -

wszyscy mieli w sobie coś wspólnego, tak jak taksówkarz i Kathi Logan: byli otwarci na siebie samych, wolni i pewni swego; to było najlepsze w amerykańskiej tożsamości.

Przez dziurę w pokrywie chmur dojrzał pustkowie, znikające w narastającej purpurze świtu.

Kiedy Kathi miała następną przerwę, znowu podjęli rozmowę. Opowiedział jej, o swoim zamiarze przejechania się wzdłuż wybrzeża.

- Drogą numer jeden - powiedziała i doradziła mu, aby zjadł sobotni obiad w Santa Cruz, ale nie chciała wyjaśnić dlaczego.

Marzyła o spędzeniu wakacyjnego tygodnia na Kona - przede wszystkim na plaży.

Dawno już obiecywała sobie, że znajdzie czas na dalsze wycieczki, ale nigdy nie mogła się na to zdobyć. Nie widział potrzeby, aby ją objaśniać, że na jego "wakacje" składały się konferencje i seminaria, zbyt często zmuszające go do odwiedzania tych części kraju, o których nie chciał nawet pamiętać.

Pod nimi ukazało się jezioro Mead, odbijające wschodzące słońce, i tama Hoovera. Na północy można było dostrzec światła Los Angeles. Mógł opowiedzieć Kathi wiele ciekawych rzeczy o Vegas, ale zdecydował się z tym poczekać. Wziął od niej numer telefonu i zamierzał

zadzwoić następnego wieczoru, aby spotkać się z nią w San Francisco. Może był zbyt spokojnym partnerem dla niej. Przyjął, że Kathi zna to miasto lepiej od niego, i zdawał sobie sprawę, że należy ona do tego typu kobiet, które chcą być traktowane na równi z mężczyznami. Musiał być niesłychanie

nudnym towarzystwem na przykład dla spragnionego akcji dzieciaka czy też czterdziestoletniej damy, której udało się wyrwać z kiepskiego związku, ale zawsze był właśnie taki i nie potrafił się już zmienić.

Silniki zmniejszyły obroty tak delikatnie, że było to ledwo zauważalne. Samolot zaczął się zniżać i wprawne oko mogło dostrzec zbliżającą się ziemię.

- Chyba lepiej wrócę na swoje miejsce. Życzę ci jutro miłego dnia. Myślę, że zostaniemy przyjaciółmi. Będziemy mogli cieszyć się sobą.

Obserwowała go uważnie.

- Podobałoby mi się to.

Dotknął jej ramienia w nieświadomym geście pożegnania i kiedy zastanawiał się, czy nie posunął się zbyt daleko, przyłgnęła do niego, zdziwiona swoim odruchem. Pocałował ją.

Byli sami. Kiedy odsunęli się od siebie, była zaróżowiona z podniecenia.

- *Mañana* - powiedział i mrugnął do niej.

Roześmiała się.

- *Olé!*

Kiedy wrócił na swoje miejsce, przypomniał sobie o szeryfie. Facet mógł go znać. Jak zachowanie Lelanda wyglądało w jego oczach? Ta myśl zaniepokoiła go. Było zbyt późno, aby wstać z miejsca i postarać się rozpoznać faceta. Jeśli incydent w St. Louis i jego następstwa zostały odnotowane, szeryf będzie zmuszony zeznać, że widział Lelanda, jak przez godzinę podrywał jedną ze stewardes. Nie można było nic poradzić na to, że ludzie właśnie tak patrzyli na te zagadnienia. Leland pomyślał, że sprawa przyjęła zły obrót już w taksówce, kiedy wjechali na drogę dojazdową. Mimo przygody z Kathi Logan był napięty i czuł się naprawdę zmęczony po trzech dniach ciężkiej pracy. Potrzebował teraz porządnie przespanej nocy.

Trzy miesiące po tym, jak Leland ujawnił nowe materiały w starej sprawie o zabójstwo, jego partner, Mike, wrócił wcześniej do domu i przyłapał żonę Joan ze swoim kolegą ze studiów. Leland i Karen spodziewali się czegoś takiego po Joan, ale nie w tym momencie. Joan należała do osób, które ostro zwalczały tych, co się na niej szybko poznali -

takich jak Lelandowie. Joe i Karen byli wówczas oficjalnie w separacji i ich drogi też się rozchodziły.

Leland nie wiedział w tym czasie, że agencja była na krawędzi bankructwa. Tak długo, jak razem byli w biznesie, Leland prowadził coraz to nowe dochodzenia, podczas gdy Mike zajmował się księgami i sprawami codziennymi. Teraz Mike stał się emocjonalnym wrakiem. Leland przez cały następny rok próbował coś naprawić w jego małżeństwie, aby w końcu przekonać się, że sprawa jest jednak beznadziejna. Wtedy Mike był już zagrożony także z drugiej strony - Joan zaskarżyła go do sądu.

Leland starał się mu pomóc, ale koszty sprawy pochłonęły ich dwuletnie zarobki - Joan i jej prawnik zabrali prawie wszystko. W

ciągu osiemnastu miesięcy Leland wynegocjował siedem różnych pożyczek przemieszczając swoje aktywa i starając się zaspokoić wszystkich kredytodawców, włączając w to Mike'a. W

nieunikniony sposób on i Mike odsunęli się od siebie. Leland nie miał od niego żadnych wiadomości od dziesięciu lat.

Leland zdawał sobie sprawę, że mógłby lepiej pomóc Mike'owi, gdyby nie miał także własnych kłopotów. Przez cały ten okres znajdował się w okropnym stresie, licząc tylko na swoje własne siły i zdolność przetrwania. Zawsze istniały wyraźne granice tego, co Karen mogła znieść. W tym samym tygodniu, kiedy zapłacił ostatni rachunek, jego matka trafiła do szpitala. Ojciec zapewnił go, że powinna wyzdrowieć i Leland uwierzył mu na słowo. Nigdy nie czuł się szczególnie związany z matką, ale gdy zmarła miesiąc później, Leland przeżył

szok, którego się po sobie nie spodziewał. Właśnie w tym roku spłacił siedemdziesiąt trzy tysiące dolarów długu i zaczął sięgać po butelkę. Wiedział dobrze, co się z nim dzieje, ale nic go to nie obchodziło.

Pilot oznajmił, że nad Los Angeles roztacza się pokrywa chmur, ale w samym mieście nie pada, a temperatura wynosi sześćdziesiąt pięć stopni Fahrenheita, co sprowadziło uśmiechy na twarze pasażerów. Po ich prawej stronie widać było góry San Bernardino, wznoszące się nad żółtawym dnem doliny. Następnie ukazało się kilka naprawdę wysokich wieżowców, ozdobionych światłami na święta. Na wzgórzu nie opodal był także widoczny, niedawno zreperowany, olbrzymi napis: HOLLYWOOD. Kiedy Leland leciał tutaj ostatnim razem, napis brzmiał: HULLYWO D. Poczul, że zanurza się w dziwną atmosferę Los Angeles. Stephanie mieszkała tu już od dziesięciu lat i nadal była zakochana w tym mieście.

Miała miły domek przy ładnej ulicy w Santa Monica i nawet tutaj zauważył nocą coś dziwnego w sposobie, w jaki palmy odcinały się od żółtego tła nieba.

Pod skrzydłami samolotu przepływały ulice. Wysunęły się koła i boeing-747 dotknął

pasa startowego jedyne na świecie lotniska nazywanego LAX, od skrótu używanego na kartkach przypinanych do bagaży. Leland pomyślał, że zgadzało się to z charakterem miasta.

Jego sąsiad westchnął i Joe rzucił mu krótkie spojrzenie: mężczyzna uśmiechnął się z ulgą, jakby przetrwał śledztwo z torturami. Ostatni raz Leland zwrócił na niego uwagę, gdy znajdowali się jeszcze nad St. Louis, i teraz przeszedł go dreszcz, jak gdyby ktoś go ściagał.

ROZDZIAŁ 3

Godzina 18.02, wg czasu strefy Pacyfiku

- Pan Leland? - zapytał starszy czarny mężczyzna z siwymi wąsami, ubrany w liberię, uzupełnioną

odpowiednim krawatem i czapką. - Zostałem wysłany po pana.

- Dziś - tej nocy? Zupełnie niepotrzebnie. Powinien być pan w domu z rodziną.

- Och, płacą mi za to - odparł mężczyzna, uśmiechając się. - Pani Gennaro chciała, żebym zawiózł pana do jej biura.

Coś nowego.

- Odbiorę tylko bagaż.

- Zajmę się tym, proszę pana. Proszę mi tylko dać swój bilet.

Leland zastanawiał się, czemu Steffie tak się trudziła. Nie było to przyjemne, zwłaszcza że siedemdziesięcioletni dziadek miał tachać jego walizy.

- Chodźmy - powiedział. - Może zdąży pan jeszcze do domu na świąteczny obiad.

- Dziękuję panu.

Dwadzieścia minut zajęło im oczekiwanie na dwie walizki, a następnych dziesięć minęło, zanim kierowca wyprowadził olbrzymiego, czarnego cadillaca z parkingu i wjechali na drogę dojazdową. Kierowca włączył ogrzewanie i stereofoniczne radio. Leland poprosił, żeby wyłączył i jedno, i drugie. Napisy na markizach moteli na Century Boulevard życzyły wszystkim wesołych świąt. Leland zamknął oczy, mając nadzieję, że Steffie nie przygotowała niczego zbyt wyczerpującego na dzisiejszy wieczór. Nieraz mu mówiła, że staje się dziwakiem, ale prawda była taka, iż nie potrafił przyzwycząić się do jej sposobu życia.

Pracowała jako asystentka wiceprezesa międzynarodowej spółki Klaxon Oil. Tytuł

brzmiał zabójczo, ale praca była też niezła i Steffie świetnie zarabiała. Leland oceniał, że jego córka zarabia ponad czterdzieści tysięcy rocznie plus premie. Problem polegał na tym, że starała się żyć na stopie zgodnej ze swoją pozycją, na którą składało się duże BMW, wakacje trzy razy do roku i olbrzymia liczba rachunków z restauracji, kart członkowskich i kredytowych - wszystkiego nie potrafił zapamiętać. Oczywiście, to było jej życie i starał się trzymać język za zębami, ale miał wrażenie, że Steffie ostro przesadza. Dzieciaki były zadbane, i biorąc pod uwagę, przez co przeszły, spisywały się lepiej, niż Leland mógł

oczekiwać. Kochał je bardzo i przysyłał im cały czas prezenty, ale zdawał sobie sprawę, iż ledwo go znają, bo spędzają swe codzienne życie w zbytnim oddaleniu od niego. Częściowo winna była dzieląca ich odległość i zbyt szybkie tempo życia.

Wolał nie wspominać o przeszłości i o tym, co on i Karen sprowadzili na własną rodzinę. Steffie była poza domem, na pierwszym roku studiów, kiedy przeżywali swój najgorszy okres. Nigdy nie potrafił dobrze zrozumieć przyczyny ich długo trwających nieporozumień. Na początku wspólnego życia Karen wpadła w poważne kłopoty, ale nie zwróciła się do niego o pomoc. Podejrzywał, że się go wtedy bała. W czasie wojny zostali rozdzieleni na kilka lat i później już nigdy nie potrafili żyć

się tak, jak wówczas, gdy byli jeszcze młodzi. Zmienili się i nadal się zmieniali, nigdy nie przyznając się do własnych frustracji i urazów. On świadomie dusił je w sobie, a ona wierzyła, że powinna postępować tak samo. Z tysiąca błędów, jakie popełnił, najpoważniejszym było niezwracanie uwagi na prawdziwą osobowość Karen.

- Nie mogę już dłużej tego znieść - powiedziała mu jednego wieczoru, ze szklanką w ręku. Był to czas, gdy piła razem z nim. - Przykro mi, Joe, ale zastanawiałam się nad tym w kółko i w kółko, i nie widzę sposobu, w jaki mogłabym to znieść choćby przez minutę dłużej.

Nie jesteś tym, za kogo cię wzięłam, gdy się poznaliśmy. Nie chodzi o to, że cię nie rozumiem. Wiem, kim jesteś - biznesmenem, spędzającym każdą chwilę z dala od domu, człowiekiem, dla którego praca jest tak ważna czy absorbująca, że nie może lub nie chce rozmawiać o niej ze mną, nawet gdyby mi na tym zależało. Ale też, co mnie może obchodzić to, że nie upoważniony personel nie powinien mieć dostępu do komputera? Albo czy policja w Nebrasce zna najnowsze zarządzenia dotyczące kontroli nad tłumem. Wiem, że to nie są bzdury, ale jeżeli o mnie chodzi, to jest to kompletna brednia. Mam dosyć, że nie możesz z tego powodu zachowywać się normalnie w nocy, i chce mi się rzygać w oczekiwaniu na lepszą przyszłość, która nigdy nie nadejdzie. Chcę, żebyś się wyniósł. Im szybciej, tym lepiej.

Nie to, że cię już nie aprobuję. Ja cię nawet lubię, ale chodzi właśnie o seks. Jak już do czegoś dojdzie, to czuję się tak, że najchętniej bym cię zabiła. Wynoś się stąd! I to jak najszybciej.

Przed świtem był już porządnie pijany i przez następne dwa lata nie trzeźwiał na dłużej niż osiem godzin. Czasami był zwyczajnie wstrętny. Dzwonił do Karen, już niemal nieprzytomny, pewien, że chce ją przeprosić, ale chodziło mu jedynie o podjęcie tematu starej kłótni. Małżeństwo równie stare i złe, jak ich, nie było lepsze od nawiedzonego domu i oboje znaleźli w nim swoje pokoje na piętrze, które nie były od lat otwierane. Walczyli o to, kto, czemu i kiedy był winny temu, co się stała.

Stephanie wiedziała o wszystkim od jednej lub drugiej strony. Uciekła ze szkoły i zadzwoniła do nich z Puerto Rico. Skończyło się na tym, że Karen musiała poddać ją terapii, a Leland przez dwa tygodnie przeżywał stres, że to jego postępowanie zabija je obie. Kiedy spotkał się następnym razem z Karen, był już trzeźwy, ale zdawał sobie sprawę, że ich małżeństwo się rozpadło i że musi zacząć nowe życie. Nigdy więcej jej nie dotknął.

Kto mógł wiedzieć, że Karen umrze po ośmiu latach?

Był już poprzednio w wieżowcu Klaxon, czterdziestopiętrowej kolumnie na Wilshire Boulevard, i znał na tyle miasto, żeby zorientować się, iż stary kierowca przepycha się drogą na północ od San Diego Freeway do Walshire, następnie na wschód przez Beverly Hills, pomiędzy sklepami i hotelami.

Przypomniawszy sobie całą resztę: nieruchome palmy i oślepiające neony.

Dziewięćdziesiąt procent budynków w Los Angeles stanowiły niskie dwupiętrowe rezydencje. Czulo się tu prawdziwą gospodarność mieszkańców, w wyniku której miasto stało się terenem najpiękniejszych dzielnic mieszkaniowych na całym świecie. Istniał także jeszcze jeden czynnik

wpływający na wygląd miasta: krzykliwa, szaleńcza pogoń za pieniędzmi, która wciągnęła także Stephanie i doprowadziła do takich publicznych udziwnień, jak napisy na pizzeriach: "Czy zjadłeś już kawałek?" ' W najgorszym wypadku można było dojść do wniosku, że gdyby usunięto neony i wyłączono prąd, miasto wyglądałoby jak ogolony kot.

Problem stanowiła młodość miasta. W latach pięćdziesiątych większa część Los Angeles i przedmieścia były zupełnie nie rozwinięte. Kilkanaście lat temu, kiedy Leland zaczął tu po raz pierwszy przyjeżdżać, spory kawałek Freeway pozostawał jeszcze do wykończenia, a całe miasto funkcjonowało w oddzielnych częściach. Teraz Los Angeles było pierwszym postindustrialnym megapolis, olbrzymim miastem przyszłości, śpiącym pod kipiącym, zatrutym niebem.

- Mieszka pan w Los Angeles?

- Nie, proszę pana, mieszkam w Compton, w Kalifornii.

Kalifornijczycy lubili wymawiać to słowo. Gdyby znalazł się w Nowym Jorku czy Chicago, nikt by nie powiedział: "Valley Stream, New York" czy "Cicero, Illinois". Było tu zupełnie tak, jak gdyby ludzie chcieli się upewnić, iż wszystko jest na swoim miejscu i że nikt w ciągu jednej nocy nie zerwie zasłony.

Z punktu widzenia policji Los Angeles było prawdziwym koszmarem. Nie, dość, że olbrzymie i rozrzucone, było jedynym znanym Lelandowi miastem na świecie podzielonym łańcuchem gór Santa Monica, biegnącym ze wschodu na zachód i obejmującym obszar Bel Air, Sherman Oaks i Studio City, a także oddzielne Beverly Hills. Na wielu obszarach patrole samochodowe okazywały się nieskuteczne i policja musiała przesiąść się do helikopterów. To poskutkowało. Można było uciekać przed kimś podążającym nad tobą śmigłowcem, ale nie można się było ukryć.

Limuzyna zjechała z Freeway, kierując się na wschód w stronę Wilshire przez modne osiedle Westwood. Po lewej stronie wznosiło się Bel Air, ukryte za swoimi pieniędzmi. Na przestrzeni następnych pięciu mil rozsiadły się posiadłości warte miliony. W tym mieście ludzie, którzy dawniej nie mieli pieniędzy, nagle stawali się naprawdę bogaci i nie dbali, ile płacili za rzeczy, których pożąдали. Więcej tu było rolls-royce'ów niż w Indiach za czasów radży. Wraz z upadkiem starych reżimów napływały tu pieniądze z całego świata. Za kilka lat Los Angeles będzie najdroższym, najbardziej skorumpowanym i niebezpiecznym miejscem na ziemi.

- Co pan robi w czasie świąt?

- Chyba będę oglądał telewizję. Mój syn zbudował mi telewizor z tych dużych odbiorników - wie pan, z projektorem.

- Jest elektronikiem?

- Nie. To mój najmłodszy syn, ma tylko dwadzieścia jeden lat. Jest aktorem, ale ma duże zdolności manualne. Wziął normalny telewizor, soczewki i kamerę, no i mam to чудо.

Cztery stopy, jak w kinie. W tym roku Ramsi będą świetnie wyglądali, jak im dołożą. Mówię panu, ten stary świat zmienia się w coś zupełnie innego.

Leland zgodził się z nim i skończył rozmowę. Miał, jak na jeden dzień, dosyć zagłądania w cudze życie. Pokrzepiające było to, że młoda generacja nie czuła większego lęku przed nową techniką, tak jak jego własna przed modelami A czy dwupłatowcami. Dostrzegł jednak pewne różnice. Stara technologia zbliżała ludzi. Obecne cuda przeznaczone były dla konsumentów zamkniętych w swoich mieszkaniach, dla tych którzy żyli w odosobnieniu, jak było przeznaczone na rzeź.

Ludzie tutaj też byli inni - ekscentryczni jak Anglicy, z chęcią wypróbujący wszelkie permutacje własnego ja. Stąd właśnie wywodziły się hula hoop i deskorolki. Można tu było spotkać ludzi tak zachwyconych odkryciem tego miejsca, że spędzali w nim każde święta Bożego Narodzenia, opalając się na plaży, nawet jeśli woda była zbyt zimna do pływania.

Wilshire wydawało się zupełnie opuszczone. Kilka samochodów przejeżdżających ulicą. Kobieta wyprowadzająca brzydkiego, chudego psa. Ozdoby świąteczne. Budynek za budynkiem z oświetlonymi wystawami. Minęli Beverly Hills i wjechali w ciemności Los Angeles. Leland zaczynał czuć się tak, jakby należał do tego miasta. Przed Klaxon stała zaparkowana ciężarówka. Zmieniły się światła i limuzyna zatrzymała się na skrzyżowaniu.

- Panie Leland, może pan wejść do środka. Ja sam się zajmę bagażami. Zaniosę je do samochodu pani Gennaro. Proszę jej powiedzieć, że kluczyki są pod siedzeniem kierowcy -

będzie wiedziała. Życzę panu miłych świąt.

- Dziękuję. Niech pan też się dobrze bawi - proszę uważać na swoje oczy.

- Słusznie - kierowca uśmiechnął się zadowolony na myśl o swoim kochającym synu. - Dziękuję.

Leland zauważył coś na rogu. Duży jaguar, jakiego sam miał w latach sześćdziesiątych, stał zaparkowany na chodniku. Dla Lelanda jego jaguar był tylko źródłem kłopotów i mimo iż bardzo mu się podobał, musiał się z nim rozstać. Ten był świetnie utrzymany. Ktoś siedział w środku, a z tyłu wystawała antena radia CB. Limuzyna podjechała pod wejście do budynku i zatrzymała się.

Leland pożegnał się z kierowcą, wszedł kilka kroków po schodach i obejrzał się na jaguara. Mężczyzna za kierownicą miał przy ustach mikrofon i gdy spostrzegł na sobie wzrok Lelanda, starał się go szybko ukryć. Leland najwidoczniej zauważył coś, czego widzieć nie powinien. Podeszedł do oszklonych drzwi, za którymi siedział starczy mężczyzna w szarym mundurze i czytał gazetę. Jaguar znajdował się już poza zasięgiem jego wzroku. Strażnik zauważył Lelanda i otworzył drzwi.

- Nazywam się Joe Leland. Oczekują mnie. Czy pan nie jest przypadkiem byłym policjantem?

- Zgadza się.

- Ja też. Odchodzę właśnie na emeryturę.

Strażnik uważnie obejrzał kartę identyfikacyjną Lelanda.

- Nie widziałem jeszcze takiej, ale oszczędłem już piętnaście lat temu. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku z tą pieczętą. Wiem, że pana oczekują. Co mogę dla pana zrobić?

Leland powiedział mu o jaguarze. Starszy mężczyzna zamrugał oczyma i wyjrzał przez drzwi w stronę Wilshire, bo ze swojego miejsca nie mógł nic zobaczyć.

- Po drugiej stronie ulicy znajduje się sklep z biżuterią i delikatesy. Wszystko jest już zamknięte. Zadzwoń w tej sprawie. Może pan wjechać windą na trzydzieste drugie piętro.

Są z tyłu holu. Nie wiem, co się z tymi ludźmi porobiło. Pamięta pan czasy, gdy Boże Narodzenie było wolnym dniem i wszystko, co się mogło zdarzyć, to jedno czy dwa zabójstwa?

- Pewnie. Jak się przyjechało na miejsce, to zabójca siedział jeszcze nad ofiarą, przekonując ją, jak bardzo się pomylił.

- Stare dobre czasy.

- Nie ma dziś w nocy zbyt wielu patroli, co? - spytał Leland.

- Gdyby ludzie wiedzieli, jak niewielu policjantów jest na ulicy w niektóre dni, to dopiero byłaby chryja. Jeśli ma pan broń, to moglibyśmy sami ich zdjąć.

- Niech pan to zostawi - doradził Leland.

- Tyłu szczeniaków kręci się dziś po ulicach. Przyjrzę się im z góry. Będę mógł ich zobaczyć?

- Nie, przyjęcie jest po drugiej stronie.

- Przyjęcie?

- Coś specjalnego. Zrobili jakiś interes z Arabami, czy kimś tam. Pełno jest tam młodych cipek, szczeniaków, wszystkich. Zadzwoń od razu, zanim ptaszek się ulotni.

Strażnik wypowiedział ostatnie zdanie fałszywym falsetem. Kiedy Leland wszedł do windy, przypomniał sobie, kogo strażnik naśladował. Garry Cooper w filmie *Sierżant York*, Leland pstryknął palcami i powiedział na głos: - Cholera!

Z kim ten drań w jaguarze mógł rozmawiać? Nie potrzeba radia, żeby obrobić delikatesy czy nawet jubilera. O co im chodziło?

ROZDZIAŁ 4

Godzina 19.14

Leland nie miał pojęcia, w jaki sposób Steffie dostała tę pracę. Po szkole przyjechała tu z Gennarem, swoim mężem. W tym czasie nie odzywała się do matki, a jej stosunki z ojcem dopiero zaczęły się

układać. Gennaro przypominał fizycznie Lelanda - schludny, z krótko obciętymi, ciemnymi włosami. Było to niedługo przed eksplozją mody na długie włosy. W tym czasie Leland był już szpakowaty, ale i tak stało się jasne, co Steffie podświadomie czuła. Gennaro zdecydowanie odrobinę za bardzo lubił robić, wrażenie - był

jednym z tych dzieciaków, co zawsze patrzą ci w oczy w czasie rozmowy. Policjanci przyjmowali to jako najlepszą oznakę kłamstwa, ale Leland wszedł w okres zdobywania się na kompromisy. Pomyślał, że związek ten nie będzie dla niej złym doświadczeniem, nawet jeśli okaże się pierwszym i jedynym małżeństwem.

Mieli zamiar wyjechać do Kalifornii, jak oświadczył mu Gennaro. Chłopak uzyskał tytuł magistra na wydziale zarządzania, miał trochę wyrobionych w szkole znajomości i

“pracował dla komisji poborowej”, jak to sam określił. Leland uznał, że i tak nie ma wpływu na swoją córkę. Nie wiedział nawet, czy aktualnie Gennaro płaci alimenty na dzieciaki. Po rozstaniu Gennaro przez pewien czas żył z aktorką na Malibu, uczęszczając na wszystkie odpowiednie przyjęcia, a kilka lat temu Steffie wyznała mu, że jej były mąż zamieszkał na Encino, co też miało odpowiednie znaczenie. Obecnie, według Steffie, starał

się być jak najlepszym ojcem dla Judy i Marka, co nic nie dawało, gdyż Leland nie słyszał ani razu, żeby dzieciaki wspominały jego imię.

Gdy winda zbliżyła się do trzydziestego drugiego piętra, usłyszał jakieś dźwięki przez drzwi. Winda zatrzymała się i został ogłuszony hałaśliwym rytmem disco. Jezu, Stephanie chciała, żeby znalazł ją w tym tłumie? Czy wzięła ze sobą dzieciaki? Na korytarzu znajdowało się kilkanaście osób z drinkami, podając sobie skręty i kołysząc się w rytm muzyki. Dalej, w niemal kompletnych ciemnościach, pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt osób tańczyło przy muzyce tak głośniejszej, że betonowa podłoga wydawała się kołysać wraz z nimi

- Cześć - przywitała go ładna blondynka. - Wesołych świąt. Palisz to g...? Całkiem niezłe colombo.

- Lekarze w sanatorium doradzili mi, żebym rzucił. Znasz może panią Gennaro?

Miałem się z nią tu spotkać.

- Wiesz jak wygląda?

- Zawsze wiedziałem. Jestem jej ojcem.

- Jezu! Przepraszam. Proszę chwilę poczekać. - Odwróciła się w stronę korytarza. -

Widzi pan te drzwi? Biuro pana Ellisa. Ostatni raz jak ją widziałam, była tam z tymi wszystkimi grubymi rybami. Nie, przepraszam. Niech pan zapomni, że to powiedziałam.

Proszę. Niech jej pan powtórzy, że Doreen składa życzenia świąteczne i gratulacje.

- Za co?

- Za to!

- To znaczy?

- Nic pan nie wie? Pan Ellis i pani Gennaro podpisali właśnie kontrakt na sto pięćdziesiąt milionów dolarów! Niech pan sam się od niej dowie. A potem niech pan przyjdzie do nas potańczyć! Zajmiemy się panem!

- Jestem zbyt stary, nawet dla twojej matki!

- Ale nie dla mnie, stary lisie!.

Puścił do niej oko i posłał pocałunek.

- To ojciec Gennaro - usłyszał jej roześmiany głos, kiedy już odszedł parę kroków.

Nie odwrócił się, ponieważ nie spodobał mu się sposób, w jaki wymówiła nazwisko jego córki.

Burka po odsuwano pod ściany, żeby zrobić miejsce dla tańczących i Leland musiał

przeciskać się przez grupy przyglądających mu się osób. Wskazane drzwi prowadziły do pokoju sekretarki, ale pokój znacznie się różnił od jaskrawo pomalowanego korytarza. Gruby, zielony dywan, boazeria i imitacja witraży na suficie. Wszystko dla sekretarki. Jak wszyscy inni, dyrektorzy Klaxon korzystali z możliwości wydawania pieniędzy na inwestycje biurowe, które były odliczane od podatku. Pozwalało to na takie urządzenie pomieszczeń, że na ich widok szczęka opadłaby nawet faraonowi! Drzwi do wewnętrznego biura były nie domknięte, ale z powodu hałasu Leland i tak nie słyszał, co mówią w pokoju. Zastukał mocno we framugę drzwi.

- Kto tam? Proszę wejść! Trzej mężczyźni odwrócili się do niego, a siedząca na sofie Steffie podskoczyła na równe nogi.

- Tatusiu! Wesołych świąt! Przyjechałeś w samą porę. - Podbiegła do niego i niemal zawisła mu na szyi. Wydała mu się, jak na jego gust, zbyt miękka i bez kondycji. Obejmując go w pół, odwróciła się do innych, żeby go przedstawić.

Za biurkiem stał czterdziestoletni Ellis, a obok niego mężczyzna - w wieku Lelanda -

który pochodził z Teksasu i nazywał się Rivers. Był wicedyrektorem odpowiedzialnym za dział sprzedaży. W pokoju znajdował się jeszcze dwudziestokilkuletni chłopak, Martin Fisher, nowy asystent Steffie.

Rivers pierwszy uścisnął mu dłoń.

- Witam, panie Leland. Naprawdę mi miło. Słyszeliśmy o pana wypadku w St. Louis.

No cóż, nie wygląda to tak groźnie.

Stephanie spojrzała na jego czoło. Rivers zwrócił się do chłopaka.

- Wiesz, ile niemieckich samolotów ten facet zestrzelił w czasie wojny?

- Och, tak. - Patrzył na Lelanda, starając się dopasować to, co wiedział, do stojącego naprzeciw człowieka.

- Stara historia powiedział mu Leland. - Nawet twoi rodzice tego nie pamiętają.

- Nieprawda - zaprzeczył Ellis, wychodząc zza biurka. - Wcale nieprawda. Witamy.

Świetnie, że pan przyjechał. To najważniejszy dzień w naszym życiu. - Uścisnął rękę Lelanda z taką energią, że ten stracił całą sympatię do niego.

- Słyszałem coś o stu pięćdziesięciu milionach dolarów.

- Zgadza się - potwierdził Ellis. - To największy kontrakt, jaki Klaxon kiedykolwiek podpisał poza obszarem petrochemicznym.

- Zajmujemy się teraz budową mostów, tato. W Chile.

- Pokaż mu ten zegarek - zaproponował Ellis:

- Później go zobaczy - odpowiedziała.

- W swoim biurze mam model tego mostu - powiedział Rivers.

- Mów mi Joe. Czuję się wystarczająco stary i bez tego traktowania mnie jak świętego Mikołaja. "Albo Lucky Lindy" - dodał w myślach, przypominając sobie wydarzenia ostatnich godzin.

- Sam latałem nad południowym Pacyfikiem - oznajmił Rivers.

- Jeśli o mnie chodzi, to mogą to opisać na naklejkach od gumy do żucia. - odparł

Leland. - Steffie, chciałbym się nieco umyć. Jestem już czternaście godzin na nogach.

Chciałem także zadzwonić.

- Coś nie w porządku? - spytał Rivers.

Leland potrząsnął głową. Myślał o starym policjancie na dole, ale zwinięty w rurkę banknot jednodolarowy, który spostrzegł na biurku Ellisa, kazał mu zachować ostrożność.,

- Chciałem zadzwonić do San Diego - uśmiechnął się do niej. - Zdarzyło mi się coś miłego w samolocie.

- Stary kocurze - skarciła go. - Leciałeś samolotem do San Diego, co? Jeszcze jej nie ma w domu.

- Ta pani ma pomoc domową albo automatyczną sekretarkę, lub też jedno i drugie.

Nie mówiła mi tego, ale chyba się nie mylę.

- Policjanci mają podobno szósty zmysł, co? - żartobliwie spytał Rivers.

- Raczej polega to na składaniu do kupy poszczególnych elementów - odparł Leland, nie patrząc na Ellisa.

- Kto to jest? - spytała Stephanie, ciągnąc go za rękaw.

- Stewardesa - odpowiedział Leland. - Nie martw się, jest starsza od ciebie, chociaż niewiele. Co z tym zegarkiem?

- Kupiłam sobie w prezencie. Dlaczego nazywasz ją stewardesą?

- Zazwyczaj nazywam je obsługą pasażerów w trakcie lotu, ale w tym wypadku chciałem podkreślić, że mówię o kobiecie.

Męski śmiech spowodował, że Stephanie zaczerwieniła się

- Wszyscy to słyszeliśmy - stwierdził Ellis. - Wszyscy mamy nauczkę.

- Niewiele wam ona pomoże - powiedziała z uśmiechem.

Leland odwrócił się do Riversa.

- Z przyjemnością obejrzę później ten model.

- Jasne.

To, z kim Stephanie spała, stanowiło jej osobistą sprawę. Była dostatecznie dorosła, żeby zdawać sobie sprawę, iż tego typu związki prowadzą do kłopotów. Lelandowi nie podobała się jednak sprawa z kokainą. Pod swoim ujmującym uśmiechem handlowca Ellis skrywał równie wstrętą naturę - jak najgorsi, których Leland spotkał w swoim życiu.

Stephanie nie nauczyła się tego, co jest w życiu najważniejsze, i Leland mógł jedynie uznać swoją porażkę. Odwzajemnił jej uścisk.

- Skorzystam z twojego pokoju. Wiem, gdzie się znajduje.

- Pójdę z tobą - zaofiarowała się. - I tak do tej pory tylko poklepywaliś się po plecach.

- Ona jest jednym z twórców kontraktu - powiedział Rivers. - Włożyła w to dużo pracy. Bez niej nic byśmy nie zrobili.

— To świetna nowina — ucieszył się Leland.

W jej biurze, które znajdowało się po drugiej stronie budynku, Leland podszedł do okna i spojrzął na ulicę. Jaguar zniknął. Albo wystraszył faceta, albo ten zmienił plany.

Na przyjęciu znajdowali się też Judy i Mark, zgubieni gdzieś w tłumie i ciemnościach.

Zabawa była pomysłem Riversa. Dziś rano dostali telefon z San Diego i całe biuro oszalało z radości. Kontrakt był wyjątkowo skomplikowany, a negocjacje z rządzącą juntą wyjątkowo delikatne i wszystko okryte było jeszcze tajemnicą. Klaxon musiał utrzymywać swoje pertraktacje w sekrecie z powodu niezłomnej postawy partnerów, co wyraźnie denerwowało Steffie. Rivers zapewnił ją, że jej “działka będzie taka sama jak pozostałych”. Chciała to zobaczyć na własne oczy.

Leland pomyślał, że jest zaniedbana i zmęczona. Od dłuższego czasu ważyła z pięć funtów za dużo. Teraz było już chyba z dziesięć. Jeśli brała kokainę, to i tak powinien być zadowolony, że jeszcze jadła cokolwiek. Wyglądała na bliską wyczerpania. Może za kilką dni zechce go wysłuchać? Na pewno nie teraz. Chciał jej tylko powiedzieć, jak bardzo jest z niej dumny.

- Jeśli chcesz zadzwonić na miasto, to wykręć dziewięć - poinformowała go. - W

łazience znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz. Spotkamy się na przyjęciu. - Leland uśmiechnął się do niej. Jak wyszła, znalazł numer wewnętrzny i zadzwonił do strażnika.

- Tu Leland, facet, który właśnie przyszedł. Jag już odjechał?

- Tak. Zadzwoniłem na posterunek. To nie zaszkodzi. Tamten pewnie kręci się gdzieś w pobliżu, więc nie powinni mieć z nim kłopotu. Jak przyjęcie?

- Ogłuszające. Wesołych świąt.

- Cholera, muszę tu pracować.

Leland postanowił zadzwonić do Kathi Logan później. W łazience zauważył, że i tu Steffie wiedziała, jak wykorzystać swoje przywileje. Miejsce wyglądało jak buduar milady, wliczając w to prysznic i dobrze wyposażoną apteczkę. Wziął dwie aspiryny, zdjął marynarkę i krawat, odpiął kołnierzyk i podwinął rękawy. Zdjął też z siebie szelki z kaburą na broń i położył browning na marynarce. Przez lata udawało mu się nie nosić broni, ale gdy wszystko się w nim załamało, bez pistoletu i ciągłej praktyki stawał się zbyt miękki dla siebie i innych.

Zawsze był świetnym strzelcem, ale teraz, pomimo swojego wieku, dzięki ciągłej praktyce był lepszy niż kiedykolwiek.

Nie chciał mieć pod ręką browninga, kiedy rozmyślał o Ellisie. Zwinięty banknot świadczył o kokainie. Duppek. W Wydziale Policji Los Angeles nazywano dupkami facetów, którzy myśleli, że w pogoni za spełnieniem własnych pragnień mogą pozwolić sobie na wszystko. Steffie spała z nim. Leland znał swoją córkę. Chciała coś udowodnić swoim życiem - matce, jemu, Gennarowi, Ellisowi i wszystkim innym.

W każdym razie musiał uważać. W biurze Ellisa odwrócił rozmowę od policji właśnie ze względu na zwinięty banknot. Marihuanę palili wszyscy, szczególnie w Kalifornii, ale spożywanie kokainy było karalne. Trudno przewidzieć, jak ludzie zareagują na możliwość spędzenia wielu lat w więzieniu. Powinien grać takiego samego głupiego, za jakiego Ellis uważał Riversa. Rozczarowało go jedynie, że jego własna córka tak bardzo go nie doceniała -

zapomniała niestety o tym, co Rivers nazywał "szóstym zmysłem".

Rivers nie spodobał się Lelandowi tak samo jak Ellis, i wcale nie z powodu tych starokumpelskich przymówek. Był jeszcze lepszym cwaniakiem niż Ellis. Wiązało się to z jego teksaskim charakterem. Niektórzy ludzie ze wschodu nigdy nie potrafili tego osiągnąć.

Teksas oznaczał inną postawę, niemal inną kulturę. Załatwienie faceta to nie było tu jeszcze wszystko - należało przy tym patrzeć mu w oczy, uśmiechać się i podawać rękę. Taki właśnie był Rivers. Lelanda pocieszyła jedna myśl: Ellis sądził, że jest równie dobry jak Rivers, a nie był.

Żeby oprzytomnieć trochę, Leland dokładnie umył kark, piersi i ramiona zimną wodą, uważając, aby nie zamoczyć plastra na brwi. Wytarł się mocno ostrym ręcznikiem, by poprawić ukrwienie skóry. Poczł się lepiej. Był zmęczony wewnątrz, ale teraz już mógł

spędzić wieczór z rodziną.

Zdjął szybko buty i skarpety. W latach sześćdziesiątych, kiedy pierwszy raz leciał do Europy w interesach, poznał w samolocie pewnego Niemca, dyrektora amerykańskiego oddziału firmy produkującej szkła optyczne. Leland powiedział mu, że pracuje dla Forda, przeprowadzając badania nad różnicami w opłacalności wysyłania części samochodowych drogą lotniczą lub też morską, po to, by zmniejszyć ilość gotówki uwięzionej w towarach.

Starszy pan mówił właściwie przez całą drogę - od Wirginii aż do ich lądowania w Hamburgu. Znał osobiście Hitlera, którego nazywał prostakiem niezdolnym do zmiany opinii.

Najlepszym sposobem przebycia Atlantyku, jaki wypróbował, okazał się sterowiec. Sto mil na godzinę na wysokości zaledwie tysiąca stóp, niemal dwa dni z prawdziwymi damami i dżentelmenami. Był to cudowny człowiek, pełen mądrości życiowej. Leland był gotów skłamać, gdyby Niemiec go spytał, co robił w czasie wojny.

- Chce pan dobrej rady, panie biznesmenie? Jeśli pragnie pan czuć się świeżo wieczorem, proszę umyć nogi i pochodzić przez dziesięć minut na bosaka. Zobaczy pan, poczuje się pan wspaniale.

Miał rację. Prostując palce u stóp, Leland zaniósł telefon do okna i opierając go na kolanie, nakręcił dziewięć, następnie jeden - dla rozmowy zamiejscowej, kierunkowy do San Diego i numer Kathi Logan, który znał już na pamięć.

Sygnal zadzwieczył dwa razy, po czym Leland usłyszał automatyczną sekretarkę:

- Tu Kathi Logan. Niestety nie ma mnie w domu, ale jeśli podasz swoje nazwisko i numer po usłyszeniu sygnału, to odeślę ci twoją dziesiątkę. Może nawet zadzwonię. Kim jesteś? Zetrzyj ten

uśmiech z twarzy i mów.

Ach, ta Kalifornia. Leland roześmiał się na głos, gdy usłyszał sygnał. Trzydzieści dwa piętra pod nim ciężarówka wyjechała z Wilshire i szybko wjechała do garażu znajdującego się pod budynkiem. Coś zaniepokoiło Lelanda. Ciężarówka sunęła zbyt szybko, ale nie to zwróciło jego uwagę.

- Cześć, Kathi. Tu Joe Leland, twój przyjaciel z St. Louis. Przygotuj się na jutrzejszy wieczór. Mam zamiar zadzwonić do ciebie i umówić się. Może moglibyśmy się spotkać w San Francisco...

Połączenie zostało przerwane. Czyżby skończyła się taśma? Nie, nie było ciągłego dźwięku. Telefon był głuchy. Uderzył kilka razy w widełki. Nic.

Spojrzał na zegarek: ósma. Może automat miał przełącznik. Wyjście do budki telefonicznej, żeby jeszcze raz zadzwonić, nie miało sensu, zdziwiłoby ją to tylko jeszcze bardziej. Przez chwilę stał przy oknie, patrząc na światła na wzgórzach Hollywood. Ktoś mu kiedyś pokazał Laurel Canyon - nie pamiętał już, kto to był.

Stary Niemiec zostawił jedną kwestię nie rozwiązana: zakładanie tych samych skarpet.

Leland zwrócił uwagę na zmianę tonu wentylatora. Nie, to nie było to. To muzyka ucichła.

Nagle. Zastanawiał się, czemu go to uderzyło, i wtedy przypomniał sobie, co go zaniepokoiło w jadącej ciężarówce: to była ta sama, którą pół godziny wcześniej widział zaparkowaną na bocznej ulicy koło Wilshire. Nic dziwnego, że facet w jaguarze chciał ukryć mikrofon.

Telefon nie działał?

Leland nachylił się po browning, gdy usłyszał kobiecy krzyk.

Od razu oprzytomniał. Założył kaburę, wyjął pistolet, odciągnął bezpiecznik i wprowadził kulę do lufy. Zgasił światło i delikatnie uchylił drzwi - korytarz był pusty. Ale słyszał męski głos, choć nie rozróżniał jeszcze słów.

Musiał się zdecydować, co robić, natychmiast. Buty zostawił w łazience. Jeśli ktoś wykrzykiwał rozkazy do uczestników przyjęcia, to za chwilę jego pomocnicy przeszukają pokoje na tym piętrze. Ilu ich było? Schody znajdowały się po drugiej stronie holu z windami.

Przez sekundę będzie widoczny od strony głównego korytarza, ale jeśli wszyscy będą patrzeć w przeciwną stronę - w stronę pokoju, gdzie odbywało się przyjęcie - może mu się udać.

Browning. Jeśli go z nim złapią, to dojdzie do strzelaniny. Jeśli zostawi tu pistolet i zostanie on znaleziony, to rozejrzą się za właścicielem. Nie miał czasu, żeby ukryć gdzieś broń, a nie chciał, żeby go złapali z odznaką Nowojorskiego Wydziału Policji, bez względu na jej pochodzenie. Wyszedł z podniesionym pistoletem i na bosaka na gęsty dywan w korytarzu.

Głos stawał się coraz wyraźniejszy, gdy Leland zbliżał się do windy. Powinien posłuchać, co mówią, ale najpierw musi zapewnić sobie bezpieczeństwo, przynajmniej częściowo. Zatrzymał się pięć

kroków przed rogiem.

Akcent. Nie mógł jeszcze odróżnić słów. Akcent był niewyraźny; uważne dobieranie słów wskazywało, że mówiący uczył się języka dopiero w szkole albo jeszcze później. Leland przebiegł przez hol pomiędzy windami a drzwiami prowadzącymi na schody.

Czworo. Jednego z nich rozpoznał, cholera! Niech to cholera! Wszyscy uzbrojeni w najlepszą na świecie broń - pistolety maszynowe Kałasznikowa, AK-47. Leland zatrząsł się z wściekłości. Powinien lepiej to rozegrać!

Czekał, starając się opanować oddech. Gdyby został zauważony, podniosłyby się krzyki. Musiał zastanowić się nad tym, co zaobserwował, a było tego sporo. Musiał

pomyśleć. Pewne było, że w tej chwili nie mógł nic zrobić. Teraz powinien podjąć decyzję na podstawie informacji, które zdobył do tej pory. Otworzył drzwi prowadzące na klatkę schodową, wszedł i cichutko zamknął je za sobą. Skierował się na górę, czując pod stopami zimne, szorstkie betonowe stopnie.

ROZDZIAŁ 5

Godzina 20.19

Wszedł na trzydzieste czwarte piętro. Powinno wystarczyć. Oświetlenie było wyłączone i przez wysokie okna budynku mógł zobaczyć światła miasta, rozbłyskujące aż po niewyraźny horyzont. To piętro różniło się od trzydziestego drugiego. Było zbyt otwarte, aby zaoferować jakieś skrytki, gdzie mógłby się ukryć.

Uświadomił sobie, że będzie musiał sporo dowiedzieć się o budynku. Najpierw powinien poznać jego konstrukcję. Na każdym piętrze powtarzała się ta sama zasada: osiem wind, cztery po każdej stronie centralnego holu. Nie wiedział, czy jeszcze działają, a nie chciał ujawnić się, włączając jedną z nich. Cztery klatki schodowe zostały rozmieszczone za holem z windami, przy zewnętrznych rogach budynku. Przyjęcie odbywało się w części południowo-zachodniej. W porządku. Mógł zejść na trzydzieste drugie piętro po schodach, ale na razie wolał się trochę zastanowić.

Przeszedł holem wokół budynku, przyglądając się z góry ulicom. W dwóch bocznych uliczkach znajdowały się wjazdy do garaży i rampy wcinające się w plac otaczający gmach.

Jak pamiętał, wejście znajdowało się na poziomie drugiego piętra, całe oszklone, tak iż główny hol i podtrzymujące budynek filary były widoczne z zewnątrz. W tak dużym budynku podziemne garaże musiały być głębokie na dwa, może trzy piętra. Na najniższym poziomie znajdował się system ogrzewania, siłownia i centrala telefoniczna. Na najniższych piętrach budynek był nie do obrony, ale jeśli się wyłączyły windy, to jego góra była lepsza od średniowiecznego zamku obronnego. Nawet wojsko nie miało szans go odbić.

Czterej mężczyźni w dżinsach i wiatrówkach, uzbrojeni w kałasznikowy, zapędzili wszystkich ludzi do centralnego pokoju. Leland nie widział Steffie, Judy czy Marka, ale dojrzał Riversa i Ellisa. Obaj

stali z rękoma nad głową.

Kilka osób, jeśli tylko zachowa rozsądek, zda sobie sprawę, że Lelanda nie ma w tłumie. Największe zaufanie miał do Riversa, bez względu na to, co sądził o jego charakterze.

Rivers był typem człowieka, który stara się przede wszystkim przetrwać. W tej sprawie bardziej ufał Riversowi niż własnej córce. Dawno temu kochała go i wierzyła mu bezgranicznie. Ostatnio spostrzegł, że coraz bardziej działa jej na nerwy. Uważała go za niemodnego, nienaturalnego dziwaka. Nie siedzieli jednak w jej nowoczesnej kuchni w Santa Monica. Tutaj, z powodu swojej pozycji, była bardziej zagrożona, niż mogła to sobie uświadomić.

Człowiek, którego Leland rozpoznał, był mordercą znajdującym przyjemność w swoim fachu - kimś, kto dzisiejszej nocy będzie zabijał tylko po to, by wykazać swoje panowanie nad sytuacją.

Leland zdecydował się zejść południowo-wschodnimi schodami na trzydzieste drugie piętro. Drzwi na klatkę były bardzo grube, ognioodporne i dźwiękoszczelne. Klamka dała się łatwo przekręcić, otwierając je bezszelestnie. Zatrzymał się. Nie miał żadnej możliwości sprawdzenia, czy z drugiej strony ktoś nie patrzy na drzwi. Uchylił je lekko.

Naprzeciw znajdowała się pusta ściana. Usłyszał męski, głos, na tyle wyraźny, że mógł zrozumieć niektóre słowa.

- "Wy, ludzie..." i coś tam dalej, jakby "cały świat patrzy..." Leland wyszedł na korytarz. Chciał zobaczyć, co się dokładnie dzieje w głównej sali.

Chciał zwłaszcza wiedzieć, ilu ich jest. Hol zwężał się, by przejść w ciemny korytarz, w którym byłoby trudno cokolwiek wypatrzeć z jasno oświetlonej sali. W lewej ręce Leland trzymał pistolet. Nawet gdyby go zauważono, miał szansę, żeby wrócić na schody. Dopóki nie dowiedzą się, że ma pistolet, nie uznają go za zagrożenie dla siebie.

Nie ujrzał tego, co miał nadzieję zobaczyć. Widział tylko jednego mężczyznę z pistoletem maszynowym i część tłumu. Ludzie nadal musieli trzymać ręce na, głowach.

Przywódca terrorystów, człowiek, którego Leland rozpoznał, przemawiał do nich. Leland zorientował się, że tamten człowiek wie, iż są zabezpieczeni od dołu. Wrócił na klatkę schodową i wspiął się jedno piętro wyżej.

Jego podejrzenia potwierdziły się: trzydzieste trzecie piętro różniło się od pozostałych, które widział. Ciąg niewielkich pokoiów wiodących do dużych pokoi biurowych. W

niektórych znajdowały się nawet telewizory. Powinien uporządkować swoje wiadomości o budynku i przygotować charakterystykę każdego obejrzanego piętra. Jeśli będzie zmuszony do ucieczki, to ma szansę przetrwać, o ile będzie wiedział, w którą stronę należy się udać.

Wracając do bandy, zauważył na razie czworo ludzi. Nawet jeśli używali radia, to potrzebowali co najmniej dwóch osób na dole - w głównym holu i w pokoju kontroli. Ten w holu musiał właśnie odsyłać policję. Gdyby Leland chciał znaleźć się na ulicy, zejście po schodach zajęłoby mu z

piętnaście minut. Jego przewagę stanowiło zaskoczenie i dlatego może udało mu się wydostać na ulicę. Ale co potem?

Znał dobrze odpowiedź. Brał udział w tajnych seminariach i konferencjach, na których przygotowywano plany antyterrorystycznego działania departamentów policji. To był jedyny powód stworzenia specjalnych jednostek SWAT⁴. Walka z Symbionese Liberation Army⁴

stanowiła najlepszy tego przykład. Były szef Wydziału Policji Los Angeles, Ed Davis, trafnie wskazał strategię, przyrównując ją do określenia sposobu zwalczania piractwa powietrznego:

“Powywieszać ich na lotniskach”. Ta strategia streszczała się w zdaniu: “Zabić ich wszystkich”. Kryjówka terrorystów z Symbionese Liberation Army została zrównana z ziemią i wszyscy zginęli.

W Entebbe zakładnik, który nie posłuchał rozkazu i podniósł głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje, został zastrzelony przez żołnierza izraelskiego.

Zakładnicy nie byli najważniejsi. W definicji problemu liczyła się natura fali międzynarodowego terroryzmu. Wykłady, pokazy slajdów, raporty, portrety psychologiczne, wszystkie materiały udostępniane przez różne rządy i międzynarodowe korporacje nie zostawiały alternatywy. Na świecie wielu młodych ludzi zajmowało się terroryzmem, działając czasami w pojedynkę, ale częściej w zorganizowanych grupach. Znajdowali oni poparcie i schronienie w takich krajach, jak Syria, Liban, Jemen Południowy czy Libia, a ich głównym celem było zniszczenie porządku społecznego we wszystkich niekomunistycznych krajach na świecie. Ich plany, co prawda, obejmowały budowę rewolucyjnego społeczeństwa, ale poszczególne grupy poważnie różniły się między sobą w pomysłach co do wyglądu tego nowego systemu.

Jajogłowi kreślili różne scenariusze następstw tej walki, opierając się na danych o rewolucjach: francuskiej z 1789 roku, sowieckiej, chińskiej oraz wietnamskiej - czystki, masakry, ludobójstwo, kontrrewolucje, schizmy. Jeden nieduży, tłusty akademik, dumny z tego, że może pracować z “twardymi facetami”, powiedział: “Przewidujemy trzydziestoosiemoprocentową szansę na światową anarchię, w miejsce piętnasto-dwudziestoprocentowej szansy, jaka istnieje obecnie”.

Psycholodzy byli trochę bardziej pomocni, ale naprawdę przydatni okazali się psychiatrzy, ze swoimi pięcioma podstawowymi psychicznymi portretami ludzi. Te dzieciaki nie wywodziły się ze średnich klas, dających społeczeństwu zarozumiałych smarkaczy - jak to przedstawiały gazety. Argentyńczyk, który wychował się w domu z prasowanych pojemników, kartonów i puszek; Palestyńczyk, który wyrósł w obozie dla uchodźców, naprzeciw apartamentów i luksusowych hoteli, i stracił wszystkie zęby w wieku dwudziestu lat - to ludzie, którzy nie widzieli celu w życiu, szukali wybawienia w śmierci lub w 3 SWAT (Special Weapons and Tactics) — specjalna jednostka antyterrorystyczna.

⁴ Amerykańska organizacja terrorystyczna działająca w latach siedemdziesiątych, głównie w miastach.

zabijaniu. Ci młodzi wiedzieli, że muszą zginąć i to trzymało, ich razem. Przed misją udawali się do kryjówki, gdzie wymieniali się dziewczętami. Młody Japończyk, ostrzeliwujący lotnisko z pistoletu maszynowego, mimo iż był śmiertelnie przerażony, wiedział, że raj jest w zasięgu ręki. Byli

naprawdę wyklętymi na ziemi.

Trzeba było dopiero udać się do Europy, żeby znaleźć zamożnych smarkaczy. Ursula Schmidt, niemiecka poetka wysławiająca śmierć; włoscy młodzieńcy lubujący się w powolnym zabijaniu polityków; czy Mały Czerwony Tony z Niemiec, który kochał dramat unicestwienia i robił z niego przedstawienie, poprawiając krawat ofiary przed śmiertelnym strzałem w jej piersi - nazywał to "robieniem czarnej butonierki".

Leland rozpoznał na dole właśnie Małego Tony'ego - Antona Grubera.

Profesjonalna rada, z którą zgodzili się koledzy Lelanda, określała tych ludzi jako niepoczytalnych, dla których żadne okrucieństwo - wysadzenie samolotu pasażerskiego rakieta, obcięcie penisa człowiekowi w Zairze, zastrzelenie pilota błagającego na kolanach o życie - nie było zbyt wielkie.

W czwartek, w ostatni dzień konferencji na temat terroryzmu, kiedy Leland z resztą uczestników udał się do sali i czekał na raporty zebrane z komisji i podkomisji, zauważył, że sala jest ponownie przeszukiwana w celu znalezienia urządzeń podsłuchowych. Na podium siedział szef Departamentu Środkowego Zachodu, siwy, szczupły, sześćdziesięcioletni mężczyzna, jeden z najbardziej szanowanych policjantów w kraju. Jego wąskie usta były mocno zaciśnięte i blade. Ze względu na szacunek zebranych do szefa, spotkanie odbywało się w spokojnej atmosferze, a przewodniczący oznajmił, że chyba nie będzie obiekcji jeśli zmienią plan. Bez dalszych wstępów i nie podnosząc głowy, szef zaczął wolno mówić:

- Przepraszam was za tę zmianę, ale miałem długą i ciężką noc. Zależy mi na tym, żebyśmy mogli porozmawiać szczerze. Chciałbym powiedzieć otwarcie wszystko, co mi przyszło do głowy. Im dłużej myślałem dzisiejszej nocy o tej sprawie, tym bardziej koncentrowałem się na znalezieniu odpowiedzi na pytanie: jaką pozycję ja sam zajmuję w tej kwestii? Nie dawało mi to spokoju. Nagle oprzytomniałem: nie tylko miałem przed sobą najbardziej zagmatwaną sprawę, z jaką policjant może mieć do czynienia, ale było to także jedno z najtrudniejszych pytań, na które człowiek musi sobie odpowiedzieć.

Obrócił się lekko w krzesło i spojrzał na młodszych ludzi w ostatnich rzędach.

— Ci z was, którzy mnie znają, wiedzą, że patrolowałem ulice przez osiem lat i służyłem na południowym Pacyfiku w piechocie morskiej przez trzydzieści trzy miesiące.

Widziałem sporo i wiem, że życie może być okropne. Od trzydziestu siedmiu lat jestem z moją żoną i dzisiaj kocham ją bardziej niż jako młody chłopak. Mam cztery córki - wszystkie ukończyły studia - i dziewięcioro wnuków i wnuczek. Chcę opuścić tę konferencję w sobotę, ponieważ mamy przyjęcie urodzinowe mojej osiemdziesięciosiedmioletniej ciotki. To najmłodsza siostra mojej matki i myślę, że urządza to przyjęcie, ponieważ zdecydowała się umrzeć. Byliśmy blisko siebie przez większą część naszego życia i jestem przekonany, że czuje się usatysfakcjonowana tym, co rodzina osiągnęła przez te lata.

Wstał z krzesła.

- No cóż, te terroryzujące dzieciaki pokazały nam wyraźnie, że profesjonalnie traktują manipulowanie wszystkim, co może przynieść realizację ich wielkich planów, a to z kolei spowodowało, że zacząłem myśleć o mojej rodzinie i uświadomiłem sobie, ile dla mnie znaczy. Słuchałem uważnie tego, o czym mówili psychiatrzy i rozumiałem, w jaki sposób ci młodzi ludzie doszli do swoich poglądów. Tak w ogóle niewiele się myślą co do tego, w jaki sposób urządzony jest ten świat. Ja też chciałbym, żeby każdy miał równą szansę w życiu, ale nie tylko nie zgadzam się na zabijanie, lecz w ogóle nie widzę związku pomiędzy zabijaniem a sprawiedliwością społeczną, do której podobno dążą. Widziałem trochę w życiu, także i tego typu rzeczy. Kiedy ludzie zaczynają zabijać, tak jak to robią te dzieciaki, nie mogą później się wycofać. Kiedy oni dostaną władzę - jeśli dostaną - zorganizują tajne procesy i tajną policję, a zabijanie przerodzi się w masowe zabójstwa i ludobójstwo — nie trzeba być historykiem, aby wiedzieć, że w świecie rządzonym przez fanatyków prawem staje się bezwzględność. Nie trzeba się nawet specjalnie przyglądać obecnym czasom. To przecież inkwizycja zniszczyła Hiszpanię. Muszę się przyznać, że jest to dla mnie bolesna sprawa.

Wychowano mnie w przekonaniu, że Stany Zjednoczone są krajem dla każdego człowieka i że spada na nas obowiązek stworzenia takiego świata, jakiego te dzieciaki pragną. Kiedy trochę dojrzałem i mogłem popodróżować za granicę, ujrzałem drugą stronę medalu; jeśli jesteśmy częścią światowej rodziny, to inne społeczeństwa są dla nas prawnukami kuzynów naszych pradziadków - odmienność pomiędzy nami a nimi wynika przede wszystkim z niewielkich różnic na początku drogi. Zebraliśmy się tutaj, ponieważ świat znalazł się w takiej sytuacji, że i nasz kraj przestał być tak bezpieczny jak dotąd. Moja ciotka i ja zgadzamy się co do tego, że był czas, kiedy rodziny musiały się trzymać razem. Wielu się to nie udało.

W ciągu ostatnich piętnastu, dwudziestu lat widzieliśmy, jak wiele ludzkich istnień zmarnowano lub zniszczono.

Cofnął się o krok i poprawił pasek od spodni.

- Ostatniej nocy zadałem sobie pytanie: jak mam wiązać moje życie zawodowe z tym wszystkim? Jestem oficerem policji i pracuję w wydziale odpowiedzialnym za bezpieczeństwo półtora miliona ludzi. Jestem zawodowcem w tym, co robię, ale jestem ograniczony masą przepisów, regulacji prawnych i zasad postępowania. Na przykład w moim departamencie obowiązuje przepis o użyciu siły, który liczy czterdzieści siedem stron.

Wszystko jest jawne. Jeśli ktoś zamierza wdepnąć w kłopoty, może wcześniej sprawdzić, jakie przysługują mu prawa. Mówiłem już, że chcę swobodnie poruszyć to, co mnie zastanawia. Zeszłej nocy starałem się przewidzieć możliwe opcje i ustalić, co oznaczałoby dla mnie ich przyjęcie. Przypomniałem sobie moje własne zarządzenia o stosowaniu siły. Przed użyciem broni w miejscu przestępstwa moi oficerowie są zobowiązani do podjęcia absolutnie wszystkich możliwych środków zapewniających bezpieczeństwo publiczne. W każdym wypadku. O czym my jednak, do cholery, mówimy? O zazdrosnym eks-małżonku, który trzyma na muszce byłą żonę i dziecko? O trzech typkach napadających na sklep spożywczy?

Bez względu na to, czy typki w spożywczych wiedzą o tym, czy nie, ostatnią rzeczą, jakiej my chcemy, jest postrzelenie kogoś. Jeśli o mnie chodzi, jestem przekonany, że przypadkowe zabójstwa niszczą morale, całego wydziału, jeśli zdarzają się zbyt często.

Wyprostował się.

- Te dzieciaki nie są grupką zagubionych ludzi szukających wyjścia. Są ściśle zorganizowaną bandą młodych psychopatów, dla których nic nie jest zbyt podłe, okrutne, niecywilizowane, jeśli tylko przyspiesza ogólną psychozę strachu. I dlatego nie chcę pozwolić, aby nasze społeczeństwo stało się ich polem bitwy. W ten czy w inny sposób zamierzam udowodnić, że wszelkie przekroczenie prawa spotka się z najbardziej zdecydowaną odprawą. Ci ludzie mówią, że walczą o przyszłość. No cóż, na moim terenie nie znajdą żadnej przyszłości. W rezultacie nie będzie więcej incydentów, przekazów telewizyjnych czy pokazowych rozpraw. Ci szaleńcy nie staną się publicznymi bohaterami.

Żadni zakładnicy nie będą więcej brani, aby wynegocjować ich wolność. Jak powiedziałem, długo się nad tym wszystkim zastanawiałem. Nie podobają mi się wynikające z tej konferencji wnioski. Wiem, że będę musiał za nie odpowiedzieć przed moim stwórcą. Jednak te dzieciaki już pokazały, iż nie zamierzają negocjować, jeśli nie pozwala to im osiągnąć wyznaczonych celów i zmusza do przyjęcia czyichś argumentów. Moja stara ciotka nie musi mi przypominać, że dotyczy to moich córek, ich dzieci i tego, co rodzina zdołała osiągnąć w ciągu kilku pokoleń. Jest dla mnie także jasne, iż nie powinniśmy oczekiwać pomocy ze strony środków przekazu i że nie jest to ich wina. Przekazywane wiadomości są tylko takie, jakie sami tworzymy. Jeżeli zaczniemy paradować z więźniami przed kamerą, to dziennikarze opowiedzą nam zaraz, co który z nich jadł już w wieku lat siedmiu, a jeśli nie będą wiedzieli, to łatwo to wymyślą. Telewizja rejestruje jedynie to, co jej pokazujemy. Chcę, żebyście mnie dobrze zrozumieli. Więzień jest jedynie nadętym, zadziornym chujem, a jego zwłoki są jedynie odpadkiem. Bandzior, który wyciągnie pistolet na moim terenie, musi oczekiwać wszystkich możliwych konsekwencji. Mam na myśli śmierć. Jeśli ci ludzie pojawiają się wśród mojego społeczeństwa, to zostaną wyniesieni na noszach, z odkrytymi kocami, żeby każdy dokładnie mógł zobaczyć, co może go spotkać. Używam każdego słowa świadomie i niech Bóg mnie osądzi; całą odpowiedzialność biorę na siebie.

Usiadł na swoim miejscu. Szefowie policji, jeden po drugim, wstali z miejsc i zaczęli klaskać. Leland i potężny facet siedzący po jego prawej stronie wstali na końcu.

- Zginie wielu niewinnych ludzi - powiedział sąsiad Lelanda.

Starszy mężczyzna w rzędzie przed nimi odwrócił się do nich.

- Za dziesięć, pięć lat, te skurwiele dorwą się do bomby atomowej. Czy myśli pan, że zawahają się przed jej użyciem?

Obecnie nie miało to wszystko większego znaczenia. Mały Tony, mężczyzna, którego Leland rozpoznał na dole, był jednym z tematów wykładów psychiatrów: Anton Gruber vel Antonino Rojas. Mały Czerwony Tony, który poprawiał kołnierzyki, który lubił "zrobić prezent ze śmierci" w formie czarnej butonierki.

Leland musiał dowiedzieć się wiele więcej. Była już 20.52. Znajdowali się w budynku ponad pół godziny, ale jak na razie nie doszło do żadnej strzelaniny. Nie był to wcale dobry znak. Jaki mieli plan? Było ich zbyt wielu, aby planowali samobójczy atak. Podśluchana rozmowa świadczyła o tym, że nie zamierzali kryć się, a to z kolei oznaczało, iż chcieli zabrać zakładników ze sobą.

Jeśli posłużą się nimi jak tarczą, mogą upchać w ciężarówce trzydziestu, do czterdziestu zakładników. Jeśli dysponowali kałasznikowami, to pewnie mieli też granaty.

Leland uświadomił sobie, że słucha odgłosu jadącej windy.

ROZDZIAŁ 6

Godzina 20.56

Biegł na bosaka po dywanie. Wyglądało na to, że winda jedzie do góry i chciał być pewien przynajmniej tego jednego.

Na trzydziestym trzecim piętrze hol z windami był oświetlony jak w czasie godzin urzędowania. Przyłożył ucho do drzwi w odpowiednim czasie, by usłyszeć, że drzwi windy otwierają się gdzieś wysoko nad nim.

Czterdzieści pięter. Siedem pięter do szczytu. Jakieś dziesięć stóp na każde piętro, siedemdziesiąt stóp. Czteryście stóp od parteru do szczytu budynku. Wiedział, że jest w dobrej kondycji. Codziennie rano robił przez dziesięć minut przysiady i starał się jak najwięcej chodzić. Na czterdziestym piętrze znajdowało się biuro Riversa i przypuszczalnie biura pozostałych dyrektorów.

Wrócił na północno-zachodnią klatkę schodową pewien, że usłyszy windę, gdy będzie zjeżdżała. Zatrzymywał się na każdym piętrze, żeby zapamiętać jego rozkład. Im więcej zbierze informacji, tym lepiej. To było minimum. Jakie było maksimum tego, co mógł zrobić?

Uwolnić zakładników. Zatrzymał się na trzydziestym ósmym piętrze, żeby chwilę odpocząć.

To piętro także miało otwartą konstrukcję.

Mógł im przeszkodzić, zwłaszcza spowodować, żeby dowiedziano się o ataku wcześniej, niż odpowiadało to terrorystom. Jak zauważył strażnik na dole, dzisiejszej nocy było bardzo mało policji na ulicach, może nie więcej niż dwustu, trzystu policjantów na całe miasto. SWAT powinien być gotów w minutę po powiadomieniu, ale poszczególni jego członkowie byli wzywani indywidualnie. Wydział Policji będzie potrzebował więcej czasu niż SWAT. Leland znał procedurę: w ciągu trzech godzin powinien zostać powiadomiony znajdujący się na służbie zastępca szefa.

Jeśli Leland opuści budynek, żeby wezwać policję, zakładnicy przez cały ten czas będą zdani na łaskę napastników. Z drugiej strony jego obecność tutaj może wywrzeć pewnego rodzaju nacisk na terrorystów.

Co mógłby zrobić?

Jeśli poczeka, aż winda będzie ponownie zjeżdżała na dół, i naciśnie guzik, to kabina się zatrzyma, drzwi się otworzą, a terroryści dopiero po chwili zorientują się, gdzie się znajdują i że czeka na nich Leland.

Ale nawet gdyby było ich w windzie tylko dwóch, to on ze swoim browningiem będzie miał i tak

niewielką szansę przeciw broni maszynowej. Przypuścimy, że załatwi tych dwóch i zdobędzie ich broń. Pozostali jednak zorientują się po ranach, iż jest sam i że ma tylko pistolet.

Im mniej dowiedzą się o nim, tym większe ma szansę na przetrwanie. Tym dłużej będzie żył. Pomyślał, że największą szansę przeżycia miałby nie robiąc nic. Po prostu zwyczajnie wyszedłby z budynku i pozwolił wypadkom, rozwijać się w naturalny sposób.

Jednak mógł im przeszkodzić. Mógł wysłać sygnał z budynku. Mógł spowodować że zwróciliby uwagę na niego. Na to było go stać. Miał przecież browning z trzynastoma nabojami. Na początku na pewno będą sądzić, że jest nie uzbrojony. W rzeczywistości im dłużej uda mu się ukryć istnienie browninga, tym ważniejszą bronią stanie się on dla niego później.

Zatrzymał się jeszcze raz na trzydziestym dziewiątym piętrze, by sporządzić plan niższych pięter. Wybrał odpowiednie miejsce na przechowanie zebranych informacji, gdyż tutaj znajdowały się komputery Klaxon.

Leland narysował nieduży schemat, oparty na zebranych informacjach i dedukcji: piętro czterdzieste: biuro dyrekcji - jak luksusowe?

piętro trzydzieste dziewiąte: komputery;

piętro trzydzieste ósme: otwarte - same biurka;

piętro trzydzieste siódme: część północna - biura;

część południowa - edytory tekstu;

piętro trzydzieste szóste: pomieszczenia oddzielone ściankami i przepierzeniami; piętro trzydzieste piąte: otwarte;

piętro trzydzieste czwarte: otwarte;

piętro trzydzieste trzecie: biura i pomieszczenia telewizyjne; piętro trzydzieste drugie: zakładnicy.

Były to cenne informacje, ale nie warte zachodu, jeśli nie uda się przekazać lub wysłać wiadomości. Leland zdawał sobie sprawę, że będzie martwy, gdy nie potraktuje tej sprawy jak otwartej wojny. Ci ludzie musieli mieć jakąś wtyczkę wewnątrz. Weszli po otrzymaniu sygnału, że ostatni z oczekiwanych gości już przybył. Leland był absolutnie pewien, że działali na podstawie wcześniej zdobytych informacji, nawet jeżeli pochodziły one od jakiejś naćpanej sekretarki, jak ta, którą spotkał na dole.

Znaczyło to, że banda wie, kto tu jest naprawdę ważny, a kto nie. Pytanie brzmiało: jak dużo wiedzieli? Leland musiał przyjąć najgorszą możliwość.

Wszedł na ostatnie piętro. Drzwi otwierały się na wąski hol, wyłożony bogatą boazerią i miękkimi dywanami. Światła były zapalone. Leland słyszał jedynie szum wentylatorów i nic więcej. Piętro musiało składać się z płataniny biur, pokoi konferencyjnych, restauracji, a może nawet małej sali

gimnastycznej.

Leland stał nieruchomo. Coś jeszcze?

Model mostu.

Co jeszcze łączyło się z mostem?

Przyjął, że terroryści pochodzili z Europy, na przykład z Niemiec. A jak wyglądał młody chłopak z Chile? Junta wojskowa w tym kraju była najbardziej bezwzględna w całej Ameryce, równie skłonna do posługiwania się torturami i zabójstwami jak Duvalier na Haiti.

Znowu usłyszał szum windy. Znajdował się tak blisko dachu i dźwigu windy, że mógł zgadnąć, iż nie była to kabina, która zatrzymała się na tym piętrze, tylko inna, jadąca z dołu.

Znał odpowiedź na kolejne pytanie: jak na razie nie wyłączyli wind.

Winda jechała na samą górę. Leland rozepchnął nieco drzwi.

- *Wo sind sie?* - Ten głos już słyszał.

- *Durch diese Türen, ganz da hinten.*

Leland znał dosyć dobrze niemiecki: Mały Tony chciał wiedzieć, gdzie “oni” się znajdują, i usłyszał, że musi “iść na tył budynku”. Zdecydował się zaryzykować. Skierował

się w przeciwną stronę. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Całe piętro było popisem dyrektorskiej wystawności i obowiązującej w biurze hierarchii. Zdał sobie sprawę, że tu będzie miał cięższe zadanie ze znalezieniem klatki schodowej niż na niższych piętrach.

Znajdował się w południowej części budynku. Biura prezesa i przewodniczącego powinny być po stronie północnej, z dala od bezpośrednio operującego słońca. Ze względu na pozycję Riversa, jego biuro także powinno się tam mieścić. Leland starał się ustalić własne położenie na podstawie światła za oknami, rozciągających się od budynku aż po horyzont.

Chyba zapędził się w ślepią uliczkę. Znalazł się w prywatnym biurze, ale dziwnie małym, wąskim i bez okien. Drugie drzwi były masywne i ciężkie. Znowu wyjął pistolet.

Pokój po drugiej stronie tonął w ciemnościach. Szczelina w następnych drzwiach była wyjątkowo jasna - wystarczająco jasna, aby mógł się zorientować, że jest to czytelnia ze stołem pośrodku i krzesłami. Biblioteka prawnicza. Wiedział dostatecznie dużo o wielkich korporacjach, żeby ustalić, gdzie jest biuro prezesa.

Po przeciwnej stronie słychać było z pewnej odległości jakieś odgłosy. Otworzył

delikatnie drzwi i pierwszą rzeczą, jaką zauważył, był na nich napis: "Biblioteka".

Przed sobą miał długi korytarz - biegnący wzdłuż niemal całego budynku, aż do okien wychodzących na Wilshire Boulevard. Obszedł windy naokoło. Poczł się znacznie pewniej.

Otworzył szerzej drzwi, ale coś zmusiło go do zatrzymania się i cofnięcia do środka.

Na końcu korytarza zapaliło się światło. Poczł, jak bije mu serce. Chyba wcześniej mignął mu jakiś cień. Musi się nauczyć ufać sobie. Wyszło dwóch mężczyzn, jednym z nich był

Anton Gruber. Zatrzymali się i zaczęli rozmawiać. Przez ramiona mieli przewieszane torby.

Leland wstrzymał oddech, żeby lepiej ich usłyszeć. Znajdowali się jednak tak daleko, że ich głosy dochodziły do niego jakby przez ścianę.

- *Besteht eine Möglichkeit, dass er uns helfen wird?*

- *Ich glaube nicht. Der weiss doch, dass wir ihn umbringen werden, sobald er uns gibt, was wir wollen.*

Rozmowa związana była z obowiązkami zawodowymi Riversa.

- *Ich mag das Töten nicht.*

- *Je schneller wir ihn umlegen, umso leichter wird uns das Töten in der Zukunft fallen, wenn es notwendig wird. Dieser Mann verdient den Tod. Bring ihn jetzt her und wir erledigen das.*

Leland poczekał chwilę i wyjrzał na korytarz. Miał dziwne uczucie, jakby patrzył w lustro. To o tym myślał przez cały wieczór, ale od kiedy dokładnie?

Gruber trzymał w ręku waltera. Chciał kogoś zabić, jak te dzieciaki, o których mówiono na konferencji. Przed nim stał Rivers i on był tym celem. Gruber strzepnął nie istniejący pyłek z ramienia Riversa, stojącego z miną człowieka, który nie mógł uwierzyć w to, co się działo. Gruber przyłożył waltera do klapy marynarki Riversa i pociągnął za spust. W

oczach Riversa pojawiło się pełne niedowierzania przerażenie i już nie żył, nim przebrzmiał odgłos wystrzału - przysiadł, a potem przewrócił się na podłogę jak kosz z brudną bielizną.

Leland zaczął uciekać. Zatrzymał się dopiero na trzydziestej czwartej kondygnacji -

chciał się znaleźć na otwartym piętrze.

"To było zupełnie jak w lustrze".

Pod nim rozpościerało się miasto, spokojne i mrugające świątecznymi neonami w wigilijny wieczór.

A na czterdziestym piętrze budynku Klaxon leżał martwy Rivers, z sercem wyglądającym jak kawałek surowej wołowiny. Szok pozbawił ofiarę czucia, zanim jeszcze padła martwa. Tak przynajmniej mówią myśliwi. Trafiony jeleń pada na ziemię, jak gdyby zrzucano go z ciężarówki.

“Jak odbicie w lustrze...” - myślał o tym już w St. Louis na zaśnieżonym Lambert Field. Oficer Lopez, który powinien się znaleźć w Los Angeles. Leland nie natknął się w samolocie na szeryfa, tylko na Kathi Logan. Chciał znowu znaleźć się w samolocie. Nigdy nie słucha się samego siebie.

Leland widział to na twarzy Riversa. Tamten miał ułamek sekundy, żeby zrozumieć, co się z nim stanie. Po Riversie przyjdzie kolej na Ellisa, a później na Stephanie. Ellis był tyle wart, ile czasu zajmie mu zorientowanie się, że Rivers nie żyje. Ellis i tak nie mógł pomóc terrorystom na tym piętrze. Jego biuro znajdowało się na trzydziestym drugim.

Była godzina 21.11.

Gruber ze swoimi ludźmi zajmował budynek od przeszło godziny.

Najpierw musiał przygotować plan. Nie mógł nie zauważony wysłać wiadomości. To oznaczało, że terroryści zaczną go poszukiwać. Czy mógł sprawić, aby go nie docenili? Co dalej? Jeśli popełnią jeden błąd, to czy uda mu się zmusić ich do popełnienia drugiego? A jeśli i to mu się uda, to czy zdoła to wykorzystać? Będzie musiał działać, nie wiedząc, czy jego sygnał został odebrany.

Starał się wymyślić plan, który da mu nie tylko przewagę, ale przede wszystkim siłę rozpędu. Wiedział, jak wyglądają wszystkie piętra, poza tym miał swój dokładny plan budynku.

Jeśli tylko uda mu się zrobić pierwszy zdecydowany krok, to będzie dysponował drugim środkiem komunikacji, ale za cenę zniszczeń. Chciał dostać w swoje ręce jeden z tych kałasznikowów.

To później, na razie musi wystarczyć nóż.

Noża pewnie nie znajdzie, ale w którejś z szuflad sekretarek powinny leżeć nożyczki.

Latarki mogą się znajdować w szafkach. Na każdym piętrze wisiały siekiery strażackie i węże. Zastanawiał się, czy mógłby sprawdzić ciśnienie. Całą swą wyobraźnię zaprzęgnął do rozwiązania tego problemu. Właśnie, lustro. To nie on wykonał pierwszy krok. Zrobił go za niego na czterdziestym piętrze dupek Rivers.

Para nożyczek. Miał zamiar poprzecinać niektóre przewody.

ROZDZIAŁ 7

Godzina 21.27

Znajdował się na trzydziestym czwartym piętrze. Przygotował już trzydzieste piąte i teraz, kiedy szykował także i to, stracił całą pewność siebie. Jeden celny strzał i jest martwy.

Czy był na to gotów? Bardziej niż Rivers, który leżał na eleganckim dywanie na górze.

Widział wiele zwłok i umierających ludzi, ale pierwszy raz patrzył, jak ktoś z zimną krwią zabija innego człowieka. Leland zapomniał już, jak sam wycelował pistolet w wielkiego faceta za kierownicą furgonetki w zaśnieżonym St. Louis. Był ciekaw, jak taksówkarz dał

sobie radę. Pewnie siedział już w domu z rodziną i Leland mógł przestać martwić się o niego.

Jego pomysł właściwie nie miał szans na powodzenie, ale musiał spróbować. Nie mógł sobie pozwolić, żeby dowiedzieli się, iż ma przy sobie pistolet. Odkrył, że może zapalać i gasić fluorescencyjne światła na górze, uważając jednocześnie na windy. Drzwi na klatki schodowe zablokował siekierami, tak aby było słychać, gdy ktoś je otworzy. Jeśli usłyszy, że ktoś się zbliża, wyłączy światła. Nie było w tym nic subtelnego czy szczególnie sprytnego, ale chciał się przekonać, ilu z nich da się na to złapać.

Patrzył na wzgórza Hollywoodu. Co można było stamtąd dostrzec? Budynek był

wysoki i stał samotnie wśród niskich domów. Napis KLAXON wykonano dużymi, ciężkimi literami i z pewnej odległości litery musiały zlewać się z niewyraźnie fosforyzującym tłem neonu. Budynek był oświetlony. Światła na trzydziestym czwartym piętrze: trzy długie, trzy krótkie, trzy długie. Nie będzie to zbyt wyraźne i pewnie zleje się z tłem. Nie miał też pewności, czy ktoś w budynku nie zauważy migających świateł. Można będzie dostrzec to lekkie migotanie z dachów przeciwległych domów - ale nawet jeśli ktoś je zaobserwuje, czy łatwo się zorientuje, skąd ono pochodzi?

Problem świateł go rozpraszał - musiał się skoncentrować na swoim zadaniu. Jeśli wierzyć popularnym magazynom, ludzie żyjący na tych wzgórzach byli ostatnimi na świecie, do których można było zwrócić się o pomoc. Leland wyobraził sobie zblazowanego aktora w jacuzzi, który myśli, że dostrzegł światła świątecznego disco. "Hej, spadaj" — Karen zawsze myślała, że mówiąc to, właściwie osądza tych ludzi. Nigdy.

Przypominali mu, że to, co robi, nie jest wcale takie ważne. Pewne formy życia rozwijały się samorzutnie i niezależnie od polityki i może nawet samej cywilizacji. Karen nigdy nie rozumiała tego, że dostrzegał związek między zblazowanymi aktorami a ludźmi stojącymi po jego stronie barykady, jak ów strażnik na dole, który ożył na myśl o możliwości zdjęcia jaguara. Ludzie w Los Angeles wydawali więcej pieniędzy na kosmetyki i zabiegi upiększające niż ktokolwiek inny na świecie. Wydawało się to śmieszne w San Francisco, gdzie z kolei wydawano najwięcej na ubrania...

Winda. Jej szum poderwał go niczym wstrząs elektryczny.

Zgasił światła. Schował się za biurkiem, z browningiem w rękę. Miał stąd doskonały widok na hol z windami. Nad jedną z wind rozbłysło białe światelko i rozległ się cichy dzwonek oznajmiający przybycie kabiny. Leland niemal uśmiechnął się do siebie. Sygnalizowali, którą kabiną nadjeżdżają.

Jeden. Tylko jeden. Cholera, trzymał w rękę thompsona. Leland postanowił złapać go na starą sztuczkę. Facet wylazł z windy. Miał jakieś dwadzieścia pięć lat. Drzwi za nim zamknęły się, ale

winda nie zjechała na dół. Powinien to zapamiętać. Chłopak ruszył

ostrożnie do przodu z palcem na spuście. Magazynek na dwadzieścia naboí.

- Hej, tam! Wyjdź z podniesionymi rękami! Widzieliśmy, jak migasz światłami!

Wyjdź! Nie skrzywdzimy cię!

Następny Niemiec. Leland musiał uważać, żeby nie znaleźć się na tle okien. Skulił się i ruszył w kierunku zachodnim, zwiększając odległość pomiędzy sobą a karabinem automatycznym. Musiał szybko znaleźć jakiś przycisk do papieru, coś wielkości kałamarza.

Szczeniak, oddalony od niego o jakieś dwadzieścia stóp, szukał przełącznika światła. Leland skierował się w stronę schodów.

- Wychodź! Nie utrudniaj nam! Mamy broń i nie boimy się jej użyć!

Doniczka. Nieduży filodendron z ładnymi, białymi liśćmi. Leland rzucił doniczkę w stronę północnych wind i usłyszał jak ziemia z doniczki rozsypuje się po biurkach - nie brzmiało to jak odgłos kroków biegnącego człowieka, ale powinno wystarczyć. Szczeniak zaczął strzelać, zanim jeszcze doniczka rozbiła się o podłogę.

Stało się coś dziwnego: trzaskający, pękający odgłos. Okna. Hartowane szkło rozpryskiwało się na miliony drobnych kawałków. Do pokoju wleciało zimne powietrze.

Skacząc od biurka do biurka, chłopak ruszył w stronę okien.

Leland skierował się do schodów i kontaktu.

Znajdował się blisko końca ściany i szybko dosięgnął go jednym skokiem. Kiedy światła się zapaliły, szczeniak obrócił się, schylił i jednocześnie strzelił. Odrzut popchnął go do tyłu i kule rozdarły ze dwadzieścia stóp uretanowych płytek na suficie, które opadły w kawałkach na biurka. Leland czekał, aż chłopak przyzwyczai się do ostrego światła.

Browning był schowany. Leland trząsł się na całym ciele. Postanowił, że go zabije, ale teraz nie był pewien, czy zdobędzie się na to. Czy będzie mógł to zrobić w zaplanowany sposób?

- Hej, śmierdzielu, tutaj!

Posypały się następne strzały, dziurawiąc tym razem ściany. Musieli tego słuchać na dole. Stephanie i Ellis wiedzieli, o co chodzi. Leland wbiegł po schodach na trzydzieste piąte piętro. Uciął wcześniej kilka metrów kabla, związał kawałki razem i zawiesił na oknie krzesło udekorowane papierem z komputerowymi wydrukami. Pułapka była raczej nędzna i Leland pomyślał, że szczeniak zrobił już tyle błędów, iż musi zacząć uważać. Leland wiedział, że jego szczęście nie będzie trwać wiecznie. Rozbijał pułapkę i cofnął się w stronę schodów.

Krzesło wolno wirowało, oświetlane co chwila smugą światła. Usłyszał ostrożne kroki na schodach.

Znajdował się za rogiem, mniej niż sześć stóp od drzwi na klatkę. Chłopak wyszedł na korytarz. Nie dał się oszukać. Z thompsonem gotowym do strzału podszedł wolno do wirującej pułapki. Leland podbiegł do niego od tyłu, z browningiem podniesionym do góry niczym pałka.

Szczeniak niemal zdążył się obrócić. Browning trafił go w skroń, zwalając z nóg.

Terrorysta nadal był przytomny i starał się za wszelką cenę wepchnąć pomiędzy nich thompsona, gdy Leland trafił go ponownie i rzucił się na chłopaka całym ciałem. Głowa szczeniaka uderzyła o podłogę, a karabin wyleciał mu z ręki i potoczył się pod ścianę.

Chłopak obrócił się, opierając się na rękach i kolanach. Był ogłuszony, ale nadal starał się dostać do ściany. Leland zacisnął ramię dookoła jego szyi i złapał go za tchawicę. Ręce ofiary wyprostowały się. Leland nie miał czasu. Oparł ramię o podstawę czaszki przeciwnika.

Uczyli tego na diagramach i rysunkach, ale bez demonstracji.

- Uwierzcie mi, że to działa - powiedział inspektor FBI, a było to niemal dwadzieścia pięć lat temu. - Mam cholerną nadzieję, że nigdy nie będziecie musieli tego robić.

Ludzki kręgosłup był gruby jak trzonek kija do baseballu. Koncentracja na tym, jak to zrobić, pozwoliła Lelandowi zapomnieć, że czyni to człowiekowi. Nie miał wyboru - na górze leżał martwy Rivers. Trzeba było rzucić się całym ciałem do tyłu, z ramieniem oddzielającym głowę od szyi. Zrobił to, jakby skakał do wody tyłem z trampoliny, i kręgosłup chłopaka złamał się z głośnym chrzęstem, niczym młode drzewo w rękach silnego mężczyzny. Głowa mu opadła.

Leland poczuł, że pęcherz szczeniaka nie wytrzyma, i przez chwilę miał ochotę zwymiotować. Musiał się uspokoić. Wciągnął głęboko powietrze i zatrzymał je w płucach.

Słyszał, jak opróżnia się pęcherz martwego chłopaka, którego nogi się trzęsły, ręce zaciskały, to była już śmierć.

Leland podniósł thompsona, położył na biurku i zabrał się do przeglądania torby nieboszczyka. Jeszcze dwa magazynki - czterdzieści naboji. Małe, ale porządne radio CB, amerykańska wersja walkie-talkie. Czekoladki - "Milky Way", "Oh, Henry!" i "Mars".

Żadnych granatów.

Ściągnął torbę ze zwłok i przewiesił sobie przez ramię. Nie był na tyle szalony, by sądzić, że zdobył przewagę. Z kogoś, o czym istnieniu nawet nie wiedzieli, stał się kimś, kogo musieli ścigać. Nie będą go także nie doceniać.

Musiał założyć, iż to był fart, który być może już minął. Powinien przyjąć, że jest już martwy - robił coś takiego w czasie wojny, mimo iż bardzo chciało mu się wtedy żyć. Karen nigdy nie potrafiła tego zrozumieć. Trzeba było zapomnieć, że ma się indywidualność i osobowość. Było to możliwe, kiedy ciało i umysł stanowiły jedność. Na tym polegała cała sztuczka.

Podsunał krzesło na kółkach do ciała i starał się ulokować zwisający ciężar na siedzeniu. Głowa

opadła niemal pionowo na piersi. Wyjął także pozostałe w magazynku naboje i włożył do karabinu świeży magazynek. Ze stołu zabrał kawałek papieru i długo pis.

Kiedy był już gotowy, podtoczył krzesło z ciałem do holu z windami. Pamiętał, że na trzydzieste czwarte piętro przyjechała druga winda i jeśli nie została ściągnięta, to szybko podjedzie o jedno piętro wyżej. Leland nacisnął guzik i schował się za rogiem.

Rozległ się dźwięk wjeżdżającej windy i kiedy otworzyły się drzwi, okazało się, że jest pusta. Leland przytrzymał nogą drzwi i obrócił krzesło.

Rozejrzał się po kabinie. Chciał się zorientować, czy uda mu się dostać na jej dach i zablokować klapę, zanim winda zjedzie na trzydzieste drugie piętro.

Odsunął płytę lufą karabinu. Będzie najpierw musiał wrzucić thompsona. Mógł zyskać sześć, dziesięć sekund, wciskając guziki trzydziestego czwartego i trzydziestego trzeciego piętra. Miał jedną wątpliwość, czy starczy mu sił, żeby podciągnąć się na dach windy? Jeśli nie, drzwi otworzą się i zamkną na trzydziestym drugim piętrze i będzie miał tylko trzynaście naboji, żeby bronić się przez trzy do pięciu sekund.

Sięgnął ręką i podciągnął się na tyle, żeby stanąć na palcach nóg. Popchnął

thompsona, nacisnął wszystkie guziki i pozwolił drzwiom zamknąć się.

Kiedy winda zatrzymała się na trzydziestym trzecim, znajdował się już na jej dachu, ale nadal siłował się z klapą, kiedy zaczęła zjeżdżać na dół. Udało mu się to w końcu - stanął

na równe nogi, przewieszając karabin przez ramię, gdy drzwi kabiny otworzyły się na trzydziestym drugim piętrze.

Czekali przy wejściu. Usłyszał westchnienie kobiety - jak to podejrzewał, mieli ze sobą kobiety. Kabina zatrzęsała się, kiedy wsiedli do niej i drzwi zaczęły się zamykać. Ktoś je szybko zablokował. Leland widział jedynie wąski pasek podłogi koło drzwi.

- *Was geht hier vor? Lass mich den Zettel sehen!*

Znowu Mały Tony. Chciał wiedzieć, co się stało. "Teraz mamy automatyczny karabin" - przeczytał na głos. - Ma złamany kark? - spytał kogoś. - Mówcie po angielsku.

- Może to jakiś strażnik, którego przeoczyliśmy?

- Dlaczego ktoś miałby robić coś takiego, gdyby miał broń? Na kartce jest napisane

"my". Ciekawe. Co znalazłeś w tym pokoju?

- Marynarkę, buty i skarpety.

- Ubranie jednego mężczyzny. My? Jeśli jest tak, jak wcześniej mówiłeś, to mężczyzna i kobieta.

Poszli się kochać i udało im się ukryć. Gdzie? Na górze? Dlaczego mężczyzna nie ma butów ani skarpet, a kobieta jest w pełni ubrana? Kochankowie, którzy łamią karki jak komandosi? O, nie.

- Musimy coś z tym zrobić:

Mały Czerwony Tony westchnął ciężko.

- Musimy powiedzieć Karlowi, że jego brat nie żyje. Powiedz mu, żeby tu zjechał.

Ciało musimy zawieźć na górę, by nikt go nie zobaczył. Chcę, żeby jak najdłużej byli spokojni. - Odsunął się tak, iż ledwo go było słychać. - Zawołaj Karla przez radio. Jak będzie jechał, weźmiesz z Frankiem Hansa i zawieziesz go na górę, tam gdzie leży drugi facet. Ten człowiek - albo ci ludzie - mają teraz nasze radio. To jest na kartce. To nie było *braggadocio*, ale ten facet nie jest głupcem. Ty i Frank zjeździecie na dół, po schodach z bronią gotową do strzału. Osłonimy wam drogę.

- Karl już zjeżdża - oznajmił nowy głos. - Lepiej idźcie.

Drzwi się zamknęły i kabina ruszyła w górę. Leland pomyślał, że mógłby zabić ludzi w windzie, strzelając przez otwory w dachu, ale przemawiało przeciw temu wiele czynników.

Ktoś mógł usłyszeć strzały. Kabina mogła zostać zniszczona i nie mógłby się z niej wydostać.

Mogło mu także nie pójść tak dobrze z tymi dwoma jak z chłopakiem. Może lepiej było pojechać spokojnie na górę?

Minęła go druga winda, jadąc tak szybko, że musiał jedną ręką uchwycić się liny.

Przez resztę drogi trzymał się już mocno lin.

Począł, aż wywiozą Hansa na korytarz, i przeszedł na roboczy pomost wewnątrz szybu windowego. Szybko usmarował się tłustą, czarną mazią. Dopóki się nie umyje, będzie musiał uważać na klamki. Drzwi kabiny zamknęły się i pozostał w całkowitych ciemnościach.

Zauważył, że przez wentylator wpada smuga światła. W tym szybie mieściły się cztery windy, a pozostałe cztery w drugim. Co było pośrodku? W ścianie nie znalazł żadnych otworów. Obmacywał uważnie każdy jej skrawek, aż natrafił na metalowe, wysokie na cztery stopy, drzwi. Na środku była umocowana metalowa płytką, której nie mógł odczytać.

Wystarczające ostrzeżenie. Drzwi otworzyły się ciężko do środka. Wyjął z torby jeden nabój i przytrzymał za drzwiami, zanim upuścił. Trzydzieści dwie stopy w ciągu pierwszej sekundy, dwa razy tyle w następnej, dwa razy tyle w trzeciej. Po czterech sekundach dobiegł cichy odgłos zderzenia z ziemią. Nabój spadł na sam dół. Znalazł szyb wentylacyjny. Uśmiechnął

się. Potrzebował jedynie liny, butów, młotka, haków i mógł przemierzać budynek jak szczur.

Ruszył dalej.

Na drugiej ścianie były następne drzwi o wysokości odpowiadającej wzrostowi człowieka. Nie były zamknięte, ale coś je przytrzymało. Wiatr. Na zewnątrz wiał mocny wiatr, wywiewając smog w stronę morza. Miasto było całe oświetlone. Patrzył na południe, na oddalone o dwadzieścia, trzydzieści mil wzgórza. Widział jadące samochody, Long Beach i San Pedro. Znajdował się dwa, trzy piętra nad oświetlonym rogami dachu. Jedną rzecz nie ulegała wątpliwości: nie można tu było wylądować helikopterem. Mogło się udać opuszczenie żołnierzy, ale trudno było oczekiwać, aby zakładnicy wdrapali się po chwiejnej drabinie do helikoptera wiszącego czterdzieści pięć czy pięćdziesiąt pięter nad ziemią.

Leland zszedł po drabinie na dach. Żadne schody nie dochodziły do poziomu dachu, ale jedna klatka powinna być doprowadzona do znajdujących się na dachu drzwi. Zastanawiał

się, czy może ktoś pomyślał o tym samym, ale nie przypuszczał, żeby ktokolwiek przewidział możliwość wyjścia z szybu windowego na dach.

Nie miał wątpliwości w jednej sprawie: Mały Tony rzeczywiście umiał sensownie myśleć, skoro tak szybko udało mu się przejrzeć nonsensy, jakie Leland powypisywał na kartce. Jeszcze trochę i ten człowiek pozna go na tyle dobrze, że będzie potrafił przewidzieć jego następne posunięcia. Leland postawił sobie pytanie: gdyby był po przeciwnej stronie, czego by szukał, na co zwróciłby uwagę?

Pomyślał, że chyba popełnił pomyłkę, nie zabijając tych dwóch w windzie.

Oczekiwali, że Leland użyje radia, i jeśli pozwoli im zorientować się, że jest na dachu, zaczną traktować go o wiele poważniej i zachowają ostrożność.

Lepiej by było, gdyby kabina zajechała na czterdzieste piętro z trzema trupami w środku. W zamieszaniu miałby więcej czasu na wydostanie się stamtąd.

Oczywiście, usłyszeliby strzały na dole, ale gdyby pomyślał, gdyby odważył się podjąć ryzyko, to mógł zlikwidować tych dwóch, wskoczyć do windy, zatrzymać ją i wysiąść, zanim kabina dojedzie na czterdzieste piętro.

Wzdrygnął się i przez chwilę nie potrafił powiedzieć, czy nie jest przypadkiem w szoku. Nadal czuł, jak łamie chłopakowi szyję. Nie może pozwolić sobie na myślenie o tym.

Jeśli się załamie, to dopadną go i szybko wykończą. Nie powinien mieć co do tego żadnych wątpliwości: jeśli go złapią, to go zabiją.

W południowo-zachodnim rogu znalazł drzwi. Za nimi znajdowało się duże pomieszczenie z fluorescencyjnymi lampami od neonu na dachu i klatka schodowa prowadząca na czterdzieste piętro. Dalsze drzwi otwierały się na korytarz, który wcześniej obszedł dookoła, zanim zobaczył, jak zabijają Riversa. Jeśli zrozumiał dobrze ich plany, to po wysłaniu Karla na dół, powinien znajdować się tu jeszcze jeden człowiek. Na jego zegarku dochodziła 22.25 - stracił dziesięć minut na znalezienie drogi w szybie windowym. Ile pięter ci ludzie zdążyli przeszukać? Chciał się dowiedzieć, co teraz robią w biurze dyrektora, ale ważniejsze było przesłanie wiadomości. Wrócił

na dach.

Radio miało pięć kanałów, które ktoś ponumerował. Podziałka została ustawiona na kanał dwudziesty szósty. Leland włączył radio.

- ... jak widzisz, dalsza ucieczka nie ma sensu. Jeśli nie poddasz się przed dziesiątą trzydzieści, zaczniemy rozstrzeliwać zakładników. Kto wie, może zastrzelimy kogoś, kogo znasz i kochasz...

Gówno prawda. Mały Tony Gruber nic nie wiedział. Nie zamierzał wcale denerwować zakładników, a gdyby zaczął do nich strzelać, wpadliby w panikę. Nie wiedział nawet, czy Leland go słucha. Oczywiście, gdyby Leland odpowiedział mu, wszystko by się zmieniło i to na jego niekorzyść. Zastanowiło go to. Nawet jeśli wiedzieli, że ma thompsona, to czemu się nim tak bardzo przejmowali?

Nie byli jeszcze gotowi ujawnić się. Potrzebowali czegoś, czego Rivers im odmówił.

Na czterdziestym piętrze.

O 22.28 Leland włączył radio i nacisnął guzik z napisem: "Nadawanie".

- Gadacie tyle, że nie można powiedzieć ani słowa. Chcę z wami zawrzeć układ.

Słyszycie mnie?

- Tak. Mów dalej.

- Pozwólcie mi wysłać dziewczynę na dół. Nic wam nie zrobiła i boi się, że coś jej się stanie. Pozwólcie mi przysłać ją windą. Chcę mieć wasze słowo.

- Tak, oczywiście, masz moje słowo. Ściągnij windę i wsadź dziewczynę do środka.

Leland nie słuchał go dalej. Położył radio na stoliku w bibliotece prawniczej i wyszedł

na długi korytarz wiodący do zwłok i gabinetu dyrektora. Miał około minuty czasu -

wystarczająco długo, żeby zorientowali się, że wykorzystał ich do własnych celów. Który z nich był sam? Chciał, żeby zaczęli się go bać, jeśli to w ogóle było możliwe. Pokryty był od stóp do głów smarem z szybu windowego i wyglądał przerażająco.

Kiedy zbliżył się do końca korytarza zgasło światło w gabinecie.

Leland zamarł. Usłyszał cichy odgłos gdzieś za rogiem, jakby ktoś delikatnie obracał

klamkę. Cofnął się dwa kroki, obrócił i zaczął biec. Usłyszał, jak nadchodzą. Zatrzymał się, odwrócił, schylił i w tym samym czasie wystrzelił. Nic nie widział w ciemnościach, a huk wystrzałów z karabinu ogłuszył go. Miał jedynie świadomość olbrzymiego zniszczenia, jakie czynił, rozwalając ścianki działowe i grube szkło w pokoju na końcu korytarza.

Jednak go znaleźli - zorientowali się, gdzie się ukrył. Cofnął się w głąb korytarza w stronę drzwi do biblioteki i wystrzelił kolejną długą serię. Trząśnięty całym, pewien, że go trafią w plecy, gdy będzie usiłował dostać się do środka. Biegł, potykając się i przewracając, ale wreszcie dopadł drzwi i wskoczył do biblioteki.

Podniósł się na równe nogi, czując, jak drętwieje mu ramię w miejscu, gdzie uderzył

się o fotel, i w tym momencie usłyszał strzały na korytarzu. Kałasznikow - wszędzie rozpoznalby jego dźwięk. Musi dostać w swoje ręce jeden taki egzemplarz. Wystrzały oświetlały cały hol i Leland słyszał łoskot rozbijanych ścian i drzwi po drugiej stronie korytarza. Nie miał szans wygrać z nimi. Był gotów się założyć, że zachodzą go także od drugiej strony. Potrzebował radia. Sądząc po odgłosach rozbijanych ścianek działowych powinien trzymać się nisko ziemi. Wycofał się przez tylne drzwi, z radiem przewieszonym przez ramię. Czuł się jak Robinson Cruzoe wymykający się kanibalom.

Przechodząc z jednego niewielkiego pokoju do drugiego, starał się trzymać poniżej poziomu biurka. Z tyłu usłyszał trzy strzały - dotarli już do biblioteki. Szedł dalej, mimo iż nie był pewien, czy nie są gdzieś przed nim. W jaki sposób się zorientowali? Popełnił jakiś błąd, ale nie wiedział jaki. Nie mogli zająć całego piętra. Gdyby udało mu się dotrzeć do północnych schodów, mógłby się ukryć na którymś z niższych pięter.

Zatrzymał się przy zachodnim korytarzu. Tutaj światła także były zgaszone.

Wcześniej były zapalone. Prowadzili go jak jelenia naokoło budynku. Znalazł się w pułapce.

Złapią go, gdy będzie w połowie drogi do schodów, i przetną na pół serią z pistoletu. Zastanawiał się, czy dowiedzieli się czegoś o nim od zakładników. Ellis, szef Stephanie. Jasne.

Stephanie właśnie otrzymywała najważniejszą lekcję w życiu.

Jeśli zatrzyma się w miejscu, to zginie tutaj.

Wyrzał jeszcze raz na korytarz. Drzwi prowadzące na dach były oddalone o dwanaście stóp. Za daleko z radiem, torbą i thompsonem. Podrapał lekko ścianę dzielącą go od pokoju naprzeciw drzwi na klatkę schodową. Drewno, pewnie grube na trzy ósme cala.

Gdyby miał czas, mógłby utorować sobie drogę, jak szczur przegryzający ścianę. Spojrzał do góry: gdyby udało mu się przesunąć uretanowe płyty na suficie, mógłby się dostać górą na drugą stronę. Jeśli tylko będzie działał szybko.

Kiedy przedostał się do sąsiedniego pomieszczenia, musiał spuścić się z metalowej belki podtrzymującej i zeskoczyć z wysokości półtorej stopy na podłogę. Chciał założyć płyty, ale zorientował się, że i tak szybko domyśla się, jak się wydostał. Czuł, jak ramię pulsuje od bólu. Jutro zupełnie mu zdrętwieje. Użycie thompsona także nie pomogło. Strzelał

kiedyś z tej broni na kursie FBI i przypominało to usiłowanie powstrzymania Larry'ego Csonki.

Drzwi na korytarz były zamknięte z drugiej strony. Cofnął się. Miał nadzieję, że uda mu się przeskoczyć od jednych drzwi do drugich, ale teraz nie widział nawet tych drugich drzwi. Kiedy terroryści znajdują się w sąsiednim pokoju, spostrzegą dziurę w suficie, a to oznacza koniec.

Sam się wpakował w pułapkę. Przypominało to jeden z labiryntów ogrodowych, tak lubianych przez Anglików. Sam się w to wpakował, a oni teraz przeglądali każdy pokój, aby go dostać. Dick Tracy zawsze tak robił.

W przeciwieństwie do niego Leland postanowił zrobić wszystko na odwrót, tak jak przystało na starego Lucky'ego Lindy'ego, mimo że ci faceci trzymali jego córkę. Chciał ich pozabijać. Teraz naprawdę chciał tego.

Zamek w drzwiach był zakryty solidnie wyglądającą, wypolerowaną, aluminiową płytą. Miał nadzieję, że pociski się nie odbiją. Kule, odbijające się rykoszetem od ścian, dokończyłyby za nich całą robotę. Przesunął się o krok w bok i strzelił długą serię. Drzwi otworzyły się do środka jak na filmie o duchach.

Leland pomyślał, że na szczęście zachował jeszcze zdrowe zmysły. Kiedy odsłonił swoją pozycję, nie miał żadnej pewności, czy nie czekają na niego na końcu korytarza, czy też są już w sąsiednim pokoju, a może przygotowali pułapkę na schodach wiodących na dach.

Nawet jeśli dostanie się na dach, czy zdoła ich powstrzymać przed wejściem za sobą?

Zresztą i tak nie miał czasu na rozmyślanie. Przebiegł schylony przez korytarz, słysząc pięć wystrzałów z czegoś, co przypominało automatyczny browning. Kule przeleciały o stopę od niego.

Wbiegł na schody. Kolejne strzały. Mieli dosyć siły, żeby powstrzymać kompanię piechoty morskiej. Na szczycie schodów schylił się i wystrzelił krótką serię przez otwarte na dole drzwi, starając się ich zatrzymać choć na chwilę. Nie słyszał nic oprócz ryku broni automatycznej, a jego uszy reagowały jak zatkane wata. Nie miał czasu założyć nowego magazynka. Mężczyzna z browningiem znalazł się w drzwiach na dole, zanim Leland zdołał

wyskoczyć na dach i przez jedną chwilę był wyraźnie widoczny na tle szarego nieba.

Zanurkował, ale mężczyzna przewidział jego ruch, i Leland poczuł, jak dwie kule mijają jego głowę o kilka cali.

ROZDZIAŁ 8

Godzina 22.40

Ilu ich jest? Mogło być tylko dwóch na czterdziestym piętrze. Leland w panice pomyślał, że nawet trzech. Nie miało to teraz znaczenia. Osaczyli go, jak zapędzonego na drzewo kota.

Znowu znajdował się na metalowym pokładzie wewnątrz szybu windowego. Miał

nadzieję, że po wstrzyma ich, gdy dostanie się na dach, ale bez kłopotów zapewnili sobie wejście. Udało mu się szybko wbiec po drabinie prowadzącej do wieży z szybem i gdy go zobaczyli, był już przy drzwiach. Teraz nie mogli wejść za nim po drabinie, nie odsłaniając się, a on nie miał gdzie się skryć. Winda, która znajdowała się na czterdziestym piętrze, została ściągnięta. Patrząc w dół, Leland zorientował się, że zdjęli płyty z dachu kabiny.

Przewidzieli wszystko, byli cały czas tak blisko niego, że to nie on im uciekł, lecz oni spowodowali, iż znalazł się tam, gdzie chcieli.

Leland włączył radio i wyszukał kanał dziewiąty. Stał w kącie koło drzwi prowadzących na dach, aby usłyszeć, jak będą wchodzić po schodach, i jednocześnie obserwować, co się dzieje w szybie. Wystarczyło, żeby teraz przenieśli się do drugiego szybu z windami i był załatwiony. Nacisnął guzik "Nadawanie".

- SOS - wyszeptał. - SOS. Powiadomić policję, że zagraniczni terroryści zajęli budynek Klaxon Oil przy Wilshire Boulevard. Jest wielu zakładników. Powtarzam: SOS. -

Nadał wiadomość kilkakrotnie. Kiedy puścił guzik nadawania, w radiu odezwał się głos:

- Wątpię, żeby to coś pomogło. Słyszysz mnie? Wiemy, gdzie jesteś. Czy potwierdzisz odbiór tej transmisji?

Leland nacisnął guzik.

- Czego chcesz?

- Chcę zawrzeć z tobą umowę. Prawdziwą umowę. Przy okazji, te małe radyjka są zbyt słabe, żeby ktoś odebrał alarm nadawany z tej metalowej klatki. Słuchasz mnie?

- Tak.

- Zostań tam, gdzie jesteś. Nie chcemy więcej rozlewu krwi. Zostań tam, gdzie jesteś, i pozwól nam zająć się swoimi sprawami. Jeśli będziemy musieli, to przyjdziemy po ciebie.

Wiesz dobrze, że nie rozprawi my się z tobą lekko.

Lelandowi wydawało się, że coś usłyszał.

- Jak mnie znaleźliście?

- Sam się załatwiłeś - odrzekł zadziornie Gruber - gdy powiedziałaś, że chcesz zesać dziewczynę na dół. Usłyszałeś, jak mówię o tym w windzie, i myślałeś, że uwierzę w jej istnienie. Rozmowa na temat znalezionej ubrania - twojego ubrania, jak przypuszczam - o której wspomniałem po angielsku, została wymyślona przeze mnie. Może wyda ci się to niezrozumiałe, ale czasami działanie za pomocą takich dziwnych, małych impulsów jest korzystne. Jednak, kiedy teraz się nad tym zastanawiam, myślę, że mnie zrozumiesz. To przecież ty wpadłeś na pomysł, żeby wejść na dach kabiny. Kim jesteś? Jesteś odważnym człowiekiem.

Po co to zawracanie głowy? Leland zauważył lekkie wahanie w głosie Grubera przed uwagą, że nie rozprawią się z nim lekko, i uznał to za wskazówkę, że brat zmarłego domagał

się swoich praw - mogło to nie być bezpośrednim złamaniem dyscypliny, ale czymś w tym rodzaju. Wyglądało na to, że zaczyna im brakować czasu. Była 22.50. Za godzinę i dziesięć minut zacznie się Boże Narodzenie. W Nowym Jorku będzie trzecia rano. Dziesiąta rano w Europie. Papież zawsze wysyłał tego dnia bożonarodzeniowe posłanie - czy pojawi się przy tym publicznie? Największą zmorą włoskiej policji była obawa, że ktoś spróbuje zastrzelić papieża. Ale co papież miał wspólnego z przedsiębiorstwem naftowym budującym most w Chile?

Leland przetarł oczy. Obudził się dziś rano na początku Audycji *Dzień dobry Ameryko* w St. Louis, o godzinie siódmej czasu środkowoamerykańskiego. W tej strefie czasowej była wówczas za dziesięć pierwsza w nocy. Poranek świąteczny. Osiemnaście godzin. Gdyby się przespał w czasie lotu, nie poznałby Kathi Logan, która była teraz w domu i zastanawiała się, czy przypadkiem nie zepsuła się automatyczna sekretarka. Nie powinien tracić czasu na domysły, czy ona zrozumie coś z przerwanej rozmowy. Całowali się jak dzieciaki. Chciał być przy niej i znowu ją całować.

Może starali się przekonać go, że powinien czuć się bezpieczny. Przewidując jego posunięcia, ulokowali się na czterdziestym piętrze. Byli gotowi załatwić faceta, który sam się im podłożył.

Pytanie: Czego dowiedzieli się o nim?

Odpowiedź: Tego, że sądził, iż może się z nimi rozprawić.

Opierając się na tym założeniu i możliwości, że nie przeceniał siebie samego, zdecydowali się bronić tego, co było dla nich najcenniejsze. Ich przywódca potrzebował kilku sekund, aby powiadomić swoich ludzi na czterdziestym piętrze, że Leland zbliża się do nich. I to w czasie, gdy rozmawiał z Lelandem na kanale dwudziestym szóstym. Używali więc i innych kanałów. Leland musiał uważać na wszystko, co się wokół niego działo. Jak dotąd, nie wiedzieli, że zna trochę niemiecki. Radio może okazać się równie ważne jak Thompson, jeśli tylko będzie miał okazję jeszcze go użyć.

I znów to cholerne skojarzenie: Dick Tracy wykonujący idealne młynki swoim tommy gunem.

Leland nie był pewien, czy powinien spróbować wysłać jeszcze jedną wiadomość i czy w ogóle było warto. Bał się otworzyć drzwi i wyjrzeć na zewnątrz.

Wiedział dobrze, że Karen byłaby zachwycona wszystkim, co się mu przydarzyło od jazdy na lotnisko w St. Louis aż do teraz. Wyciągnięcie pistoletu w czasie wypadku.

Pocałunek z Kathi Logan. Dopuszczenie, żeby to wszystko się stało. I na dodatek jedna pomyłka za drugą. W końcu jest tutaj i tkwi, nie mogąc się ruszyć. Jak Hubris - bohater całej Ameryki. I ten sam grzech dumy. Przypomniawszy sobie zdanie z wywiadu z tym przystojnym piłkarzem: "Moja żona zawsze się uczyła i w końcu zaczęliśmy uzupełniać się nawzajem".

Leland wzdrygnął się. Skrzywdził w swoim życiu wiele osób, ale najbardziej zranił

Karen. Oczywiście poza ludźmi, których zabił. Nacisnął guzik nadawania.

- Słuchaj, frycu. Nudzi mnie ta serenada za trzy grosze. Może powiedzielibyście mi, dranie, o co wam chodzi?

Gruber roześmiał się.

- To bardzo zabawne. Może zechciałbyś zejść do nas i poddać się?

- Właśnie mi powiedziałaś, że nie potraktujesz mnie lekko. Czy jest tam Karl? Czy może mnie usłyszeć? Chciałem mu opowiedzieć, jakie miałem uczucie, gdy łamałem kark jego bratu.

Usłyszał coś dziwnego i rozmowa została przerwana. Leland spojrzął na zegarek: prawie jedenasta. Obejrzał drzwi i zastanowił się, czy na pewno usłyszy, jak będą wchodzić po metalowej drabinie. Znowu zadygotał. Temperatura znacznie opadła - Los Angeles miało klimat pustynny. Poczul dreszcze.

Przez chwilę zmieniał fale, starając się pochwycić ich rozmowy między sobą, aż w końcu ściszył radio i słuchał słabych rozmów dochodzących z zewnątrz. Jakaś miejscowa grupa rockowa. Dzieciaki omawiające zimowe ferie i wyjazdy na narty. Utah. Jeden z nich jechał do Arizony. Lubił ten swobodny tryb życia.

Walczył z zimnem. Ojciec, który także był gliniarzem, nauczył go wciągać głęboko powietrze. Wprowadzało to tlen do żył i rozgrzewało organizm. Ojciec przeżył matkę, a on przeżył Karen. Nie było to do końca zgodne z prawdą. Matka miała w jednym roku dwa ataki i ojciec opiekował się nią przez cały czas. Karen była z kimś innym, kiedy umarła, a to nie było to samo.

Umarła we śnie, gdy jej serce nagle przestało pracować. Jej drugi mąż zadzwonił do niego wczesnym rankiem, a Leland nie mógł sobie przypomnieć, jak facet się nazywa. Choć tamten przeżył z Karen całe dwa lata - Leland nie zapamiętałby jego nazwiska, nawet gdyby jego życie od tego zależało. Zdawał sobie sprawę, że był to pewien sposób na nieuświadomienie sobie tego, co się stało z ich małżeństwem. Mimo całego wysiłku pozwolili, żeby wszystko wymknęło im się pod sam koniec. Zawiedli.

Dick Tracy nie zawodził nigdy. Wykręcał idealne młynki swoją bronią, rozstawiając złych facetów po kątach. Sam trzymał się na dystans.

Leland sprawdził swój sprzęt, jak dzieciak liczący pieniądze otrzymane na Gwiazdkę.

Dwa pełne magazynki i kilka naboju w trzecim - ponad czterdzieści naboju. Gdyby znów udało mu się znaleźć sam na sam z jednym z terrorystów, miałby okazję zdobyć lepszą broń.

“Wybiegani za daleko do przodu” - pomyślał.

“Tak naprawdę, stary, stoisz w miejscu” - odpowiedziało mu drugie ja.

Już po rozwodzie, gdy Leland przestał pić i udało mu się doprowadzić siebie do przyzwoitego stanu,

napisał do Normy MacIver w San Francisco. Byli sobie bliscy od kilku lat, ale z wielu powodów nic z tego nie wyszło. W liście przedstawił, co mu się przydarzyło.

Od czasu rozwodu był kilka razy w San Francisco w sprawach służbowych, ale nigdy nie próbował się z nią skontaktować, ponieważ nie chciał, aby widziała go w takim stanie. Opisał

jej wszystko szczerze oraz dodał, że teraz się zmienił i chce się z nią spotkać.

Zadzwoniła do niego i rozmowa trwała bite trzy godziny.

Sześć tygodni później, jak pamiętał, jechał wynajętym Samochodem na północ z Międzynarodowego Portu Lotniczego w San Francisco. Pogoda była wspaniała. Norma miała apartament na Nob Hill, dwa bloki od katedry. Pod słomianką znalazł kopertę z kluczem. Z

krótkiej notatki dowiedział się, iż ma się nie przejmować parszywym pudlem i że Joanna, jej córka wraca ze szkoły za dwadzieścia czwarta. Wszedł w czyjeś życie.

Norma była asystentką członka rady San Francisco. Pies okazał się małym potworkiem, a Joanna była wysoka i szczupła jak jej ojciec, ale ciemna jak matka.

- Zestrzelił pan te wszystkie samoloty, prawda? Mój tata jest dopiero na samym końcu książki.

- Bo poszedł później na wojnę. Teraz, gdy jestem starszy, dobrze rozumiem, jacy wszyscy byliśmy wówczas dzielni. Także i twój ojciec. Zwłaszcza on.

Nabrzeże Rybaka, a trzy dni później Jack London Square w Oakland. Norma wyglądała cudownie. Macierzyństwo i dziesięć lat spowodowały, że zmiękła i zeszcupiała; doświadczenie uczyniło ją mądrzejszą. Joanna także była doskonała: inteligentna, ciekawa życia i tryskająca wiarą w siebie. Domyślała się, że Leland i jej matka będą ze sobą sypiać -

powiedziała mu o tym Norma.

Nieważne. Pierwszy raz kochał się z Normą MacIver w jej kuchni, już właśnie tej pierwszej nocy, na stole, z którego pospiesznie sprzątnęli filiżanki po kawie. Rozebrał ją, bardziej podniecony niż kiedykolwiek w życiu, i kochali się z otwartymi oczami, obserwując to, co się z nimi dzieje. Wierzył, że jest najbardziej uczciwą kobietą, jaką kiedykolwiek poznał. Zaniósł ją nagą do łóżka i gdy rano się obudzili, nadal znajdowali się w swoich objęciach.

Przez następne pięć dni kochali się niemal bez przerwy i przez cały rok byli sobie wierni. Jednak Norma nie chciała wrócić na wschód, a jego praca uniemożliwiała mu przeniesienie się na zachód. Był w niej zakochany do nieprzytomności i miał nadzieję, że jakoś rozwiążą ten problem, kiedy nagle zerwała znajomość.

“Przeniosłabym się na wschód natychmiast - powiedziała mu - gdybym mogła przekonać samą siebie, że kiedykolwiek będę dla ciebie czymś więcej niż twoja praca, a zwłaszcza znaczenie jakie do niej przywiązujesz. Joe, gdybyś choć przez chwilę rozważył

możliwość rzucenia swojej pracy i rozpoczęcia wszystkiego od nowa razem ze mną i z Joanną, nie znaleźlibyśmy się teraz w tym punkcie. Nigdy jednak tego nie powiedziałeś, nigdy nie myślałeś nad tym na tyle długo, aby odczuć potrzebę rozmowy ze mną na ten temat.

Nie chcę być z mężczyzną, który upycha mnie gdzieś obok swojej kariery. Nie zgodzę się na to. Nawet MacIver nie zrobił mi tego, i myślę, że ty nawet nie wiesz, o czym ja w ogóle mówię”.

Wiedział. Kochał ją, ale nie tak mocno, żeby zrezygnować ze swoich marzeń. Rok później wyszła za młodszego od niej o pięć lat radykała z Berkeley i wyjechała z nim i Joanną do St. Thomas na Karaibach, gdzie nadal mieszkają. Miała rację. Gdyby wówczas odważył

się rzucić wszystko dla niej, byłby teraz szczęśliwy. Minęło sporo czasu, zanim pozwolił

sobie znowu o niej myśleć, i uznał, że zaprzepaścił szansę uratowania czegoś ze swojego życia.

- Wesołych świąt - powiedział na głos.

Wstał i wyprostował kości, podnosząc thompsona nad głowę.

“Joe, co dostałeś na Gwiazdkę?”

W czasie wielkiego kryzysu nawet gliniarze klepali biedę. Dzień czy dwa po świątach stało się na rogu z kumplami, starając się jak najlepiej przedstawić swoich starych.

- Och, nie było tak źle. Dostałem pod choinkę właśnie to, co chciałem. - Był

jedynakiem. Sam też miał tylko jedno dziecko, Stephanie. A teraz jeszcze doszli Judy i Mark, i miał nadzieję, że na razie, nic im nie groziło.

“Nie powiedziałeś mi, Joe. Co właściwie dostałeś na Gwiazdkę?”

“To, czego potrzebowałem - pomyślał w sposób, w jaki mówi się do dorosłego syna. -

Dostałem ten naprawdę świetny pistolet”.

Ale nawet jego ojciec nie mógł zrozumieć tego, co mu się potem przydarzyło.

- Nigdy nie musiałem używać pistoletu - powiedział, gdy był już stary i sprawiał

wrażenie, że chce odbyć pokutę za krew na rękach syna.

- Nawet nie wiesz, jak mi przykro, że zdarzyło się to właśnie tobie.

“No i co, asie, ilu załatwiłeś?”

Leland nie miał pojęcia. Nie wiedział, jak liczyć pomyłki. Zbuntował się przeciw zasadom ojca - starego przedwojennego gliniarza, i okazało się to złe dla niego samego. Tesla poszedł na krzesło

elektryczne zamiast prawdziwego mordercy.

Karen podtrzymywała go w sprawie Tesli.

- Nie możesz się winić. Wymuszono na nim zeznanie, ale to nie ty zrobiłeś. Był tam sędzia, przysięgli, obrońca. Nie jesteś niczemu winny.

Może. Jednak przeżył ich oboje i często pojawiali się w jego snach. Zwłaszcza Tesla, żyjąc życiem, które zostało mu odebrane.

Leland przyłożył ucho do drzwi. Nic. Spojrzał w dół szybu. Wszystkie windy były daleko na dole, nieruchome.

Liny znajdowały się poza jego zasięgiem - zresztą, pokryto je smarem. Ściany szybu były naokoło gładkie i bez żadnych występów, aż do samego dołu.

Znowu zastanowił się nad drzwiami. Jeśli jeden z terrorystów był na zewnątrz i zauważy obracającą się klamkę, z łatwością załatwi Lelanda. Samo dotknięcie klamki po tej stronie, było zbyt dużym ryzykiem.

Musiał jeszcze raz przyjrzeć się systemowi wentylacyjnemu, bez względu na ryzyko.

Jakiś facet w San Francisco wpadł do takiego szybu w dwudziestodwujęcio- czy trzydziestopietrowym budynku. Przeżył, według gazety, ponieważ powietrze pod nim złagodziło upadek, jak poduszka. Leland nie chciał próbować tego sposobu. Powinien tylko robić jak najmniej hałasu. Jeśli ktoś usłyszy stukot małych metalowych drzwi, cała banda ruszy za nim.

Widoczność ograniczała się do jakichś trzech stóp w dół. Domysł wejścia do szybu wydał mu się tak okropny, że odbierało mu to siły, nie mówiąc już o mdłościach. Nie było sensu w rzucaniu kolejnego naboju. Czteryście stóp. Nie przypominało to wejścia do jaskini.

Nie kojarzyło się też z lotnią. Duży pionowy szyb musiał się rozgałęziać na mniejsze, jednak wystarczająco duże, poziome szyby. Kiedy wejdzie do jednego z nich - jeśli to mu się w ogóle uda - nie będzie mógł się obrócić. Może też nie znaleźć odpowiedniej dźwigni, żeby wyważyć zasłonę zamykającą wejście do poziomego szybu. Może ugrzęznąć gdzieś w środku. Czy musiał zamieniać się w karalucha w rurze?

Odłożył radio i thompsona, położył się na brzuchu na metalowej platformie i wsadził

głowę oraz ramiona do szybu.

Był on szerszy, niż myślał. Niemal zbyt szeroki. Leland sięgnął w dół na jakieś trzy i pół stopy, to wszystko. Miał nadzieję, że jeśli nie zobaczy pierwszego poziomego szybu, to przynajmniej go wyczuje. Nic z tego. Będzie musiał wejść tam, nie wiedząc, gdzie można znaleźć oparcie dla nóg. Jeśli zawiodą go siły, spadnie i rozbije się. Mówiąc inaczej, będzie miał cztery sekundy życia - wystarczająco dużo, żeby śmierć nie była łatwa. Poczul, że wywraca się w nim żołądek i wysunął się z szybu.

Przyjrzał się swojemu sprzętowi. Jak to wszystko zabierze? Będzie potrzebował obu rąk, a thompson był bez paska.

Torba miała płócienny pas. Odpięty, mierzył pięć stóp długości. Czy jedna z tych zapinek mogłaby go utrzymać? Jeśli będzie odpowiednio mocna, użyje karabinu jako zaczepu, położy go w poprzek, wejścia do szybu i zwiesi się na pasie do środka.

Uwzględniając, że nie wyprostuje całkowicie rąk, ponieważ będą podtrzymywały cały jego ciężar, powinien spuścić się jakieś dziesięć stóp. Jeśli utrzyma go jeden zaczep, to tym bardziej dwa, a jeśli puści pierwszy, to i tak będzie po wszystkim.

Pasek naramienny od kabury był szeroki, wykonany z porządnej skóry, prawdopodobnie mocniejszy od pasa torby. Włoży browning za pasek od spodni.

Przedłużając pas torby, zyska kolejne dwie stopy. Może stracić thompsona. Tak samo torbę.

Nie. Może zawiesić przecież torbę na końcu pasa, wrzucić wraz z nim do szybu i spuścić się na dół, mijając ją i trzymając się pasa od kabury. Jak już znajdzie poziomy szyb, to nawet jeśli nie uda mu się uwolnić thompsona, będzie mógł zawsze sięgnąć i odczepić torbę.

Zresztą, jak go straci, to pomyśla, że jest nie uzbrojony - oczywiście pod warunkiem, że zwróci na to ich uwagę. Najpierw musi znaleźć poziomy szyb.

“Nie tak szybko, chłopie”.

Udało mu się przejść z dachu windy na pomost roboczy. Sięgnął do góry w stronę drabiny. Musi się zastanowić. Może się znaleźć jakieś cztery, pięć stóp nad przejściem w suficie czterdziestego piętra. Co potem? Przypuśćmy, iż usłyszą, że jak szczur przesuwa się nad ich głowami?

Musiał uwzględnić, że nie zejdzie dalej w dół, jeśli znajdzie przejście na bezpiecznym poziomie. Jeżeli nie będzie miał pewności co do względnego bezpieczeństwa zaczepów i pasa, nie może nawet myśleć o zejściu.

Najsłabszym ogniwem były zaczepy. Co będzie, jeśli są wykonane z jakiegoś rozpląszonego drutu? W świetle wyglądały na metalowe. Powinien je sprawdzić, zaczepiając thompsona o drabinę. Tylko żadnych hałasów. Wystarczy, że usłyszą, jak się rusza po pomoście i pójdą za nim.

Trzeba było koniecznie pomyśleć o czymś innym. Umysł wtedy odpoczywa.

Zastanowił się, co dałaby rozmowa z samym sobą. Przez całe lata sądził, że nigdy tego nie robił, ale jego matka powiedziała Karen, że rozmawiał ze sobą, gdy był dzieckiem. Karen była sierotą, miała przybranych rodziców. Często stosowała tę metodę. Pamiętała o wiele więcej ze swojego dzieciństwa, niż on mógł kiedykolwiek sobie przypomnieć. Ponieważ nigdy nie chciał być nikim innym, tylko policjantem, spędził dzieciństwo w wymyślonym świecie, bawiąc się, słuchając radia, nudząc się, a rzeczywisty świat zauważał tylko wtedy, gdy ktoś wymówił jedno ze znaczących dla niego słów, takich jak “podejrzany” czy

“zapudłowali go”.

Matka wspierała go z wielką ofiarnością, a on przyjmował to jako coś naturalnego i dopiero pod koniec jej życia uświadomił sobie, jak słabo ją rozumiał. Otworzył mu na to oczy jego związek z Karen i obserwacja starości ojca. Matka była klasyczną piękną. Poznała jego ojca zaraz po szkole i zanim skończyła dwadzieścia lat, urodziło się im ich jedyne dziecko. Resztę życia poświęciła na stworzenie domu, na zbudowanie czegoś, co było oparte na miłości, woli i poświęceniu.

Skontrolował swoje oprzyrządowanie. Nawet komiksowy Napoleon sprawdzał

powiązane prześcieradła, zanim wydostał się przez okno z pułapki. Wszystko wskazywało na to, że dobrze pozna ten budynek - może będzie miał na to jedynie cztery sekundy, ale będzie go znał. Upewnił się, że Thompson jest zabezpieczony i przełożył pas przez poprzeczkę drabiny. Martwiły go klamry. Było tak mało miejsca na manewrowanie, że będzie mógł

obciążyć tylko pierwszą z nich. Powinien się uspokoić. Musi wymienić myśli jak zużyta oponę.

Co pomyślałaby teraz o nim matka? Tak naprawdę, to chciał wiedzieć, co o nim myślała, kiedy jeszcze żyła. Zawsze mówiła, że jest z niego dumna, ale później, gdy zdobył

się na uczciwość wobec samego siebie, przypomniał sobie coś jeszcze. Bała się go. Cholera, wszyscy się go bali. Przez całe życie ludzie zachowywali wobec niego dystans i rzadkie były momenty, kiedy starali się go dosięgnąć.

Rodzice mieli prawo do zastrzeżeń wobec swoich dzieci. Dobrze wiedział, że prawda ta była znana pokoleniu jego matki. Sam miał wiele zastrzeżeń wobec Steffie. Grał z nią w

“Monopol”, mając nadzieję, że Steffie wygra. Promenada i parking odzwierciedlały wiele problemów z prawdziwego życia.

A teraz wraz z Ellisem przyszła kolej na kokainę. Leland dowiedział się wiele o narkotykach od Normy, która zaczęła palić marihuanę, gdy się poznali. Był to okres, kiedy narkotyki już swobodnie napływały do kraju, Sam trzymał się od tego z daleka, pewny, że tajemnica odurzenia była mu dostatecznie znana. Działanie narkotyków, tak jak alkoholu, miało związek z charakterem osoby, która je zażywała - właśnie to niepokoiło go w tej sytuacji. Znał na tyle Steffie i kokainę, żeby wiedzieć, iż narkotyk wzmocni jej wszystkie złe cechy. Kokaina była dla ludzi dysponujących władzą, ludzi szukających przewagi, punktu odbicia - jak Ellis.

Jak Stephanie. Wciągnął powietrze.

* * *

Wszedł do środka. Nie powinien myśleć o strachu. Czteryście stóp. Nabój spadał tak długo, że zastanawiał się, co się z nim stało. U podstawy wejścia zablokował karabin. Otwarte szeroko drzwi okazały się za ciężkie, żeby je przytrzasnąć i przytrzymać nimi Thompsona. I tak pewnie go straci. Przewód wentylacyjny był zbyt szeroki, żeby mógł się oprzeć plecami o jedną ścianę, a nogami o

drugą. Spuścił się na rękach z otworu drzwiowego i dopiero wtedy złapał zrzucony pas. Nic się nie poruszyło. Teraz był w środku.

Wisząc na pasie od kabury, szukał nogami otworu. Ściany były pokryte jakimś miękkim pyłem. Nadal znajdował się w zasięgu otworu wejściowego. Musiał się spuścić niżej, ale już w to nie wierzył. Nie wierzył, że mu się uda.

Powinien przestać o tym myśleć. Nie ma innego wyboru.

Zniżył się jeszcze bardziej; jedna ręka za drugą, dopóki nie dotarł do torby, minął ją i spuścił się do połowy pasa od torby. Było zbyt ciemno, żeby mógł dostrzec swoje ręce.

Machał nogami naokoło, dotykając wszystkich czterech ścian. Żadnego otworu. Musiał się jeszcze bardziej zniżyć.

“Boże, nie pozwól, abym spadł”.

Miał jeszcze jakieś trzy stopy płóciennego pasa. Znowu zaczął szukać nogami i po prawej stronie ściana ustąpiła. Musiał zejść niżej, może jeszcze jakieś dwie stopy.

Nie. Jego stopa niemal natychmiast dotknęła podłogi poziomego szybu, który nie był wyższy niż dwanaście cali.

Przynajmniej miał o co oprzeć nogę. W środku było całkowicie ciemno. Musiał się szybko zdecydować, czy powinien zaryzykować z tym szybem. Jak puści thompsona, nie będzie już mógł wrócić.

Jeśli ten mały szyb rozgałęzia się gdzieś dalej, może tu utknąć na całe dni, nawet na zawsze.

Powoli wsuwał nogi w głąb szybu, aż klęknął na kolanach, wisząc tułowiem na ostatnich calach pasa. Musiał go puścić, aby thompson odsunął się od podstawy otworu, ale pas nadal był mu potrzebny dla utrzymania równowagi.

“Uspokój się, chłopie”.

Otarł lewą dłoń o spodnie i oparł ją o przeciwległą ścianę. Powoli zwolnił uścisk na pasie. Z góry doszedł go odgłos, który raczej poczuł, niż usłyszał.

Obsunął się na rękach w dół głównego szybu, wsuwając jednocześnie nogi do otworu tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć, opierając się podudziami o górną ścianę poziomego szybu.

Jeśli chciał wsunąć się dalej, musiał puścić swoje zabezpieczenie.

Zatrzymał się ponownie.

Skórzany pas od kabury obwiązywał naokoło kolbę thompsona. Karabin odsunął się od wejścia do

kanalu wentylacyjnego, obsuwając się w dół. Leland szarpnął za pas, obluzowując go. Obniżył się bardziej i mocniej wepchnął do otworu poziomego szybu. Był on wystarczająco szeroki: dwanaście na piętnaście cali. Wsunął biodra do środka i znalazł się w pozycji poziomej. Nawet gdyby udało mu się obrócić głowę, i tak było za mało światła, żeby dostrzec thompsona. Pamiętał, że go zabezpieczył. Znalazł się w cholernie trudnej sytuacji.

Musiał wcisnąć się do poziomego szybu na tyle głęboko, aby nie wypaść, gdy ostatni raz pociągnie za pas.

Upływały sekundy. Odliczył od pięciu do zera.

Z całej siły odepchnął się lewą ręką od ściany i wsunął się w głąb szybu. Z furią szarpnął pas - coś go przytrzymało, a potem popuściło. Usłyszał stukot. Puścił pas i rzucił

ciałem, pragnąc całkowicie skryć się wewnątrz. Nie zdążył. Opadająca torba trzepnęła go w kark, a odbity od niej thompson dołożył kolbą w głowę. Pociemniało mu w oczach. Znowu wypadł, z nogami mocno zapartymi w poziomym szybie. Spadający karabin pociągnął torbę w dół, ale Leland w ostatniej chwili zdołał schwycić za pas. Trzymając w jednej wyciągniętej ręce sprzęt, pomagając sobie drugą i manewrując ciałem, zaczął ponownie wciskać się do środka. Gdy mu się to wreszcie udało, legł u wylotu szybu ze sprzętem przy głowie, z wyciągniętymi wzdłuż rękoma oraz karabinem na pasie, zablokowanym w poprzek wejścia. Był

trochę zamroczony. Z rany na głowie płynęła krew, rozmazując się na metalowej ścianie.

Ponownie wezbrała w nim niepokonana wściekłość, gdy zaczął się szamotać, próbując wciągnąć thompsona. Przestał myśleć - złapał za bezpiecznik, ale był zbyt wściekły, żeby sprawdzić, w jakiej jest pozycji. Jego ręka przesunęła się w stronę zamka, pociągnął karabin do szybu, chwyciwszy za spust, i thompson wystrzelił.

ROZDZIAŁ 9

Godzina 23.24

Trzy strzały zabrzmiały w tym zamknięciu jak wybuchy bombowe i całkowicie ogłuszyły Lelanda. Wciągnął karabin, trzymając lufę od siebie, i ponownie go zabezpieczył.

Nie mógł wyjąć browninga zza pasa, ale udało mu się włączyć radio, tyle że nie dał rady przyciągnąć go bliżej do siebie. Musiał sani przesunąć się do niego.

Zwiększył głośność wargami.

- Wszystko w porządku? - zapytał głos. - Co to za strzały?

Jeżeli będzie siedział cicho, pomyślał, że jest martwy - że popełnił samobójstwo albo przypadkiem postrzelił się. A jeśli odważy się wspiąć po drabinie prowadzącej do wieży z szybem windowym, i sprawdzą? Jednakże w tej sytuacji mogą uznać, iż używa kolejnego podstępu, aby ich zmusić do odsłonięcia się.

Z drugiej strony, nie wiedział, jak strzały zostały odebrane na czterdziestym piętrze.

Cholera, musiał założyć, że znają jego pozycję i zdążają w jego stronę. Nie mógł dłużej zwlekać.

Był odwrócony w złą stronę. Jeśli w ogóle uda mu się cokolwiek dostrzec, to i tak nie będzie wiedział, gdzie się kieruje. Nie może przecież patrzeć przez swoje ciało, a oni mogą znaleźć się bezpośrednio za nim.

Zaczął się odpychać, wsuwając się głębiej do szybu, ciągnąc za sobą cały sprzęt.

Przesuwał się o kilka, czasami sześć, czasami dziesięć cali. Powinien poruszać się szybciej.

Robił trochę hałasu, ale nie za dużo; miał nadzieję, że oddziela go dostatecznie duża warstwa izolacji, która zagłusza wszystkie odgłosy.

Nie było żadnego sposobu, aby zmierzyć dystans, jaki przebył. Poczł wyraźnie, iż zaczyna dokuczać mu klaustrofobia, równie silna jak lęk przed upadkiem. Chciał się uspokoić, więc skupił uwagę na próbie doliczenia się członków gangu. Nie wolno mu myśleć o strachu. Powinien koncentrować się tylko na tym, co się dzieje wokół niego. Jeśli sądzą, że jest nadal w wieży windowej, to ma teraz niezłą szansę zaskoczenia ich. Może bezkarnie poruszać się po całym budynku. Może zmienić swoją taktykę, przestać zabijać, ale za to musi ich policzyć. Dopóki myślą, że jest wyłączony z akcji, ma szansę wysłać kolejny sygnał - tyle sygnałów, ile tylko będzie chciał. Koniec szybu. Zatrzymał się.

“Nie mogłem przecież przejść dwudziestu stóp. Coś nie jest w porządku”.

Starał się cokolwiek dostrzec przez ramię, ale nie było to możliwe. Żadnego światła.

Czuł zimno metalowej kraty na bosych stopach. Krata wydawała mu się znacznie grubsza, niż powinna, nacisnął ją. Trzymała się mocno. Pokój po drugiej stronie powinien znajdować się bardzo blisko północnej części budynku, tak ważnej dla terrorystów. Znowu popchnął kratę nogami, na tyle mocno, że werżnęła mu się w stopy. Oparł się rękami o ściany i z całej siły nacisnął kratę, aż poczuł, iż odrywa się jej górny róg. Wsadził tam piętę, zaparł się i popchnął

tak mocno, jak tylko mógł. Krata opadła.

Gdy tylko postawił nogi na ziemi, zorientował się, na czym polegał jego błąd. Papa.

Źle wyliczył odległość w szybie windowym. Nadal znajdował się na dachu.

Wyciągnął po cichu sprzęt z szybu. Przykucnął, żeby złożyć torbę, założyć pas od kabury i schować browning. Krwawienie na głowie zmniejszyło się i kiedy spojrział na siebie, spostrzegł, że jest pokryty od stóp do głów sadzą z szybu. Kilka godzin temu był eleganckim mężczyzną; teraz wyglądał jak uliczny błazen, który urządza pokazy z odgryzaniem głów żywym kurczakom.

Uśmiechnął się.

Postanowił zostawić thompsona w szybie. Dach był pokryty rurami i kablami, a on musiał za wszelką

cenę zachować równowagę, jeśli chciał przekraść się na południową stronę. Tym razem wysłał bezpiecznie wiadomość, ale najpierw musi oczyścić dach. Zresztą i tak zamierza dorwać następnego bandziora. Uświadomił to sobie wyraźnie po wejściu do szybu, a być może ta konieczność zrodziła się w nim pod wpływem klaustrofobii? Czuł się tak, jakby go poniżono i pozbawiono godności. Cieszył się jednak, że jest żywy. Chciał zrobić coś, co da mu pewność, że będzie nadal żył.

Pogoda się zmieniła. Nad górami widać było czyste niebo i wiał lekki, cieplejszy wietrzyk. Ośnieżone szczyty wznosiły się nad oświetlonymi drapaczami chmur w centrum miasta. Góry były oddalone o jakieś czterdzieści kilometrów. Przypomniawszy sobie, jak Stephanie mówiła mu, że Los Angeles ma najpiękniejsze na całym świecie położenie. Chyba miała rację.

“Później będziesz miał czas na podziwianie krajobrazów”.

Szedł schylony, okrążając wieżę windową w stronę pozycji, którą musiał zająć ktoś, kto obserwował wejście do szybu. W tych ciemnościach, pokryty czarną sadzą, był prawie niewidoczny. Cudownie.

Zobaczył jakąś postać. Chłopak siedział na czymś, co przypominało aluminiową skrzynkę. Leland wyciągnął browning, odbezpieczył go i ruszył na palcach szybkim krokiem w stronę siedzącej postaci. Chłopak podniósł się i odwrócił głowę. Był to chudy, niewysoki szczeniak z gęstymi bokobrodami. Przez ułamek sekundy w jego oczach pojawiło się kompletne zaskoczenie i niewiara w to, co widzi. Leland przyłożył mu pistolet do klapy wojskowej marynarki, tak jak wcześniej Mały Tony zrobił z Riversem. Oczy szczeniaka rozwarły się szeroko. Niebieskie oczy.

- Mówisz po angielsku?

- Tak.

- Co wy, skurwiele, tu robicie?

Chłopak zawahał się, a jego oczy się rozjaśniły. Chciał być sprytny. Zamierzał zacząć rozmowę i argumentować.

- Nie mam czasu na takie gówno - powiedział Leland i pociągnął za spust. Chłopak spadł z aluminiowego pudła. Wypuścił powietrze i szybko zeszywniał, patrząc nieruchomym wzrokiem do góry. - To już drugi! - Leland wyjął radio i nadał wiadomość na kanale dziewiątym, tak zwanym alarmowym, patrząc cały czas na drzwi prowadzące do budynku.

Położył radio na dnie torby i wyjął z rąk nieboszczyka broń. Chłopak był chyba jeszcze młodszy niż poprzedni. Leland trzymał w ręku czeski automat. Obejrzał go dokładnie i zdecydował się zostać przy tym, co już ma. Może chłopak miał czekoladki. Nie było przy nim torby, a Leland nie chciał przeszukiwać mu kieszeni.

“Do cholery z tym”.

Czekoladki “Marsa”. Leland zawsze je lubił.

Schowwał broń za pudełkiem, schwycił nieboszczyka za nadgarstki i posadził. Musiał

go trzymać za kołnierz, żeby się nie przewrócił.

- Gdybyś wiedział, co cię czeka, byłbyś zadowolony, że już nie żyjesz.

Leland przerzucił go przez ramię i przeniósł w stronę Wilshire Boulevard.

Obramowanie napisu KLAXON wystawało ponad jard w górę, ale Lelandowi udało się ułożyć na nim ciało. Musiał odpocząć. Nie zamierzał nic więcej podnosić. Kiedy jednak skończy to, co robi, nie będzie już zwracał na siebie uwagi. Popchnął ciało, które poleciało w dół.

- Geronimo, pierdolący własną matkę!

Musiał zobaczyć, gdzie upadnie. Ciągnąc ciało po dachu, ubrudził się na plecach i piersiach krwią. Chciał się upewnić, że przechodnie na ulicy będą mogli łatwo dostrzec zwłoki. Wysunął głowę zza litery napisu w chwili, gdy powykręcane, zniekształcone i jakby pozbawione szkieletu ciało spadło na schody i potoczyło się w stronę ulicy. Leland miał

nadzieję, że jest za wysoko, aby cokolwiek usłyszeć, ale zaraz dobiegł go głośny, przerażający odgłos łamiących się kości. Poczł, że zwymiotuje. Cofnął się na dach, przypominając sobie MacIvera i innych, którzy sami zrobili taki krok. Oni jeszcze zdążyli usłyszeć ten odgłos. Schylił się i podany w samolocie obiad wyleciał z niego w powietrze.

Splunął i otarł brodę mankietem. Teraz musi odzyskać thompsona.

Miał zamiar spróbować jeszcze raz. To była ostatnia rzecz, której spodziewali się po nim. Zszedł uważnie na czterdzieste piętro, a potem idąc ostrożnie korytarzem minął

bibliotekę. Nie zatrzymując się, przeszedł zdecydowanie obok Riversa i trupa numer jeden.

Ktoś znajdował się w pokoju konferencyjnym. Wyraźne odgłosy dobiegały zza ściany. Stał

po lewej stronie drzwi, wziął głęboki oddech i wskoczył do pokoju.

Dziewczyna! Nosila kurtkę wojskową i czapkę, ale nic więcej nie było w niej wojowniczego. Jej oczy przesunęły się z Lelanda w stronę leżącego na stole pistoletu.

Zawahała się i skoczyła w jego stronę.

- Nie rób tego!

Zatrzymała się na ułamek sekundy, ale gdy spojrzała na niego, ruszyła dalej, rzucając się jednym susem na stół i łapiąc w locie broń. Leland nacisnął spust, trafił ją w głowę i w piersi. Dziewczyna poleciała na ścianę, po której się osunęła.

Wyprostował się, czując, jak wali mu serce. Nie miał czasu na zwłokę. Co ją tu przyciągnęło? Obiegł stół i wpadł do drugiego pokoju. To zupełnie proste - sejf. Olbrzymi, luksusowy, wbudowany w ścianę sejf, teraz ozdobiony czterema błyszczącymi dziurami, idealnie rozmieszczonymi wokół

środku. Pod ścianą stały cztery szmaciane torby. Leland wiedział, czego chce, i tym razem nie były to czekoladki. Dwie pierwsze torby zawierały materiały wybuchowe. Wziął z nich trzy paczki plastyku. Następna torba zawierała detonatory, w tym spłonki. Zrzucił ją na ramię.

Nagle usłyszał wjeżdżającą windę i pospiesznie wybiegł z pokoju, przebiegł korytarz i wpadł do biblioteki, starając się wsłuchać w odgłos jadącej na górę kabiny. Materiały wybuchowe i detonatory ważyły chyba ze dwadzieścia funtów. A właśnie przed chwilą obiecał sobie, że nie będzie nic więcej dźwigał.

Kiedy zwymiotował, a później zabił tę dziewczynę, stracił coś z siebie samego, czegoś mu ubyło. Miała dwadzieścia trzy, a może dwadzieścia cztery lata, zupełne dziecko. “Jak ci się to podoba, chłopie? To wszystko twoje dzieło!”

Zatrzymał się na zachodnim korytarzu. Głosy. Musi się gdzieś schować. Znajdował

się w pobliżu północno-zachodnich schodów i sali konferencyjnej. Trzeba zaryzykować. Nie miał pojęcia, jak poszczególne pokoje były ze sobą połączone i czy przypadkiem któreś drzwi się za nim nie zatrzasną, jeśli nie będzie uważał.

Przeszedł przez pokój wypoczynkowy, kierując się w stronę małych pokoików maszynistek. Drzwi od pokoju były otwarte na salę konferencyjną. Mógł ich teraz słyszeć wyraźnie, mówili po niemiecku, znajdował się jednak zbyt blisko i nie było to bezpieczne.

Przymknął trochę drzwi i przyłożył do nich ucho. Starali się właśnie uspokoić Karla.

Dziewczyna, którą Leland zastrzelił, miała na imię Erika. Wiedzieli już o chłopaku leżącym na Wilshire Boulevard. Karl chciał osobiście zabić Lelanda. Nie wierzył, że uda im się wykonać zadanie. Następnie powiedział coś istotnego: zostało ich tylko dziewięciu, tylko?!

Co mógł zrobić w tej sytuacji?

Wziąć nogi za pas!

Przede wszystkim schować detonatory. Jeśli złapią go z nimi, znowu wrócą do swojej roboty. Włożył torbę z zapalnikami do kosza na śmieci pod dużym biurkiem. Powinien się zorientować w jaki sposób zamierzają go szukać, i pomieszać im szyki.

Znajdował się na trzydziestym szóstym piętrze i schodził niżej, kiedy usłyszał strzały na dachu. Terrorysty wpadli na genialny pomysł, że wrócił do swojej kryjówki w szybie windowym. Nie, to nie będzie takie proste. Nie musiano mu powtarzać dwa razy, że próbowali przewidzieć każdy jego krok. Do diabła, teraz nawet to robili.

Właśnie dlatego nie zamierzał zejść na trzydzieste drugie piętro, aby zaskoczyć ich nowym “kawałem”. O ile zdołał poznać Małego Tony'ego, to ten przesłał już wiadomość zapasowym kanarem i jego ludzie czekali teraz na Lelanda na schodach.

W zasadzie liczyło się tylko siedmiu. Dwóch było na dole — jeden w piwnicy, drugi w głównym

holu, i ten zapewne zobaczył coś spadającego z góry na Wilshire Boulevard. Czy ktoś jeszcze zdążył spostrzec zwłoki? Nawet jeśli uprzątnęli ciało, to nie udało im się posprzątać schodów.

Leland przez chwilę nie był pewien, dlaczego to zrobił. Żeby zwrócić uwagę? Żeby pokazać im, że nie mają do czynienia z facetem, któremu przez przypadek udało się z bratem Karla? Jeśli uznają go za szalonego, tym lepiej dla niego. Miał już poważne trudności z hamowaniem się i dobrze o tym wiedział. Lucky Lindy, ostatni z samotnych rycerzy, nigdy jeszcze nie zabił młodej dziewczyny. Co spowodowało, że myślała, iż się jej z nim uda? Czy krew chłopaka z dachu, która przysychała teraz przez koszulę do skóry Lelanda? "Następny z nich nie da się tak łatwo oszukać" - pomyślał Leland. Zresztą i tak nie mógł już na to liczyć.

Zatrzymał się na trzydziestym czwartym piętrze, gdzie biurka zostały ustawione od jednego do drugiego końca olbrzymiej sali. Ze wszystkich miejsc w budynku to właśnie zapewniało mu najlepszą ochronę. Małutkie pokoiki oddzielone ściankami działowymi były przerażające. Gdyby schował się w jednym z nich, znalazłby się poza zasięgiem wzroku, ale nie strzału. Zresztą, nie byłyby takie złe, gdyby udało mu się wykorzystać je do zyskania własnej przewagi. Nie miał jednak pojęcia, jak to zrobić.

Kolejne strzały. Schodzili na dół, przeczesując każde piętro. Czy wiedzieli, jak się to robi? Leland podszedł do windy i nacisnął guzik. Nic - żadnego dźwięku. Windy zostały wyłączone. W porządku. Nie miał żadnej wątpliwości: on był ich głównym celem.

Najbezpieczniejszym miejscem wydawał się któryś z rogów sali. Wybrał północno-wschodni i zaczął zestawiać biurka razem, starając się spiętrzyć możliwie dużo blachy i drewna między nim a szukającymi. Ile zostało mu naboji? Dwanaście w browningu, półtora magazynka do thompsona, który na dodatek w każdej chwili mógł się zaciąć. Miał plastik.

Jeśli włoży spłonki do paczek, to można będzie łatwo je wysadzić serią z karabinu. Nie powinien też mieć kłopotów z trafieniem w obłożone plastikiem czerwone światła awaryjne na korytarzu.

Spojrzał na zegarek. Godzina 23.51. Dziewięć minut do Gwiazdki. Nie interesował ich papież czy ktokolwiek na zewnątrz. Mieli wykonać zadanie na czterdziestym piętrze. Znowu pomyślał o Steffie. Nie było absolutnie żadnego powodu, aby skojarzyć ich dwoje. W

rzeczywistości im dłużej uda mu się odciągnąć uwagę terrorystów, tym większe szansę będzie miała Steffie. Czy aby na pewno?

Wdrapał się po biurkach do zaimprovizowanej fortecy. Zastanowił się spokojnie.

Właściwie przeciwko niemu jest mniej niż dziewięciu - odliczając tych dwóch na dole. Co najmniej dwóch musi też pilnować zakładników. Zostaje pięciu. Teraz, gdy on ma zapalniki, nie mogą zrobić nic na górze, więc w jego stronę idzie maksimum pięciu ludzi. Jeśli szuka go pięciu terrorystów, to czy ma szansę na przeżycie? Na pewno nie, jeśli będzie siedział i czekał

na nich.

Ale jakie miał inne wyjście? Wiedzieli, że wyrwał płyty w suficie, aby przejść z jednego pokoiku do drugiego na czterdziestym piętrze, i teraz szukali wszystkiego, co mogłoby ukryć dorosłego mężczyznę, strzelali do każdej rzeczy, która budziła ich wątpliwości.

Jednak jeśli było ich tylko pięciu, to nie mogli dokładnie pilnować wszystkich klatek schodowych i przeszukiwać jednocześnie piętra. Nie wiedział, co robić. Chciał być pewien, że do spotkania dojdzie na jego warunkach i że nie wda się w strzelaninę na schodach z jednym z nich, podczas gdy reszta grupy będzie o trzydzieści, czterdzieści stóp od niego.

Uświadomił sobie nagle, że jeśli rzeczywiście szukało go pięciu ludzi, to nikt nie pilnował klatek schodowych na trzydziestym drugim piętrze. Może myśleli, że nie ma zamiaru uciekać na niższe piętra? Co mogli teraz o nim myśleć? Zaraz, czemu w ogóle było ich tutaj aż tylu? Chcieli dostać się do sejfu i chcieli" utrzymać spokój wśród zakładników.

Szykowali się do dłuższego pobytu. Na znalezienie go mieli tyle czasu, ile tylko chcieli.

23.56. Pozwolił, żeby dziewczyna zapadła mu głęboko w pamięć. Krew na jego koszuli spowodowała, że ta mała uznała go za ciężko rannego. Może brud na jego twarzy uniemożliwił także odczytanie wyrazu jego oczu i zdeterminowania? Ładna dziewczyna.

Kiedy trafiły ją pierwsze kule, wyglądała równie kiepsko jak chłopak na Wilshire Boulevard.

Włączył radio. Kanał dwudziesty szósty.

- Jesteś tam? Słuchasz mnie?

Leland nacisnął guzik nadawania. Patrzył przez okno ponad Wilshire na wzgórza - w niektórych miejscach widział migające choinki.

- O co chodzi?

- Idziemy po ciebie. Chcemy dostać nasz sprzęt. Jeśli będziesz stawiał opór, zaczniemy rozstrzeliwać zakładników. ,

- Nie wciskaj mi gówna! Chcecie, żeby nie wpadli w panikę!

- Nie, nic nie rozumiesz! Przyprawimy ich tam, gdzie cię znajdziemy, i zastrzelimy na twoich oczach. Ponieważ nie przeszkadza ci zabijanie kobiet, posłużymy się dzieckiem.

- Poczekaj, muszę odebrać drugie połączenie. - Leland wyłączył radio. Przyglądał się od kilku chwil wzniesieniu w Laurel Canyon, starając się na tym skoncentrować uwagę. Tam: jeden, dwa, trzy, cztery błyski światła. Ciemność. Zaczął liczyć. Dziewięć sekund. Jeden, dwa, trzy, cztery. Jeśli chce odpowiedzieć na sygnał, to musi wydostać się z tej barykady i podejść do kontaktu przy schodach. Cztery? Co u diabła znaczą cztery błyski światła?

Przecisnął się po biurkach i wyszedł na korytarz. Teraz przerwa wydłużyła się do dziesięciu sekund. Jeden, dwa, trzy, cztery. W porządku, ale co to znaczy? Pospieszył do schodów.

Włączył światło i poczuł, że go na chwilę oślepią. Niech to. Podbiegł szybko z powrotem do okna, starając się nie stracić z oczu odległego punktu na wzgórzach. Cztery błyski, przerwa, znowu cztery błyski, szybciej. Teraz światło zapaliło się na dłużej i lekko migotało. Jakieś trzy mile. Cztery oznacza cztery, jak w dziesięć-cztery, ponieważ wysłał sygnał przez radio.

Wiadomość przyjęta. Załkał.

00.02.

- Wesołych świąt! - wyszeptał. Włączył radio. - Jesteś tam jeszcze? Przepraszam, że kazałem ci czekać. Masz obecnie oprócz mnie jeszcze inne problemy. Mój kumpel mówi, że nadjeżdża policja.

- Wcale mnie to nie dziwi. Jesteśmy przygotowani, żeby spędzić tu wiele dni, a gdy będzie trzeba, to nawet tygodni.

Leland nic nie odpowiedział. Jeśli to prawda, to czemu tamten go o tym poinformował? Jeżeli rzeczywiście są przygotowani do takiego długiego pobytu, to jedynie Leland znajduje się poza ich kontrolą. Wiedzieli doskonale, co robią, nawet gdy mówili przez radio. Musieli wzmocnić swoją pozycję. Chcieli odzyskać detonatory i skrócić go o głowę, a musieli to zrobić, zanim dotrze tu policja i zorientuje się w sytuacji.

ROZDZIAŁ 10

25 grudnia, godzina 00.04, wg czasu strefy Pacyfiku

Wszystko stawało się dla niego coraz jaśniejsze. To, co zrobił, nie było wcale takie głupie. Zmniejszył ich szeregi i oderwał od roboty. Tak w ogóle byli przygotowani na frontalny atak i dlatego wzięli zakładników. Przyciągnęło ich tutaj coś, co było w sejfie, tylko co? Jacyś lepsi cwaniacy z przedsiębiorstwa naftowego sprzedali most juncie wojskowej w Chile — nic więcej nie wiedział.

Może i nie było nic więcej, ale w Lelandzie odezwał się stary gliniarz, któremu wszystko bardzo się nie podobało. Znowu poczuł się jak policjant - założenie odznaki nie byłoby głupie. Jeśli w budynku pojawi się policja, może to ocalić mu życie. Wyjął odznakę z portfela i odwrócił do światła: TEN FACET JEST KUTASEM. Przypiął ją do koszuli.

Obecnie wolałby raczej gorącą kawę i orzeszki, które zawsze podawano przy wręczaniu odznak. Filizanka kawy bardzo by się teraz przydała. Wszystkie najlepsze decyzje policyjne zostały podjęte nad kubkiem gorącej, kiepskiej kawy. Jeśli prześliznie się przez ich pozycje na trzydziestym drugim piętrze, będą mieli trudny orzech do zgryzienia i zostaną zmuszeni do zaimprovizowania całej reszty. Jednak cena mogła się okazać zbyt wysoka: straci w ten sposób kontakt ze Steffie i dziećmi.

“Zakładnicy musieliby zgodzić się z tym, co się dla nich szykuje” - jak mówili policjanci. A to oznaczałoby SWAT lub, co gorsza, Gwardię Narodową.

Jeśli jednak zostanie tu na górze i złapią go, to dostaną także detonatory i wrócą do swojej roboty.

Leland wiedział, co go w takim wypadku czeka. Nie potrzebował podpowiedzi taksówkarza z St. Louis, żeby sobie przypomnieć wyczyny tych szczeniaków.

Istniało trzecie wyjście, ale wiązało się z nim pewne ryzyko. Leland będzie bardziej potrzebny wtedy, gdy policja włączy się do akcji. Najlepszym miejscem na kryjówkę było to, które zostało już przeszukane, a jedynie trzydziestego drugiego piętra nie blokowali terroryści.

Chyba warto spróbować. Może uda mu się nawet mieć oko na Steffie i innych zakładników. Miał radio - jedynym problemem było znalezienie kanału, którego ktoś słucha.

Nad głową rozległy się nowe strzały. Do diabła z materiałami wybuchowymi!

Zapamięta, gdzie je zostawił.

Na trzydziestym trzecim piętrze przeszedł na stronę budynku widoczną od Wilshire Boulevard. Na ulicy było cicho. Już pięć godzin temu ruch był prawie żaden. Tkwił przecież tutaj tak długo. Jeden poruszający się samochód da odpowiedź, czy ulica jest jeszcze otwarta.

Na ulicy rzeczywiście pojawił się samochód o numerach jeden-cztery-dziewięć widocznych na dachu. Czarno-biały, tak je tutaj nazywano. Jechał bardzo wolno i Leland mógł niemal wyobrazić sobie twarz oficera spoglądającego przez okno. Patrzył w stronę budynku. Przyglądał mu się bardzo uważnie, starając się jednocześnie wyglądać na zupełnie nie zainteresowanego. Ten wyraz twarzy Leland widział u policjantów na całym świecie.

Oficer patrzył na schody. Więc zajęli się tym i są już tutaj. Mogą jednak minąć godziny, zanim spróbują wejść do środka i może dopiero o świcie dowie się od nich czegoś więcej. Ile zostało do świtu? Jeszcze siedem godzin.

Windy ruszyły i odgłos był taki, jakby uruchomiono naraz wszystkie kabiny. Tak więc nie okłamali go: byli przygotowani na obronę przed policją. Ich uwaga była odwrócona -

najlepszy moment na zmianę miejsca. Poczul przygnębiającą falę wyczerpania i wystraszył się. Jeśli ma to się ciągnąć do świtu, musi zaszyć się w jakąś dziurę i trochę pospać.

Na trzydziestym drugim piętrze usunięto żarówki na klatce schodowej. Leland wstrzymał oddech - nie słyszał niczego oprócz szumu jadących wind. Przygotowali coś dla niego, ale wyglądało na to, że na razie zrezygnowali. Szedł dalej po cichu z workiem pod pachą i karabinem gotowym do strzału. Klatka była równie ciemna jak szyb wentylacyjny.

Windy zatrzymały się, i to wszystkie na trzydziestym drugim piętrze. Jeśli ma znaleźć jakąś kryjówkę, to musi się pospieszyć.

Wiedział dokładnie, co się stało, gdy pod prawą nogą poczuł szkło, ale był już pochylony do zrobienia kroku i nie mógł się cofnąć. Obie stopy były rozcięte, lewa bardziej niż prawa. Banda czekała na niego. Stał nieruchomo, trzymając się kurczowo poręczy i zaciskał usta, żeby nie krzyknąć.

Lewa stopa była poważnie rozcięta. Mógł winić jedynie siebie. Oczywiście, wyjęli lampy neonowe ze schowka na czterdziestym piętrze i rozbili je na schodach. Powinien przewidzieć, że szykują coś takiego. Kiedy schodził z dachu, nie zauważył brakujących żarówek. Podniósł bardzo ostrożnie lewą nogę, żeby wycofać się po schodach i poczuł, jak krew ścieka pomiędzy palcami. Instynkt podpowiadał mu, żeby zachować ostrożność, ale Leland wiedział, że teraz musi się spieszyć, nawet jeśli zostawi za sobą ślad. Musiał wrócić po schodach na górę, lecz nie miał pojęcia, jak opatrzyć rany. Jak dotąd, znalazł jedynie apteczkę w pokoju Steffie. W prawej stopie tkwiły kawałki szkła i czuł, jak łamią się i wbijają głębiej w ciało przy każdym kroku.

Starał się iść szybciej, ale z ran tryskała krew przy mocniejszym nacisku. Skakał, trzymając się poręczy, starając się nie obciążać pokaleczonych nóg. Wrócił na trzydzieste czwarte piętro, gdzie, miał własną fortecę.

Tuż za drzwiami słyhać było strzały. Zatrzymał się na klatce przy barierce, nie opierając lewej stopy na betonowej posadzce. Na podłogę ściekała krew i ból stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Jutro nie będzie w stanie oprzeć się na żadnej stopie. Czuł, jak napływa i wypełnia go wściekłość. Stał na obu stopach, wciągnął powietrze i otworzył drzwi.

Światła były zapalone: Dźwięk otwieranych drzwi spowodował, że stojąca na środku pokoju dziewczyna obróciła się, ale była zbyt powolna i wystarczająco wystraszona jego widokiem. Tak że krótka seria z karabinu przerzuciła ją nad stojącym za nią biurkiem.

Ktoś zaczął do niego strzelać aż z lewej strony poodpadały płyty sufitowe. Był

bezpieczny od strony schodów, dopóki nikt nie próbował wejść na górę. Opadł na kolana i zaczął przesuwać się w stronę najbliższego biurka. Znowu strzały i rozpryskujące się nad jego głową przedmioty. Ktoś strzelał z jego własnej fortecy w północno-wschodnim rogu sali.

Posunął się do przodu, wystawił głowę i strzelił, gdy terrorysta przeskakiwał ponad ustawionymi przez Lelanda biurkami.

Czy był tylko ten jeden facet? Kawałki plastyku z detonatorami, które Leland umocował wokół lamp awaryjnych, znajdowały się po jego prawej stronie poza zasięgiem wzroku. Posunął się do przodu, wystrzelił kolejną serię do swojej fortecy i przypadł do ziemi.

Kiedy tamten człowiek strzelił do niego, Leland wyjął ostatnią paczkę plastyku z torby, uformował ją w kulę i włożył w nią detonator. Za kilka chwil facet oprzytomnieje i powiadomi resztę terrorystów przez radio o swojej pozycji.

Leland posunął się znowu do przodu. Zabił już czterech bandytów, co przy wszystkich przeciwnościach nie było takim złym rezultatem. Popatrzył na trzymany w ręku plastyk

-potężny materiał wybuchowy. Było go o wiele za dużo i był o wiele za mocny, jak na jeden sejf. Prawdopodobnie wcale nie nadawał się do tej roboty. Facet zaczął rozmawiać przez radio i Leland wystrzelił, a następnie wystawił głowę, starając się spenetrować fortecę.

Przesunął się o cztery biurka do przodu i miał teraz dobry widok na lampy, wokół których zamocował pozostałe paczki z plastykiem. Facet strzelił w stronę Lelanda, tłukąc szkło za jego plecami. Policjanci na dole na pewno nie byli zachwyceni tym odgłosem. Wszyscy policjanci lubili kierować ogniem, ale strzelanina odbywająca się poza ich zasięgiem wprawiała ich w niemałe zdenerwowanie.

- Hej, pętaku! Mówisz po angielsku?

- Mówię, ty brudny śmieciu!

- Przyjrzyj się uważnie lampom awaryjnym przy windach!

Facet roześmiał się.

- Widziałem ten film sierzancie, York! Gary Cooper robił za przynętę!

Leland miał coś innego na myśli, ale uprzytomnił sobie, że stary strażnik na dole przypominał mu sierżanta Yorka. Zastanowił się, co zrobili ze strażnikiem.

- Spójrz uważnie, głupku! Leland zauważył wysuwającą się głowę.

- Poczekaj! - zawołał. - Nie strzelaj do nich!

Leland celował w jego głowę. Pierwsze kule trafiły chłopaka w szyję i wysoko w piersi, odrzucając go w tył i rozbijając za nim okno. Leland wyprostował się i wyładował cały magazynek w faceta, spychając go w ten sposób w stronę okna i przez nie. Tamten spadł z wysokości trzystu pięćdziesięciu stóp na ulicę. Leland spojrzał na paczki plastyku naokoło lamp. Wiedział już, dlaczego śmiertelnie wystraszyły zabitego przed chwilą chłopaka. Teraz jednak musiał zająć się swoimi stopami. Nie, najpierw musi zastanowić się, jak to zrobić.

Wracając na klatkę schodową, wyrzucił thompsona i podniósł pistolet zabitej dziewczyny. Nareszcie kałasznikow i trzy pełne magazynki.

Zszedł na trzydzieste trzecie piętro i zaczął się rozglądać za pokojem podobnym do biura córki, mając nadzieję znaleźć tam coś innego poza papierowymi ręcznikami i papierem toaletowym. Mógł iść, ale chodzenie zwiększało krwawienie. Przeszedł na południową stronę budynku, zakładając, że banda zwróciła swoją uwagę na Wilshire Boulevard, gdzie pojawił

się wóz policyjny.

Wyjął już ostatnie kawałki szkła z prawej stopy i zajął się lewą. Rozcięcie przebiegało od dwóch małych palców przez półtora cala, było głębokie na trzy ósme cala i poszarpane.

Dawno już nie widział własnych ran. Jeśli zajmie się tym odpowiednio, skaleczenia nie powinny przedstawiać później większych problemów. Nie miał pojęcia, czy znajdzie cokolwiek, czym mógłby tymczasowo je przewiązać. Przypomniawszy sobie w końcu, że najlepsze biura były rozmieszczone w rogach budynku.

Znalazł ręcznik do rąk i złożył go raz podłużnie, ale kiedy przymierzył, nie mógł

opasać całej stopy. Znowu zaczęła narastać w nim złość. Chciał ich wszystkich pozabijać!

Poczuł dziwne zadowolenie, iż tylu ich jeszcze zostało i że ma szansę wykończyć wszystkich.

Oprzytomniał i trochę się uspokoił. Najpierw musi opatrzyć nogę. Usiadł - gdzie u diabła się znajdował? Jakies biuro. Pokuszył się do biurka i w szufladzie znalazł kilka dłuższych gumowych opasek. W porządku. Nawet całkiem niezłe. Gruby ręcznik łagodził ich ucisk.

Powinien sprawdzić, co słychać w radiu. Dwudziesty szósty kanał był pusty.

Przekręcił na dziewiąty.

- No, dalej - wyszeptał głos. Był to głos młodego, czarnego mężczyzny, głęboki i bez śladów slangu z getta. - Jeśli osoba, która nadała komunikat z prośbą o pomoc, słyszy mnie, niech potwierdzi odbiór tej transmisji.

Leland nacisnął guzik nadawania.

- Słyszę cię. W porządku, jest tutaj siedmiu zagranicznych terrorystów uzbrojonych w broń automatyczną i materiały wybuchowe, może nawet coś więcej. Na trzydziestym drugim piętrze trzymają około siedemdziesięciu pięciu zakładników. Zabili jednego. Leży na czterdziestym piętrze. Oprócz dwóch ptaszków, które zleciały z dachu, zabiłem ich jeszcze troje, w tym dwie kobiety.

Po drugiej stronie była cisza.

- Chcesz się zidentyfikować?

- Teraz to niemożliwe. Jak będę miał okazję, to sam ci wręcę dowód.

- Co jeszcze możesz nam powiedzieć?

- Przywódcą grupy jest Niemiec nazywający się Anton Gruber, o przydomkach: Antonino Rojas i Mały Czerwony Tony. W Niemczech wydano na niego nakaz aresztowania.

Ma tu dosyć materiałów wybuchowych, żeby zrównać z ziemią to miejsce, i może właśnie tak zamierza postąpić, jeśli nie dostanie tego, czego chce, cokolwiek to jest. Ja mam detonatory, przynajmniej ich część.

- Wyrzuć je.

- Nie mogę w tej chwili i nie sądzę, żeby to było dobre rozwiązanie. Jak długo Tony myśli, że może mnie dostać i odebrać mi detonatory, tak długo nie zagra swoją drugą kartą, czyli zakładnikami.

- Mówisz, jak facet, który coś wie, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Chcę, żebyś wyrzucił

detonatory. Pierwszym celem jest zmniejszenie szans katastrofy.

- Już to zrobiłem i będę robił, przynajmniej dopóki mnie nie złapią. Pozwól mi mówić.

Jeżeli się nie mylę, to trzymają windy na trzydziestym drugim piętrze. Gdy spróbujecie przebić się od dołu czy od góry, zaczną strzelać do zakładników, najpierw do kobiet i dzieci.

Zadzwoń do szefa i spytaj, czy chce kilkoro nieżywych dzieci pod choinkę.

- Chcę, żebyś mnie posłuchał.

- Nie, to ty mnie posłuchasz. Jestem ranny i zostawiłem ślady prowadzące do miejsca, w którym się znajduję. Wiem, że idą za mną. Nie będę już zostawiał śladów. Jak znajdę bezpieczną kryjówkę, to połączę się z tobą.

Leland wyłączył radio. Siedział zbyt długo w jednym miejscu. Powinien zająć się sobą i zastanowić się, na ile zmieniła się sytuacja. Później porozmawia z policją.

Nadal kulał, ale przynajmniej mógł już chodzić. Przypominało to poruszanie się na bochenkach chleba. Stawiając lewą stopę czuł, jakby została przecięta na pół. Teraz łatwo pozna, czy znowu nie zaczął krwawić. Wszedł na górę południowo-wschodnimi schodami, spiesząc się, żeby jak najszybciej minąć kondygnację trzydziestą czwartą, i czuł zwiększający się ból w stopach wspinając się na dwa następne piętra. W porządku, i tak musiał odpocząć.

Był porządnie zmęczony.

Ze wszystkich samolotów jakie miał po wojnie, najlepsza była cessna-310.

Oczywiście, podczas wojny latał na różnych samolotach, od samolotów szkoleniowych, przez thunderbolty, twarde w prowadzeniu i nieprzyjemne, aż do mustangów, najlepszych jednosilnikowych samolotów, jakie istniały. Ostatnio uwielbiał rozmyślać o samolotach i lataniu. Pewnego dnia wziął cessnę, podrzucił jednego sprzedawcę do biura i wrócił na lotnisko. Szczeniak na wieży, który wiedział, jak Leland wspaniale czuje się w samolocie, zaproponował, żeby się jeszcze przeleciał...

Trzydzieste szóste piętro przypominało trzydzieste trzecie: labirynt złożony z małych pokoików i biur - w wielkiej korporacji każdy miał swoje miejsce, Cały ten urzędniczy porządek znikł po ostatniej strzelaninie, wokoło leżało porozbijane, szkło i rozwalone płyty sufitowe. Znowu był na pomocnej strome, siedział na podłodze koło biurka, spoglądając na Wilshire Boulevard. Trzy bloki dalej pojawił się promień światła na ścianie budynku. Nad wzgórzami ukazał się helikopter, zawrócił gwałtownie i odleciał na północ, w stronę San Fernando Valley.

Leland zjadał "Milky Way". Już wcześniej zjadł czekoladkę "Oh, Henry!" i zachował

sobie na potem "Marsy". Czuł się jak chłopak w kinie czy młody policjant jedzący w samochodzie na patrolu.

Udał się cessną nad morze i znalazłszy się na wysokości tysiąca stóp, przeleciał nad przedmieściami New Jersey, gdzie każdy basen, ciężarówka czy odkryty magazyn stały przed nim otworem - z tej wysokości, przedmieścia przypominały olbrzymie pole odpadków.

Później wrócił nad ocean. Przez dwie mile od brzegu unosił się na wysokości pięciuset stóp, a potem obniżył samolot na pięćdziesiąt stop i przez dziesięć mil leciał na tej wysokości z prędkością ponad dwustu węzłów - szybciej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Dzień był słoneczny, a niebo krystalicznie czyste. Słońce miał za plecami i kiedy patrzył

na bardzo ciemną wodę, fale wydawały się dotykać samolotu. Minął łódź z wędkarzami i błysnął im skrzydłami. Cessna-310 była niczym jego bliźniak, wyposażona w jeden z pierwszych małych radarów i równie ładna jak najpiękniejsze samoloty, jakie kiedykolwiek widział.

Trzydzieści mil od brzegu napotkał dwa frachtowce, oddalone od siebie o pięć mil, kierujące się w stronę Ambrose Light. Zrobił kilka ósemek pomiędzy ich wysokimi konstrukcjami, przypominającymi maszty, a kiedy załogi wyszły na pokłady, pomachał

skrzydłami, wzbil się prosto do góry, obrócił się, pozwolił samolotowi opaść i zakończył

popis dokładną pętlą pomiędzy dwoma statkami. Przyglądali mu się z zapartym tchem, Kiedy zawrócił w stronę lądu, z pokładów machały za nim wyciągnięte ręce....

Nacisnął guzik nadawania,

- Jesteście tam jeszcze?

- Aha. Jak ci idzie? Co się z tobą działo?

- Musiałem skierować zabawę na odpowiednie tory. Przez ostatnie dziesięć minut siedziałem cicho.

- W porządku. Kilku z nas słuchało wcześniejszej rozmowy i sądzimy, że mamy do czynienia z kimś sensownym. Musimy zaryzykować i zaufać ci. Jak oceniasz obecną sytuację?

- Dach jest łatwiejszy do obrony niż do zajęcia. Są bardzo dobrze uzbrojeni.

- A jak ty stoisz?

Leland pomyślał o browningu i o tym, że Mały Tony może ich podsłuchiwać.

- Daję sobie radę - powiedział.

- Jak cię możemy rozpoznać? Leland uśmiechnął się.

- Jestem czarny. Nie byłem, kiedy to się zaczęło, ale teraz jestem.

- Dobra, pogadamy o tym później. A co z radiem? Skąd je masz?

Nie przyszło im do głowy, że mógł mieć jeden z odbiorników bandy.

- Z tego samego źródła, co pięknego, małego kałasznikowa. Sensownie byłoby przyjąć, że oni mogą nas słuchać, co? Wiesz, kim jest Mały Tony?

- Hej, zazwyczaj moja praca trzyma mnie daleko od tych spraw. Zajmuję się czym innym w Hollenbecku. Właśnie wracałem do domu w zachodniej części Los Angeles.

- W porządku - powiedział Leland. - Tony to już trzecia generacja niemieckiej Frakcji Czerwonej Armii. Kiedy zginął Andreas Baader, jego ludzie zeszli do podziemia. Nikt nie wiedział, w którą stronę się zwróca, ale chodziły pogłoski, że wyjadą z czymś poważnym. No i właśnie ich mamy.

Lelandowi nagle przyszła do głowy pewna myśl: może szeryf leciał samolotem z St.

Louis tutaj, ponieważ dotarli do niego jakieś pogłoski? Gdyby Leland wówczas znalazł go i przedstawił się, może dowiedziałby się czegoś ważnego, co pozwoliłoby powstrzymać bieg wydarzeń.

- Skąd wiesz o tym wszystkim?

- Powiedzmy, że dawno temu pracowałem w Hollenbecku. Słuchaj, mówiłem już: ci faceci szukają mnie i nie jest najlepszym pomysłem prowadzić zbyt długie rozmowy.

- Dobra, damy im teraz bobu.

Leland znieruchomiał. Policja nadal nie rozumiała sytuacji. Był pewien, że Mały Tony ich słucha. Leland przysunął się do windy i po chwili usłyszał szum jadącej kabiny. Nie miał

żadnej pewności, czy nie jadą po niego. Nie, gdyby tak było, już by tu przyszli.

Słuchali ich rozmowy! Zjeżdżali na dół na spotkanie z policją!

Leland włączył radio.

- Nasza rozmowa została podsłuchana. Jadą na dół.

- W porządku - odpowiedział ten sam mężczyzna. - I dziękuję.

Teraz, gdy było ich tylko siedmiu, nie mieli możliwości zorganizowania kolejnej ofensywy przeciwko niemu. Wstał z ziemi - będzie potrzebował jakiejś laski, czy nawet kuli.

Szedł trzymając się ściany. Jeśli chce jeszcze coś zdziałać, musi przekonać bandę, aby zawróciła po niego. Nie było sensu siedzieć przy oknie. Przy strzelaninie na dole mógł łatwo zarobić w ten sposób kulkę. Przyszło mu do głowy, że musi pamiętać o jeszcze jednej sprawie: na podstawie informacji podanych policji, ich snajperzy mogą założyć, że wolno im strzelać do każdej postaci powyżej trzydziestego, drugiego piętra, gdzie znajdują się zakładnicy.

Musi dać znać o sobie albo terroryści zorientują się, jak bardzo jest pokiereszowany.

Gdyby teraz wysłali kogoś za nim, wiedząc, że jest ranny i bezbronny, byłby to jego koniec.

Zaraz im pokaże, że chociaż samotny, jest dla nich za trudnym przeciwnikiem.

Potrzebował krzesła na kółkach, elektrycznej maszyny do pisania i siekiery strażackiej. Na piętrze panowała zupełna cisza. Czuł, że krwawienie ustało, ale ból ciągle narastał. Ukształtował plastik z włożonym do środka detonatorem w kulę wielkości piłki nożnej i położył go na krześle. Przycisnął kulę maszyną do pisania, przewiązał całość kablem i popchnął krzesło w stronę windy.

Z ulicy doszły go odgłosy strzałów. Usytuowanie holu z windami na parterze i wejścia od garażu pod nimi uniemożliwiało terrorystom kontrolowanie ulicy z parteru, ale z wysokości dwu, trzech pięter wyżej mogli skutecznie powstrzymać policję przed zbliżeniem się do budynku.

Gang był pewnie przygotowany do walki z samochodami opancerzonymi. Na wjazdach do garaży założono metalowe kraty. Zatrzymany na początku rampy wóz opancerzony z rannymi policjantami w środku stanowiłby przeszkodę nie do ominięcia. To nie była wojna, żeby po prostu wydać rozkaz wysadzenia przeszkody. Tu nikt nie miał prawa żądać, aby policjanci zabijali swych kolegów na służbie.

Czekał na odgłos jadącej windy. Nie miał zbyt dużo czasu i nie mógł nic więcej przygotować wcześniej. Akcja wymagała otworzenia drzwi siekierą. Jak tylko usłyszą, że coś robi na trzydziestym drugim piętrze, przybiegną się z nim rozprawić. Z zewnątrz dobiegły go strzały z automatu.

Włączył radio.

- Jak wam, chłopaki, idzie?

- Cholera. Wygląda na to, że miałeś rację. Niektórzy ludzie myśleli, że jesteś psychiczny. Ci z budynku zrąbali nam dupy. Mówisz, że było ich dwunastu?

- Obecnie siedmioro.

- Niech mnie! Musisz być niezgorszym spryciarzem.

- Nie wyłączaj się - powiedział Leland i odłożył radionadajnik.

Jedna z wind jechała do góry. Podsunął krzesło do drzwi i podniósł siekierę. Przy pierwszym ciosie zamachnął się tak mocno, że ból w lewej stopie omal nie wytrącił mu siekiery z ręki. Przy następnym zamachu ostrze dostało się w szczelinę pomiędzy drzwiami i złamało coś w środku, gdyż drzwi otworzyły się, ale

144

zaraz zaczęły znowu się zamykać. Obrócił rączkę siekiery tak, iż rozwarł drzwi, wepchnął dłoń, rozsunał je całkowicie, zablokował całą długością siekiery.

Spojrzał do środka i w tym samym momencie kule trafiły w drzwi. Jadąca do góry kabina była jeszcze daleko. Leland musiał oddać strzały - musiał pokazać, że wchodzi do walki. Skierował kałasznikowa do szybu windowego i puścił serię w stronę kabiny na trzydziestym drugim piętrze. Z dołu ktoś zaczął strzelać do niego z jadącej windy i kule poleciały w stronę dachu. Leland cofnął się za krzesło i wtoczył je do środka. Kiedy facet zobaczy spadający przedmiot, może pomyśleć, że go trafił. Nawet jeśli ładunek nie wybuchnie, to i tak krzesło przebiję dach kabiny.

Nagle szyb wypełnił się rażąco jasnym światłem i Leland w ciągu ułamka sekundy, zanim dotarł do niego odgłos wybuchu, wiedział, że osiągnął znacznie więcej, niż zamierzał.

Wybuchowi towarzyszył silny huk, jakiego już dawno nie słyszał. Podmuch poderwał go w powietrze i rzucił przez korytarz w stronę następnego rzędu wind. Nie stracił przytomności, gdy obsuwał się po drzwiach, i czuł, jak budynek trzęsie się w posadach. Podłoga kołysała się tak jak w sali gimnastycznej w czasie szkolnej dyskoteki. Budynek jęknął. Nie, to nie wyobraźnia - z dołu dochodził straszliwy ludzki krzyk.

Ruch ustał i trwało to dostatecznie długo, aby Leland mógł sobie w pełni uświadomić, co zrobił. Musiał ruszyć się z tego miejsca, zanim połączy się z policją. Wybuch pozbawił go na chwilę oddechu i miał nadzieję, że stało się to także ze wszystkimi innymi, którzy znajdowali się w budynku.

ROZDZIAŁ 11

Godzina 1.43

Strzały umilkły. Do cholery, nieźle wszystkich wystraszył, w tym także i siebie.

Wchodzenie po schodach stało się obecnie jeszcze bardziej bolesne i przez pewien czas łatwiej było robić to tyłem, tyle że zaraz zaczęły wysiadać mu mięśnie łydek. Był już porządnie wyczerpany. Minął trzydzieste siódme piętro. Musiał ich jednak jeszcze raz naprawdę zaskoczyć - pokazać, iż stać go na więcej i że jest silniejszy, niż przypuszczają. Od chwili wybuchu jego nastrój zmienił się i wiedział już, co robić, żeby szybko wrócić do normy. Idąc po schodach, pomyślał, że nikt z zakładników nie jest zagrożony z powodu zniszczeń, jakich dokonał w budynku. Miał pewien kłopot z przypomnieniem sobie, co robił i dlaczego to robił. Zabicie drugiej dziewczyny okazało się łatwiejsze od zabicia pierwszej.

Nagasaki i Hiroszima - nikt nie pamiętał Nagasaki. Miał dosyć zabijania. Chciało mu się rzygać na samą myśl o tym.

Wszedł na trzydzieste dziewiąte piętro z komputerowymi bankami danych. Nie było tutaj okien i wszystkie duże komputery z monitorami stały oświetlone. Dziwne, nic tutaj nie było zniszczone. Mogły być dwa wytłumaczenia: albo terroryści, tak jak każdy, czuli respekt wobec tego sprzętu, albo zamierzali go użyć do zrealizowania swojego szaleństwa, które według nich było rewolucją.

Leland kilkanaście razy dostawał materiały na temat Antona Grubera. Mały Czerwony Tony powinien przynieść Lelandowi trochę sławy. Miał trzydzieści lat i był synem przemysłowca ze Stuttgartu. Wychowywany przez guwernantki, posyłany do najlepszych prywatnych szkół, na swoje osiemnaste

urodziny dostał mercedesa, a w dziewiętnaste następnego. W latach sześćdziesiątych trzymał się grupy bogatych szczeniaków, którzy spędzali wakacje w Saint-Tropez, a zimy w Gstaad. Niektórzy z tych młodych ludzi mieli kontakty z grupą Baader-Meinhof i Gruber w końcu przyłączył się do nich. Odwrócił się od swoich rodziców, oskarżając ojca o “zbrodnię” hipokryzji, arogancji i zadowolenia z siebie.

Co więcej, jak wielu znanych przedsiębiorców, Gruber-ojciec był w czasie wojny oficerem SS. Produkcja samochodów, elektronika - starzy naziści lokowali się wszędzie, milcząc na temat swojej przeszłości i sprytnie odnajdując dla siebie miejsce w teraźniejszości.

Potępione pokolenie - oskarżone przez własne dzieci, nienawidzące kłamstw i usprawiedliwień swych rodziców. Podobnie nienawidziły nieuczciwości dzieci w Stanach.

Steffie najwięcej wycierpiała przez swoich rodziców w okresie, kiedy bezprytomnie utrzymywali, że ich małżeństwo wcale się nie rozpadło.

Rivers był szóstą albo siódmą ofiarą Grubera. Dr Hans Martin Schleyer -

przemysłowiec, tak jak ojciec Grubera - został zastrzelony w ten sam sposób co Rivers, strzałem w klapę marynarki. Leland słyszał, że niemiecka policja ma taśmę z nagraną rozmową Grubera, który chwalił się, iż zawsze sprawdza, czy jego ofiara jest należycie ubrana.

Anton Gruber był zafascynowany śmiercią —jej obecnością i widokiem. Zresztą nie on jeden w grupie podobnych jemu ludzi. Większość z nich, jak na przykład Ursulę Schmidt, można było nazwać zwykłym poetycznym gównem. W eseju mówiącym o “konieczności ostatecznego związania się z przemocą”, Ursula porównała siebie do “łona śmierci, do którego mężczyźni zwracają się po wieczny odpoczynek”. Leland chętnie rozprawiłby się z tą dziwką.

Nie wiedział już, kogo tak naprawdę zabił: na wojnie zabijał ich ojców, wujków, może matki. W tym budynku był człowiek, któremu sprzątnął brata, choć może właśnie teraz zabił i tego faceta.

Biura na tym piętrze były przedzielone szklanymi ściankami działowymi, stanowiącymi część paranoi dotyczącej komputerów. Najwyżsi kapłani musieli trzymać swoje totemy na widoku. Uśmiechnął się na myśl o reakcji informatyków, gdy jutro zobaczą cały naniesiony przez niego brud. Chciał zająć pozycję przy oknie wychodzącym na Wilshire Boulevard, ale wiedział, że od tej strony nie ma żadnej osłony. Może nie jest mu potrzebna: po jego ostatnim wyczynie nikt nie oczekiwał takiej głupoty. Potrząsnął głową - ten sposób myślenia doprowadzi go do śmierci.

Nawet z tej wysokości rezultaty walki terrorystów z policją były wyraźnie widoczne.

Przy lampie ulicznej stał rozbity biało-czarny wóz, którego kierowca leżał nieruchomo przy drzwiach twarzą do ziemi. Leland spojrział do góry, dwieście stóp nad budynkiem unosiła się olbrzymia, szara chmura, która z wolna rozplątywała się w powietrzu. Wybuch musiano usłyszeć w całym mieście: dostrzegł dziesięć razy więcej świateł w domach niż kilka minut wcześniej. Usiadł za biurkiem i włączył radio.

- Jak myślisz, ile taki budynek może kosztować?

- Cholera, dwanaście milionów, dwadzieścia, kto to może wiedzieć? Jak leci?

- Przeliczyłem się w swoich oczekiwaniach. To była jedna paczka ich materiału, a ja mam jeszcze dwie. Aha, uważaj na to, co mówisz, bo cały czas nas słuchają.

- Teraz już o tym wiem.

- Nie ma co się tym znowu tak przejmować. Czy w budynku jest pożar?

- Nic takiego nie widać. Chciałbym wiedzieć, co się dokładnie stało.

Leland opowiedział mu.

- Widziałem jednego z nich w windzie. Z powodu numeru, który im wcześniej wyciąłem, zdjęli płyty dachowe w kabinach. No więc mamy ich sześciu.

- Dostaliśmy meldunek od jednego z naszych ludzi, że widział, jak dwóch facetów wycofuje się do windy. Mają jakąś barykadę na dole.

- Nie wiem, ja widziałem jednego. Musicie liczyć się z tym, że zostało sześciu. Nie mogę brać pod uwagę niewiadomych. Powiedz mi coś więcej o tym gmachu.

- Siedemnaste i osiemnaste piętro są zupełnie rozwalone i wypadła chyba większość okien w budynku. Wygląda na to, że potem trzeba będzie rozwalić cały biurowiec.

- Ktoś ranny?

- Nie w wyniku wybuchu. Mamy dwóch zabitych. Za to rozrzuciłeś śmieci po całej okolicy. Ten materiał to coś naprawdę mocnego. Widziałem krzesło i biurko lecące nad Wilshire Boulevard. Poczekaj, nie rozłączaj się.

Czekając Leland szukał jakichś dowodów zniszczeń, których dokonał. W płycie sufitowej była wyrwana dziura wielkości średniego samochodu, a niewysoki budynek po przeciwnej stronie ulicy wyglądał jak ofiara rozruchów.

- Hej, stary, jesteś tam?

- Wesołych świąt - odpowiedział Leland.

- Nawzajem. Przekażę radio oficerowi dowodzącemu, kapitanowi Dwayne'owi Robinsonowi. W porządku?

Przypominało to przedstawianie gościa w radiu.

- W porządku. - Leland się roześmiał.

- Tu Dwayne Robinson. Jak się... - Na linii były jakieś zakłócenia.

- Dobrze.
- Nie, jak się nazywasz? Chcę znać twoje nazwisko.
- Nie mogę teraz podać.
- Dlaczego?
- Następne pytanie.
- Podałeś nam pewne informacje. W jaki sposób do nich dotarłeś? Skąd się wziąłeś w tym budynku?

Leland nic nie odpowiedział. Facet chciał kontrolować sytuację z zewnątrz, jeśli to mu się uda. "Jeśli?" Stary Dwayne nie myślał jasno.

- Jesteś tam jeszcze?
- Tak. Połącz mnie z poprzednim facetem.
- Nie, ja tu wydaję rozkazy. Nie potrzeba nam tego typu współpracy. Chcę, żebyś odłożył broń i schował się w bezpiecznym miejscu. Ten wybuch spowodował olbrzymie szkody i zagroził życiu wielu ludzi. To są prawomocne rozkazy policjanta i zostaniesz aresztowany, jeśli ich nie posłuchasz.
- Daj mi tego drugiego faceta - powtórzył Leland. - Nie rozmawiam już z tobą.
- Słuchaj, ty skurwielu...!
- Nie! - zawył Leland. - To ty mnie posłuchaj! Masz sześciu psychopatów trzymających siedemdziesięciu pięciu ludzi na muszkach pistoletów maszynowych. Mają dosyć materiałów wybuchowych, żeby rozwalić tę część miasta. Nie mają tylko detonatorów, bo zabrałem je ja. Została ich tylko połowa, dzięki mnie! Dopóki ja tu działam, nie mogą się ustawić tak, jakby chcieli. Myślisz, że tam z dołu możesz ich powstrzymać? No dalej, powiedz mi! Sam jesteś skurwielem! Jeśli sądzisz, że przyjmę od ciebie to gówno i nie spowoduję, że twój szef pogoni ci dupę aż po Terminal Island, gdy tylko to się skończy, to nie znasz mnie!!! Daj mi drugiego faceta! Już!!!

Cisza.

- Jestem - powiedział spokojnie czarny mężczyzna. - Jak się czujesz?
- Chyba powinienem oszczędzać siły. Kto to jest ten gównozjad?
- Nie wciągaj mnie w tego typu rozmowy, dobrze? Rozumiem, że jesteś mocno zmęczony i spięty, ale tu na dole wyglądało tak, jakbyś trochę przesadzał, jeśli wiesz, o czym mówię.

Leland uznał, że było coś pokrzepiającego w zdrowym rozsądku młodszej od niego o całe pokolenie osoby.

- Przepraszam. Teraz ten rodzaj walki wygląda na łatwiejszy niż tamten rodzaj walki.
- Rozumiem cię, partnerze. Usiądź gdzieś i zrelaksuj się trochę. Dobra?
- Dawno nikt mnie nie nazywał partnerem. Pracujesz na ulicy?
- Nie, wewnątrz.
- Cały czas, kiedy byłem policjantem, pracowałem na ulicy.
- Ile masz lat?
- f
- Wystarczająco dużo, żeby być twoim ojcem. Leland roześmiał się.
- Nie moim!
- Mówiłem ci, że powinieneś mnie teraz zobaczyć. Czym się zajmujesz w Hollenbecku?
- Małolatami. Mamy tam całe przedstawienie.
- Lubisz dzieci?
- ,
- Kocham je. Słuchaj, stary, może moglibyśmy połączyć się z kimś linią naziemną, kto by cię zidentyfikował? Jak ustalimy twoją wiarygodność, to będziemy mogli zorientować się, kim są ci ludzie.
- To nieco okrężna droga, ale wiem, o co ci chodzi. Zadzwoń do Williama Gibbsa w Eurece, Kalifornia. Powiedz mu, co się tu dzieje i gdzie jesteśmy, a w pierwszych słowach, jakie od niego usłyszysz, będzie wymienione moje nazwisko.
- W porządku. Ktoś jeszcze? .
- Pani Kathi Logan. - Leland podał mu jej numer telefonu. - Powiedz jej, że składałem jej życzenia, gdy odcięli linię. Zrozumie.
- Zrobię, jak mówisz. Nie musisz się martwić. Dlaczego nie odpoczniesz trochę?
- Nie. Zamierzam trochę posłuchać przeciwnej strony.
- Zrobisz to?
- Kanał dwudziesty szósty. Nie pozwól im się wykiwać. Wszyscy mówią po angielsku.
- Słyszeliśmy rozmowy po niemiecku, ale nikt z tego nic nie załapał. Mamy to na taśmie. Co ci

mówili?

- Mały Tony myśli, że jest przekonywający. Co do reszty, to opowiedziałem wam wszystko, co wiedziałem. Nic skomplikowanego: on chce wykiwać mnie, a ja jego. Znowu śmiech.

- Chyba się podłączę do was.

- Do diabła, ludzie umierają wokół, ale przynajmniej jest wesoło, co?

- Jeśli tak uważasz.

Leland przełączył się na dwudziesty szósty kanał.

- Tony, jesteś tam?

- Tak, panie Leland. Zajęło mi chwilę dostrojenie odbiornika. Panie Leland, czy pan słucha?

- Tak - niemal nie wypowiedział tego głośno.

- Mamy tu pana kolegę, pana Ellisa. Leland zamknął oczy.

- Jak się masz, Ellis?

- W porządku, Joe. - Ton jego głosu wyrażał krańcowe przerażenie. Leland nie mógł

sobie przypomnieć imienia Ellisa, - Posłuchaj mnie. - Te same słowa skierował przed chwilą do Dwayne'a T. Robinsona. "Posłuchaj mnie" to SOS wysłane gdzieś w przestrzeń. - Chcą, żebyś powiedział im, gdzie są detonatory. Wiedzą, że słuchają nas ludzie. Joe, chcą detonatory, albo mnie zabijają. Joe, okazałem ci ostatnio bardzo dużo względów. Pomyśl o tym.

Sądzę, że mnie zrozumiesz. Joe, słuchasz mnie?

"Względów?" Ellis chciał dać do zrozumienia, że chroni Steffie, ale jakie względy brał pod uwagę, decydując się na tę rozmowę? Jeśli Leland nie przekaże im detonatorów, to czy on powie im o Steffie, żeby uratować życie?

- Tak; słyszę cię.

- Powiedz im, gdzie są detonatory. Jest tu policja. To już ich problem.

- Nie mogę im powiedzieć. Musiałbym pokazać, gdzie są, a co potem? Co się potem stanie ze mną?

- Panie Leland. - Znowu Mały Tony. - Mister Ellis właśnie zawahał się przed powiedzeniem panu, że go zabijemy, jeśli natychmiast nie zwróci pan naszego sprzętu.

- Joe, tu są ludzie - powiedział Ellis. Miał na myśli Steffie. Powiedział już, że nie wydał jej. Czym groził? Leland zamknął oczy. "Żegnaj, Ellis".

- Nie wierzę im - powiedział Leland do radia. "Boże, wybacz mi" - pomyślał.

W małym głośniku radia wystrzał zabrzmiał jak podmuch wiatru, a krzyki, które po nim nastąpiły, wydawały się bardzo oddalone.

Leland nacisnął guzik nadawania.

- W porządku. Oddam wam to, co chcecie.

- Chcemy odzyskać detonatory - powiedział Mały Tony.

- Pozwólcie mi dostać się do nich i zostawić je tam, gdzie będziecie mogli je znaleźć.

- Świetnie! A gdzie to będzie?

- Oho! Najpierw je zostawię, potem się zmyję i dopiero później powiadomię was.

- Masz pięć minut.

- Potrzebuję więcej czasu - odparł Leland. - Muszę przejść spory kawałek, a nie jestem w najlepszej formie.

- Dziesięć.

- Nie ma szans. Nie tak szybko.

Cisza.

- Dobra, ile ci to zajmie?

- Dwadzieścia minut, może pół godziny.

- Dwadzieścia minut, później zastrzelimy kogoś innego. Może tym razem kobietę.

Cisza. Leland nacisnął guzik nadawania.

- Słyszeliście chłopaki to wszystko?

- Spotkamy się na kanale dziewiątym - odparł sucho czarny oficer.

- Wiem, że mnie słyszają, ale chcę się dowiedzieć, co tam, u kurwy nędzy, robisz. —

Znowu Dwayne Robinson. - Najpierw nie chcesz podać swojego nazwiska a potem ten punk nazywa cię panem Lelandem. Czy to twoje nazwisko?

- Tak. Billy Gibbs poda wam resztę informacji.

- Właśnie ktoś z nim rozmawia. Tylko po cholere całą to pieprzenie? Chcę, żebyś mi to wyjaśnił

teraz.

Leland nie odezwał się ani słowem. Cokolwiek powie, wystarczy, żeby Tony dopowiedział sobie całą resztę.

- Słuchaj mnie, ty skurwysynu - warknął Robinson. - Mamy nagrane wszystko, co powiedziałaś do tego punka. Pozwoliłeś zginąć człowiekowi. Gównu mnie to obchodzi, kim są twoi przyjaciele, ale jeśli tylko istnieje sposób, żeby wsadzić cię za dupę do pudła, to ja to zrobię.

- Pierdol się - poradził mu Leland i wyłączył radio.

Wiedział, że to go zabije. Nie miał pojęcia, co zrobić. Mógł tylko wykonać ich polecenia. Starał się pamiętać, że w tej sprawie nie ma co udawać głupiego. Pokuszył się do południowej klatki schodowej, zastanawiając się, czy powinien iść na górę i walczyć z tym kimś, kto się tam znajduje. Jeśli wygra, będzie mógł obronić swoją pozycję.

Która godzina? Prawie trzecia, najciemniejsze godziny przed świtem, kiedy i tak ludzie umierają. Nie chciał umrzeć. Nie był gotowy na śmierć. Najpierw chciał się wykapać.

W kostnicy polewali trupa wodą z węża, ale dokładnie myli tylko ręce i głowę. Resztę grzebano nie obmytą z brudu.

Nie chciał ginąć, gdy Steffie i dzieciaki znajdowały się w niebezpieczeństwie. Właśnie dlatego wdał się w to wszystko. Najpierw zginął Rivers. Czy on sam zrobił może coś złe?

Wyeliminował pięcioro z nich, zanim gliniarze w ogóle się pojawili. Gdyby miał zrobić to jeszcze raz, uczyniłby dokładnie tak samo. Cholera jasna, nie miał pojęcia, jak mógłby postąpić inaczej.

Zdawał sobie sprawę, że jest wyczerpany. - Stary, jesteś wykończony - powiedział na głos. Nie spał od dwudziestu dwóch godzin i z doświadczenia wiedział, że najgorsze dopiero nadejdzie, lecz już następnego dnia będzie do rzeczy. Jego organizm był przyzwyczajony do regularnego odpoczynku, ale mógł sobie dać radę z jedną nie przespaną nocą. Musi zadbać o siebie przede wszystkim przez następne trzy, cztery godziny. Jeżeli tylko przeżyje tak długo.

Zatrzymał się przy holu z windami. Jeśli wybuch zniszczył dwa piętra to krzesło musiało trafić w kabinę, gdy znajdowała się pomiędzy piętrami. Leland zastanawiał się, co się stało z drugim szymbem windowym. Drzwi zostały wywalone na obu piętrach, ale kabiny - a co ważniejsze, kable - znajdowały się znacznie wyżej. Tak długo, jak długo trzymał się powyżej, powiedzmy, dwudziestego piętra, żeby było bezpieczniej, wszystko powinno być w porządku.

Oczywiście, banda usłyszy silniki wind, chyba że zagłuszy je jakiś inny hałas. Fajnie, wiedział już, jak to może wykorzystać.

Był tak wyczerpany, że funkcjonowały jeszcze tylko niektóre części jego ciała.

Pozostałe nie reagowały, tak jakby zostały wyłączone. Musiał zrozumieć tyle nowych spraw, dziwne związki pomiędzy nimi i skojarzyć to wszystko razem.

Włączył radio.

- Tony? Tony, jesteś tam?

- Byłoby to czymś więcej niż tylko zaspokojeniem mojej ciekawości, panie Leland, gdyby zechciał pan powiedzieć, skąd zna pan moje nazwisko i wie tak wiele o nas.

- Miałeś pecha i wpadłeś dokładnie na nieodpowiedniego faceta. - Leland wiedział, że popełnił błąd, zanim jeszcze skończył mówić. Nie było w tym zdaniu śladu kapitulacji, która warunkowała przekazanie detonatorów. Cisza. Leland niemal słyszał, jak draniowi zmieniają się obroty.

- Panie Leland, proszę nam powiedzieć, dlaczego chciał pan ukryć przed nami swoje nazwisko?

- Wiem tyle o tobie, że nie mogłem mieć żadnej pewności, czy nie wiesz czegoś o mnie.

- Co za różnica?

- Potraktowałbyś mnie o wiele poważniej, niż to zrobiłeś.

- Tak, ma pan rację. Jest pan przebiegłym przeciwnikiem.

- Słuchaj, połączyłem się z tobą tylko po to, żeby powiedzieć ci, iż robię to, co mam zrobić.

- Wiem! - W głosie Tony'ego słychać było wesoły pomruk. - Połączenie ma już inny charakter i muszę skierować uwagę w inną stronę.

“Ty skurwysynu!”

Leland pomyślał o chłopaku, który podarował swojemu ojcu wielkoekranowy telewizor. Skąd ta historia? Aha, szofer. Śpi w swoim łóżku. Chyba że obudziła go eksplozja.

- Dlaczego zabiłeś Ellisa?

- Dlaczego pozwolił mu pan umrzeć?

Leland znowu szedł w stronę schodów, myśląc, że właśnie tego chciał Gruber. Tylko na schodach mieli szansę go usłyszeć i do tego niepotrzebne było im radio.

- To nie załatwia sprawy. Widziałem, jak zabijałeś Riversa. Nie miałeś nawet powodu, żeby to zrobić. Chciałeś, żeby utworzył sejf, ale byłeś przygotowany, zrobić to sam. Zabiłeś go, ponieważ chciałeś kogoś zabić, i zrobiłeś to na czterdziestym piętrze, żeby nie widzieli tego zakładnicy. Staraleś się uniknąć wzbudzenia paniki, ale teraz zmieniłeś taktykę.

- To pańska zasługa, panie Leland. Na pewno pan to rozumie. Eksplozja wzbudziła panikę. Będąc tak dzielnym wojownikiem, wie pan dobrze, iż pozbawił nas pan wyboru i że musieliśmy zademonstrować naszą zdolność do osiągnięcia własnych celów.

Leland wszedł na klatkę schodową.

- Tony, naprawdę potrafisz blagować. Ludzie, których musiałeś przekonać, to twoi ludzie. Nie jesteś wcale taki dobry, mały. Karl chce przejąć inicjatywę, czy nie tak?

Popełniłeś błąd. Pozwoliłeś Karlowi, aby cię nacisnął. Kiedy dochodzi do tego, że musisz pokazać własnym ludziom, jaki z siebie twardej, to jesteś skończony. Tony, jesteś już chodzącym trupem. Przyzwyczaj się do myśli, że już nie żyjesz.

- Można pana poprosić na słówko, panie Leland? - Włączył się "Hollenbeck" ze swoim miłym sposobem mówienia.

- Zamierzałem się wyłączyć.

- Dobry plan. Odbieramy mnóstwo rozmów po niemiecku na kanale trzydziestym.

Leland wyłączył radio i zaczął wspinać się po schodach.

ROZDZIAŁ 12

Godzina 3.10

Szedł dalej na górę. Karl chyba postawił na swoim i teraz skoncentrowali się na poszukiwaniu Lelanda. Jeśli się go pozbędą, znowu odzyskają kontrolę nad sytuacją. Mięśnie nóg zupełnie już wysiadały. Starał się odzyskać trochę energii w sposób zalecany policjantom na szkoleniach zawodowych. Ale ta zabawa trwała już ponad osiem godzin i było to coraz trudniejsze. Najbardziej pomogłaby mu rozmowa, ale nie miał się do kogo odezwać.

Przypomniawszy sobie swoją cenną 310. W dwudziestym wieku, kiedy zawodzą przyjaźnie, człowiek pociesza się przedmiotami. Jemu nigdy to nic nie dawało, dlatego znowu wrócił

myślami do Karen. Chciał o niej pamiętać. Jakaś głęboko ukryta część osobowości Lelanda nigdy nie mogła pogodzić się z faktem, że Karen i tak by umarła, nawet gdyby udało im się znaleźć sposób na przedłużenie wspólnego życia.

Musi spróbować dostać się na dach - jeśli tylko zdoła tam dotrzeć, zanim go zastrzelą.

Miał cichą nadzieję, że stali się mniej ostrożni, ale tak naprawdę nie było żadnych podstaw do takiego przekonania. Wiedzieli, że jest ranny. Jeśli dostanie się na dach, powie o tym

"Hollenbeckowi". Może policja będzie potrafiła wykorzystać sytuację i dostanie się do budynku.

Usłyszał szmer otwieranych drzwi, piętro czy dwa niżej. Znajdował się pomiędzy trzydziestą dziewiątą a czterdziestą kondygnacją i musiał jeszcze przejść do schodów prowadzących na dach. Chwileczkę! "Hollenbeck" w radiu? Może Robinson znajdował się gdzie indziej, ponieważ policja planowała nowy atak. Przejęli rozmowy po niemiecku i może zrozumieli ich znaczenie. Może będzie miał wreszcie chwilę na odpoczynek! Hej! Hej! Chciał

krzyknąć na całe gardło.

Usłyszał kroki kogoś ostrożnie stąpającego po betonie. Nie wiedział, czy facet na dole go słyszał. Oddychał cicho. Gdyby tamten zbliżył się bardziej, zamierzał strzelać w ściany, aby trafić go rykoszetem. Omal nie dostali jego w ten sam sposób, kiedy wrzucał krzesło do szybu windowego.

Zaczynał się gubić i nie pamiętał, co już zrobił i w jakiej kolejności. Chłopak spadający na Wilshire Boulevard. Dziewczyna przy sejfie. Facet, którego wysłał im windą.

Ten był pierwszy. I jeszcze facet przy oknie, który nie dał się nabrać na stary numer. Długa noc. Nie miał nawet komu przedłożyć rachunku za nadgodziny.

Leland przypomniał sobie, że ma dodatkową broń na dachu - automatyczny pistolet chłopaka i torbę z amunicją. Razem miał prawie sto trzydzieści naboji.

Gdyby zajął odpowiednią pozycję, mógłby ich trzymać w nieskończoność.

Ruszył, chcąc jak najszybciej znaleźć się na czterdziestym piętrze. Kiedy obrócił

klamkę, rozległ się wyraźny trzask zamka. Musiał się pospieszyć. Nie miał pewności, czy ta druga osoba zrozumie odgłos i przyjmie to jako coś normalnego, czy też przygotowuje pułapkę.

Miał jeszcze jedną przewagę: znał drogę do schodów na dach. Ostrzelali także ten obszar.

Teraz powinien uważać. Musi być ostrożny. Zaszedł już tak daleko, że chciał przebyć całą drogę. Dostyc już pomógł. Kiedy wszędzie słońce, świat zobaczy, iż terroryści wcale nie byli tak sprytni czy niepokonani, jak w to wierzyli i usiłowali wmówić innym. Powstrzymał ich jeden człowiek. To wystarczyło. Był w pojedynkę, a mimo to wszystko wyglądało inaczej dzięki niemu.

Za nim trzasnęły drzwi na klatkę schodową. Zaczął biec - potknął się, stracił

równowagę i upadł na biurko. Ktoś strzelił - usłyszał brzęk pękającej szyby. Gdyby teraz odpowiedział, ujawniłby tylko swoją pozycję. Ile pokoi musi jeszcze przejść, zanim dotrze do schodów na dach? Dwa? Trzy? Jeszcze dwa?

Bardzo daleko pod nim, zaczęła się strzelanina i słyszał pistolety maszynowe. Dobrze!

W holu paliło się światło, ale musiał zaryzykować. Kiedy był w połowie drogi, usłyszał za plecami śmiech dziewczyny. Zatrzymał się.

- Rzuć broń!

Zrobił to.

- Teraz się obróć!

Dziewczyna była niewysoka i nosiła za dużą kurtkę wojskową, a w obu rękach trzymała pistolet

maszynowy. Jej oczy rozszerzyły się, gdy zobaczyła jego odznakę.

- Jesteś policjantem? Gdzie są detonatory? Szybko, mów!

- Na dachu.

- Ach, tak, rozumiem. Dwoma palcami, tylko ostrożnie, wyjmij, proszę, pistolet.

Wysunął pistolet i podał, a dziewczyna wrzuciła go do torby.

- Powiedz mi, gdzie na dachu.

- Musisz iść naokoło w prawo. Dalej są schody do szybu windowego i naprzeciw aluminiowe pudełko. Skinęła pistoletem.

- Pokaż mi.

Otworzył drzwi. Trzymała się z tyłu, gdy szli na górę. W kryjówce zostało tylko kilka świetlówek. Błąd numer jeden. Nie miał pojęcia, co do cholery może dziać, gdy dojdą do automatu chłopaka. Była zbyt ostrożna. Nie uda mu się nawet zbliżyć do niej.

- Co za pech! - powiedziała złośliwie. - Wyglądało na to, że zabijanie sprawia ci niezłą radochę. Dla mnie to ty jesteś tylko tresowanym psem. Niszczysz budynek, żeby go ocalić.

- Kochanie, gównu mnie obchodzi ten budynek. - Byli na szczycie schodów. - Muszę otworzyć drzwi.

- Jedną chwilę... - Usłyszał za plecami dźwięk włączanego radia. Mówiła coś przez chwilę po niemiecku. Mały Tony odpowiedział jej i dziewczyna powiedziała głośno: - *Nein* -

jak kobieta oznajmiająca mężczyźnie, że da sobie sama radę. Leland zaczął myśleć o czymś innym.

- Teraz otwórz drzwi - rozkazała.

Na dworze wiał silniejszy niż poprzednio wiatr, ciepłe masy powietrza spływały z gór.

Niebo było czyste ze wszystkich stron.

- Nie pytałaś mnie, dlaczego nie dbam o budynek.

- Chcesz mi coś powiedzieć, staruszkule? Ruszaj się!

- Wy wcale nie myślicie. Dlaczego, na przykład, nie zszedłem na dół i nie opuściłem budynku?

- Chętnie się dowiem. Chcę, żebyś wszystko mi opowiedział. Teraz, kiedy już nic ci

-nie pozostało, chcesz się usprawiedliwić.

- Detonatory są po drugiej stronie pudełka, Ursula.

- Co? Ja nie mam na imię... - Rzucił się w tył i wtedy strzeliła, trafiając go w lewe udo. Dopadł do niej i kiedy pistolet wystrzelił drugi raz, pocisk jedynie drasnął mu ramię.

Upadła prosto na plecy. Bał się, że znowu strzeli, i przetoczył się w lewo. Uderzył ją silnie w twarz, a kiedy starała się wprowadzić między nich pistolet, walnął ją jeszcze raz. Trafiła na jego kciuk i ugryzła go z całej siły, a jej kolano znalazło się niebezpiecznie blisko jego krocza. Chciała go kopnąć. Złapał ją jedną ręką za włosy i trzepnął głową o dach. Otworzyła usta. Znowu ją walnął. Jego noga, dzięki Bogu, nie była złamana. Uderzył ją jeszcze trzy razy pięścią w twarz i kiedy przestała się bronić, wykręcił pistolet z rąk. Poderwał się na nogi i strzelił w jej prawe oko. Trzęsąc się z wściekłości, ulgi i podniecenia, znowu nacisnął spust.

Kiedy magazynek był pusty, pociągnął spust jeszcze trzy razy i ostatnią rzeczą, jaką zarejestrowała jego świadomość była chęć zrzucenia jej ciała z dachu, żeby poinformować Tony'ego, iż zwolnił miejsce dla następnych. Zemdlął.

Nie miał pojęcia, jak długo leżał nieprzytomny, a czas na jego zegarku 3.38 niewiele mu mówił. Kula trafiła go w zewnętrzną część uda, niezbyt głęboko, dwie małe dziurki oddalone od siebie o pięć cali. Wyjście kuli było równie czyste jak miejsce wlotu. W świetle zobaczył błyszczącą plamę krwi wielkości talerza. Wczołgał się za aluminiowe pudło i podniósł pistolet. Taśma naramienna z torby mogła posłużyć za opaskę zaciskającą, ale nie sądził, żeby jej potrzebował. Z ulicy dochodziły odgłosy strzelaniny.

Leżał zemdlony chyba nie więcej niż minutę. Tym razem nie zamierzał ogłaszać, że przeżył. Przyszło mu do głowy, że ci ludzie wcale nie są zmęczeni. Może oprócz własnej amfetaminy wzięli jeszcze kokainę Ellisa. Dupki - jedni warci drugich. Miał dobry widok na drzwi prowadzące na schody i drzwi do szybu windowego. Obserwował jedne i drugie. Tym razem nie będzie niespodzianek.

- Hannah? - zawołał ktoś na schodach.

Mężczyzna wchodził po schodach na dach. Musiał być dostatecznie blisko, żeby słyszeć strzelaninę. Ten będzie numerem osiem. Drzwi otwierały się w stronę Lelanda.

- Hannah?

Drzwi zaczęły się otwierać. Leland zniżył się.

- Hannah?

Drzwi otworzyły się, ale nikt się w nich nie ukazał. Zaczęły się zamykać i Leland strzelił, zatrzasnął je. Czekał cicho.

- Zostawimy cię tu na razie - zawołał Mały Tony. — Ale nie ciesz się, przyjdziemy o świcie i zabijemy cię. Sam cię zabiję, wierz mi, to będzie znakomicie pomyślane.

Od strony ulicy dobiegł go odgłos kolejnej serii z pistoletu maszynowego.

- Hej, "Hollenbeck"!

- Cześć, stary! Jak się masz?

- Jestem na dachu. Chyba zamknęli drzwi. Dostałem w nogę, ale to nic poważnego.

Aha, skreśl jeszcze jedną osobę.

- Chyba żartujesz!

Dziewczyna leży koło mnie. Nazywa się Hannah.

- A niech to, cholera!

- To już trzecia kobieta. Zaczynam się przyzwyczajać. Co się dzieje tam na dole?

- Pojawił się nasz as od niemieckiego i tłumaczy nam teraz wszystko, co się tam dzieje. Mamy tutaj tyle rozmów przez radio, że nic nie słyszeliśmy o kobietach. To rzeczywiście obrzydliwe.

- Przestań być staroświecki.

- Powiedział nam, że szykują się na ciebie, i Robinson starał się zmontować akcję odwracającą ich uwagę. Dwie sprawy. Czy jesteś pewien dokładnej ich liczby? Bronią się tu cholernie dobrze na dole.

- Słyszałem, jak sami to mówili. Co spowodowało, że Robinson przejrzał na oczy?

- Właśnie, stary, wiemy, kim jesteś! Nadal klnie na ciebie, ale wie - wszyscy wiemy -

że ma do czynienia z facetem, który zna się na rzeczy. Mam inne pytanie. Nasz tłumacz usłyszał, że mówili coś o twojej odznace. O co chodzi?

- To akurat coś, co mam przy sobie. Włożyłem ją, żebyście mogli mnie odróżnić, gdy wyjdziemy z budynku.

- Właśnie po to są zrobione. Noś ją nadal. Mamy tu obecnie zastępcę szefa, który zna sytuację i wszystkim kieruje. Billy Gibbs żałuje, że nie jest z tobą i nie może cię kryć.

Poczekaj chwilę. - Nadal miał wciśnięty guzik nadawania, gdyż Leland usłyszał, jak mówi: -

Złatwił jeszcze jednego. To już siódmy.

- A to drań! - Radio zamilkło na chwilę. - Joe? Tu Vince Crane. Spotkaliśmy się dwa lata temu w Nowym Orleanie.

- Jak się masz? - Był dwa lata wcześniej w Nowym Orleanie, ale nie potrafił teraz umiejscowić Crane'a w olbrzymiej delegacji z Los Angeles na tę konferencję.

- W porządku. Myślę, że mamy szansę opanować sytuację dzięki tobie. Nie chciałbym mieć do

czynienia z dwunastoma. Słuchaj uważnie, myślimy, że powinniśmy teraz poczekać, żeby zorientować się, co zrobią. Trzymaj się mocno, jeśli tylko możesz. Rozumiemy, na czym polega problem, i dbamy o wszystko, uwierz mi. Utrzymasz się tam.

- Jak będziesz posyłał po jedzenie, to weź dla mnie kawę i orzeszki. - Roześmiał się.

- Dobra, rozluźnij się na razie. Oddaję ci sierżanta Powella.

- Cześć, partnerze.

- Dzięki, to dla mnie zaszczyt. Masz już teraz do nas zaufanie? Mam dla, ciebie trochę wiadomości. Rozmawiałem z Kathi Logan. "Wcale" cię nie pamięta!

- Dostanę cię za to, brachu.

- Nie, powiedziała bardzo dużo miłych rzeczy o tobie. Wie jedynie, że jesteś w budynku z jakimiś złymi facetami. A teraz na inny temat. Pojawiła się telewizja. Chcą was ze sobą połączyć, gdy tylko będzie to możliwe. Zdaje się, że stracie swoją prywatność.

- Nie biorę udziału w cyrku.

- Za późno na to, kamikadze.

- "Hollenbeck", połączę się z tobą.

- Mów mi Al.

- Joe. Później.

- W porządku. Uważaj na siebie.

ROZDZIAŁ 13

Godzina 4.53

Obudził go ból. Jeszcze przed otwarciem oczu uświadomił sobie, gdzie jest, ale minęło parę chwil, zanim zrozumiał, co się wydarzyło. Czuł w wielu miejscach okropny ból i nie miał pewności, czy będzie mógł się ruszyć. Nawet jego kciuk był rozcięty w miejscu, gdzie ugryzła go Hannah. Temperatura opadła lub, co bardziej prawdopodobne, zmniejszyła się jego odporność na zimno. Zanim zasnął, obliczył, że stracił jakieś pół litra krwi, czyli tyle, ile pobierano w stacjach krwiodawstwa. W tych okolicznościach była to jednak bardzo duża strata. Niebo miało nadal odcień granatowoczarny. Do świtu brakowało jeszcze półtorej godziny.

Spróbował stanąć na nogi. Wcześniej dotarł do tego miejsca przy Wilshire Boulevard, gdzie poprzednio wyszedł z szybu wentylacyjnego. Lewa noga bolała tak, że chciał krzyczeć, kiedy nią poruszył. Rana na udzie paliła żywym ogniem. Kiedyś już go postrzelono i ból był

wtedy dokładnie taki sam. Mógł chodzić, ale wiedział, że przejście na drugą stronę dachu, gdzie leżała Hannah, zajmie mu z pięć minut. Zatrzymał się - po jaką cholere miałby tam iść?

Musi zastanowić się nad każdym krokiem. Wyjął radio, ale poczekał chwilę, zanim je włączył.

Coś go zastanowiło. Al - "Hollenbeck" - zapytał go, ilu członków liczy banda.

Dlaczego? Leland usłyszał strzały dochodzące z ulicy. Te szczeniaki zostały przeszkolone w obozach partyzanckich na całym Bliskim Wschodzie. Mogli przyszykować pole bitwy równie dobrze jak amerykańska piechota morska. Jednak Al, zajęty zawsze pracą biurową, mógł tego nie wiedzieć.

Leland postanowił, że na razie będzie tylko słuchał. Na kanale dwudziestym szóstym panowała cisza. Na dziewiętnastym kobieta odliczała po niemiecku. Na dziewiątym cisza.

Policja miała własne częstotliwości, ale terroryści, dysponując odpowiednim sprzętem, mogli ją podsłuchiwać.

Musi się przygotować na ich przyjęcie. Ma jeszcze co najmniej godzinę, zanim przyjdą po niego. Zaczekają, aż słońce wzniesie się nad wzgórze. Najgorsze, że nic nie wiedział o losie Stephanie. Nie chciał jej przeżyć. Ale nie chciał także przeżyć Karen. Nie chciał. Nie! Chyba nie mógłby jeszcze raz doznać tego bólu.

Zdumiony potrząsnął, głową. Za godzinę mieli przyjść ludzie, żeby go zabić, a on martwił się, że jego życie trwa zbyt długo. Podeszedł do krawędzi, ale był za słaby, żeby wejść na neon z napisem KLAXON i spojrzeć na ulicę. Zastanowił się jeszcze raz, czy powinien nadal zachować milczenie. Spojrzał na miasto i zauważył, że teraz jest zalane bez porównania większą falą światła.

Kupił cessenę-310 już po rozwodzie. Wiedział doskonale, że to będzie jego ostatni samolot i nie używał go zbyt często. Zawsze nadchodzi taki okres w życiu, że trzeba z czegoś zrezygnować. Przez ostatnie sześć, siedem lat poświęcił się, całkowicie pracy. Dobrej i ciekawej pracy. Znajdował się w grupie, która zorganizowała pierwszy antyterrorystyczny kurs prawa jazdy. Skonstruował system zabezpieczenia nowych ogródków dla dzieci i od tej pory skopiowano go w całym kraju. I jeszcze coś, czym właściwie nigdy się nie chwalił: to on właśnie doradził detalicznym sprzedawcom, żeby zmusili producentów przedmiotów do umieszczania ich w kartonowych i plastikowych opakowaniach, na tyle dużych, aby nie można ich było schować do kieszeni. Ludzie tak nienawidzili konieczności przedzierania się przez opakowanie, że nie chcieli zrozumieć faktu, iż okradanie sklepów stało się zagrożeniem dla handlowców na całym świecie.

Wydawało mu się, że wśród ludzi zanikało zrozumienie konieczności pomagania innym. Coraz rzadziej utrzymywano dobrosąsiedzkie stosunki, a życie zostało tak zorganizowane, że ludzie zaczęli zachowywać wzajemny dystans i coraz bardziej czuli się jak goście na własnej planecie. Konstruktorów tego budynku bardziej interesowało uhonorowanie bandy piratów przemysłowych wykonaniem luksusowego betonowego placu wokół budynku niż zapewnienie miejsca dla kilku drzew i ławek, na których można by usiąść i porozmawiać.

Włączył radio.

- Al?

- Cicho. Obudził się. - Joe, wszystko w porządku?

- Co ma znaczyć to: "obudził się"? Siedziałem tu, pisałem listy i spijałem swoje troski.

- Dobra, uciszyłem faceta, który zawracał mi głowę, to wszystko. Rozluźnij się trochę.

- Ja jestem w porządku, to ty wyglądasz na zmęczonego. Słuchaj, zamierzają przyjść po mnie...

- Pracowaliśmy nad tym. Dostaniesz wsparcie z powietrza.

Leland nic nie powiedział. Jeśli policji uda się zbliżyć do budynku, to mogą spuścić ludzi na drabinkach z helikopterów. Tyle że potrzebowali Lelanda, aby dostać się na odpowiednią odległość. Wsparcie, cholera. Chcą, żeby ich osłaniał, gdy będą schodzić na dach. Udało im się nawet znaleźć odpowiednią nazwę dla środków przekazu: "wsparcie z powietrza". Teraz terroryści mieli jeszcze jeden powód, aby go jak najszybciej wykończyć.

Tak długo siedział już cicho na dachu, że może nawet przestali podsłuchiwać kanał jedenasty.

- Słuchaj, nie jestem pewien, czy to wypali. Ten dach jest pokryty konstrukcjami, które dadzą im cholernie dobre kryjówki. Oni tu zamierzają zostać dłużej, więc jest możliwe, że mają rakiety.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, co brachu?

"Teraz już jesteśmy braćmi" - pomyślał Leland. Cholera, niemal słyszał

protekcjonalny ton w jego słowach.

- Słuchaj, dzieciaku, porozmawiajmy o tym ucziwie. Nie próbuj mi wciskać gówna.

- Joe, powinienem ci coś powiedzieć. Jest tu telewizja i nagrywają wszystko, co mówimy. Leland westchnął.

- Zapłacą mi za to?

- Wątpię.

- No to, kurwa, muszą przyjąć grzecznie to, co mówimy.

Głos czarnego policjanta był cały czas zrównoważony.

- Joe, to jest świąteczny poranek i słuchają nas dzieciaki!

- Powinny siedzieć w kościele. Jeśli ktoś chce mi pomóc, to niech idzie się pomodlić do kościoła.

- Znowu zaczynasz. Wszyscy wiedzą, że przeszedłeś przez piekło - widzisz, teraz ja zaczynam. Wesołych świąt dla wszystkich! Joe, nie kantujemy cię. Jak tylko wzejdzie słońce, wyślemy

helikoptery, które cię osłonią.

- Posłuchaj mnie uważnie. Słuchaj i myśl! Jeżeli jeszcze żyję, to tylko dlatego, że oni są przekonani, iż panują nad sytuacją. Oni chcą zestrzelić helikopter.

- Nie masz racji, Joe, oni chcą się dostać do telewizji. Chcą się podłączyć do sieci, potem do satelity i oznajmić coś na cały świat.

- I?

- Ludzie, z którymi się skonsultowaliśmy, mówią, że to trudne, jeśli nie niemożliwe.

Właśnie staramy się im to powiedzieć.

O świcie helikoptery mają spuścić to, co zostanie z grupy policjantów SWAT, którzy spróbują przedrzeć się do zakładników. Tylko że wtedy wielu zakładników zginie. Wśród nich Stephanie, Judy i Mark.

Policja jednak nie da rady. Zadanie zostanie przekazane wojsku, które utoruje sobie drogę, wysadzając dół i górę budynku. Armia ma szansę zwyciężyć, ale wtedy wszyscy zginą.

Leland zdecydował się nie dyskutować więcej.

- Joe, czujesz się na siłach porozmawiać z kumplem?

- Mówisz, jakbyś występował w telewizji.

- Daj spokój, stary. Chcę jedynie wrócić do domu i sprawdzić, co Mikołaj zostawił mi pod choinką.

- Ja dostałem kilka automatów. - Wstał, starając się nie zwracać uwagi na ból.

Dostałem ich już sześć.

- Myślałem, że mówiłeś: siedem.

- Ach, dostałem ich siedem. Ostatnia była Hannah.

- Skąd znasz jej imię?

Policja chciała się zorientować, co się stało na dachu.

- Chciałem z nią porozmawiać o poezji. Co z tym przyjacielem? - Przypadkiem uświadomił sobie, że jeśli będzie przebywał w świetle, żeby obserwować, co się wokół dzieje, nie będzie mógł tego robić zbyt długo. Zostanie dostrzeżony.

- Masz dwie możliwości do wyboru: Billy Gibbs lub Kathi Logan.

- Powiedz Billy'emu, że nadal jestem górą. Będzie wiedział, o co chodzi.

- Chcesz więc porozmawiać z panną Logan?
- Z panią.
- Billy Gibbs słyszał cię w telewizji i radzi ci zejść ze słońca, cokolwiek to znaczy.
- To znaczy, że Billy wie, kto jest kapitanem, - Nie była to wcale zła rada. Leland skierował się ku wschodniej stronie budynku.
- Czy taką miałeś rangę w czasie wojny?
- Pozwolisz mi porozmawiać z Kathi Logan, czy nie?
- Chyba tak, bo inaczej dostanę listy z pogrózkami od twoich fanów.
- Zapomniałem, że mamy widownię. Co za szkoda, stracili pół widowiska.
- Jesteś pewien, że zabiłeś siedmioro?
- Jak dotąd.
- I na początku było ich dwanaścioro?
- Słyszałem, jak to mówili - i wcale nie na mój użytek.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Od dziewiątej wieczorem bawimy się w kotka i myszkę. Jeśli któryś z nich to przeżyje, urządzimy sobie wspominki w przyszłym roku. Z pizzą i kręglami. Połącz mnie, do cholery, z Kathi Logan, zanim jeszcze coś powiesz.
- Rany, cieszę się, że nie jeżdżę z tobą w czarno--białym.
- Joe? Tu Kathi. Słyszysz mnie?
- Jakbyś była w sąsiednim pokoju. Pójdiesz ze mną do kina? Jak się czujesz?
- Pewnie, że pójdę. U mnie wszystko w porządku, a co u ciebie? Siedzę przed telewizorem. To wszystko wygląda tak, jakby tam była wojna.
- Nie, to tylko jeden głupi gliniarz oczyszcza okolicę.
- Powiedzieli mi, co już zrobiłeś.
- Sama możesz to powiedzieć.
- Nie, nie mogę.

- Rozumiem. Słuchaj, dziewczyno, tego mnie właśnie uczono. Leży tu jedna młoda dama, która nazwała mnie wyszkolonym psem. Ci ludzie zawsze starają się odmówić ci twojego człowieczeństwa. Obchodzi cię, że nas słuchają i oglądają?

- Nic a nic. Interesujesz mnie jedynie ty.

- Wyszkolono mnie, ale nie jestem psem czy innym zwierzęciem. Jestem tylko człowiekiem działającym w pojedynkę. Moja ciągła obecność tutaj powinna ich czegoś nauczyć.

- Joe, zgadzam się z tobą, ale nie wiem, czy stać mnie na tyle odwagi, co ciebie.

Starał się odnaleźć drogę do budynku przez dach. Jeśli terroryści podsłuchują tę rozmowę, niech myślą, że uciął sobie pogawędkę z dziewczyną. Niemal czuł zapach jej perfum, a na swoich ustach smak jej ust. Na szczęście przeznaczenie zostawiło mu coś, w co mógł wierzyć.

- Dobrze, czy możemy to potraktować jako osobistą rozmowę? Słuchałaś taśmy?

- Tak.

- Zostałem odcięty przez tych ludzi. Nie wiedzieli, że wyszedłem z przyjęcia, żeby zadzwonić do ciebie. Udało mi się dostać na górę. Zobaczyłem, jak zabijają jednego faceta o nazwisku Rivers. Anton Gruber strzelił mu w serce i ja byłem tego świadkiem. Starłem się nadać SOS, ale oni wysłali za mną jednego ze swoich. Odesłałem go ze złamanym karkiem.

Teraz już chyba domyślasz się, kim jestem. Pracowałem na ulicy przez prawie trzydzieści pięć lat. Policja chce mieć dokładną informację o tym, co tu zaszło. Wiesz już, co robię?

- Tak.

- Czy naprawdę mogę to uznać za rozmowę osobistą? - Nie było żadnej drogi przez dach. - Myślałem o tym miejscu na plaży. Trochę czasu upłynie, zanim będę mógł znowu chodzić, ale to by było cudowne.

- Dlaczego nie możesz chodzić?

- Powiem ci to później.

Jedyna droga, jaką znał, wiodła przez szyb wentylacyjny, ale wtedy nie mógłby wrócić na górę, nawet gdyby udało mu się zejść na dół.

Zorientował się, że byłoby dla niego korzystne, gdyby Mały Tony doszedł do przekonania, że go całkowicie unieszkodliwił. Miał zapewnić osłonę helikopterem. Która, do cholery, godzina? Prawie 5.30. Za jakieś pół godziny powinno wzejść słońce.

Mówił do Kathi, jakby recytował w klasie - opowiadał jej o trupach, które zostawił na swojej drodze. Postanowił zrobić użytek ze wszystkiej pozostałej mu broni, wliczając w to nie załadowany pistolet Hannah. Miał dwie torby z zapasami: czeskim automatem chłopaka z dachu i trzema

magazynkami amunicji, oraz ręczniki, którymi owinał nogi.

“Co jeszcze we mnie pozostało z normalnego człowieka?”

Było sporo czasu do świtu i w niektórych momentach, kiedy zdawał się szczególnie wykończony, czuł coś w rodzaju czarnej kuli uciskającej mu oczy. Piloci, marynarze i kierowcy ciężarówek znali to odczucie.

Powiedział Kathi, że nie wie, kto powiadomił policję o dawanych przez niego znakach, ale chce myśleć, że zrobił to jakiś aktor w jacuzzi, z piękną kobietą u boku. Kathi zrozumiała, o co mu chodzi. Odpowiedziała, że zna tego faceta i że po tym wszystkim chętnie użyje Lelandowi własnej wanny. W trakcie rozmowy Leland przeglądał swój ekwipunek.

- Doceniam to, Kathi, naprawdę.

- Chcę cię zobaczyć, gdy to się skończy. Chcę, żebyś żył.

- Pomyślał o radzie Billy'ego Gibbsa. Zastanawiał się, czy wysokość czterystu stóp nad ziemią rozdrażni go w tych warunkach jeszcze bardziej.

- Też chcę żyć. Al, jesteś na linii?

- Starąłem się zachować dyskretny dystans. Co mogę dla ciebie zrobić, poza podaniem szampana i kawioru? Tylko nie proś, żebym włożył strój kelnera.

- Szkoda, byłoby to ciekawe. Słuchaj, staram się przygotować na wasz samobójczy atak i chcę się wówczas ustawić tak, aby mieć słońce za sobą.

- Wzajdzie jakieś dziesięć stopni w lewo od drapaczy chmur w centrum. Kocham cię, stary. Rozumiesz? Jestem z tobą.

•

- Dzięki, Al. Billy Gibbs powie ci, jakim jestem partnerem. Kathi, jesteś tam jeszcze?

- Jestem, Joe.

- Jeśli oglądasz telewizję, to wiesz, że policja przyleci o świcie, jeśli nie wcześniej.

Starął się wyliczyć, co będzie mógł wziąć ze sobą. Nie, najpierw musi sobie uświadomić, czego będzie potrzebował. Trzeba zrobić dokładny plan. Tony pewnie podsłuchiwał cały czas, starając się zorientować, w jaki sposób Leland chce ich wykiwać.

Cholera z nim. Rada Billy'ego była najlepsza. Ze słońcem za plecami miał jakąś szansę.

Billy wiedział, że Leland zdecydował się przejść do ofensywy. No i miał rację, cholerną rację. Z powodu tych zwierzaków Leland stał się strzępem nerwów i straszidłem.

Jeśli Bóg jest dobry, to pozwoli mu zabić ich wszystkich. Myślał już o tym wcześniej, ale teraz pragnął tego bardziej niż kiedykolwiek.

- Jakkolwiek będzie - powiedział do Kathi Logan i do każdego, kto go słuchał -

zamierzam stanąć w słońcu tak, aby to przeszkadzało tym ludziom w odszukaniu mnie.

Robiliśmy tak w czasie drugiej wojny światowej. Z tego miejsca będę widział drzwi wychodzące na dach i drzwi do szybu windowego. Od kiedy tu przybyłem, poznałem ten budynek lepiej niż większość ludzi.

- Joe, chcę żebyś żył.

- Mówiłaś już to.

Zebrał wszystkie pasy od toreb. Tym razem zamierzał przyczepić je do swoich szelek od kabury. Jego nogi były zupełnie do niczego. Musi to zrobić w takim stanie, w jakim był.

Szczur w pułapce odgryzłby sobie nogę, gdyby to pozwoliło mu się uwolnić.

Zdjął pasy od kabury i rzucił je na dach. Nic z tego nie wyjdzie. Jeśli nie wyliczy wszystkiego dokładnie, to zginie. Zginie też, jeżeli zostanie na dachu. Jednak nie mógł

ponownie zaufać zanikom od pasów, zwłaszcza że tym razem musiałyby przyjąć jego ciężar nagle. Miał mniej niż pół godziny, żeby znaleźć rozwiązanie.

- Al, jesteś tam jeszcze?

- Tam, gdzie zawsze.

- Kathi, zostań na linii. Al, chcę mówić z Vince'em Crane'em.

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

- Czemu, u diabła, niemożliwe?

- Nie ma go tutaj. Nie denerwuj się, dobrze?

Leland potrzebował kilku chwil, żeby zrozumieć, że Crane nie żyje. Policją znowu dowodził Dwayne Robinson. To on wymyślił lądowanie na dachu - i jeśli Leland zginie przy tym, nie zmartwi to szczególnie Robinsona. Włączył guzik nadawania.

- Al, jak się nazywa oficer dowodzący teraz tą operacją? Chcę, żeby to zostało nagrane.

- Joe, nie musisz nam więcej pomagać. Dostyc już zrobiłeś.

- Podaj to nazwisko.

- Kapitan Dwayne T. Robinson. Słuchaj, Joe, znajdujemy się tu pod okropnym naciskiem.

- Nie kiwaj mnie, dobra? Cały czas urządzasz pogawędki, a Vince Crane nie żyje.

Powiedz mi, jaka jest sytuacja na ulicy.

Ruszył w stronę wieży z szybem windowym. Jego lewa noga kompletnie zdrętwiała, a krzyż rwał od bólu. Jeśli na dachu są węże strażackie, to powinny być mniej więcej w tym samym miejscu, co na dole.

- Al, powiesz mi jaka jest sytuacja na dole, czy nie?

- Panie Leland? - Jakiś nowy głos, wyjątkowo wyraźny i czysty.

- Kto mówi?

- Nieważne. Mam tutaj taką małą stację o wystarczająco dużej mocy, żeby nagłośnić całą Kanadę. Pokazywali ulicę w telewizji. Garaż jest pokryty materiałami wybuchowymi.

Leland miał pewien pomysł.

- Chcesz się do tego przyłączyć?

- Z przyjemnością.

- Słyszysz mnie wyraźnie?

- Kurczę, mam pana w stereo. Gdyby faceci z Federalnej Komisji Telekomunikacyjnej zobaczyli mój sprzęt, to kazaliby mi go zjeść.

Leland uśmiechnął się.

- Nie są wcale tacy wszechpotężni.

- Joe, tu mówi Dwayne Robinson. Chcę, żebyś się z tego wycofał, i to już! Zajmujesz się tym całą noc i masz już dosyć.

- Mam zamiar spełnić mój obowiązek - odparł Leland.

- Joe, znajdź sobie jakąś kryjówkę. - Znowu Al Powell. - Zrobiłeś więcej, niż do ciebie należało. Postaw się choć na chwilę w naszej sytuacji.

- Właśnie to mam na myśli.

Znalazł wąż strażacki w metalowym pudełku, ale był on zbyt ciężki, żeby go przenieść. Musiał go rozwinąć i dostać się do tulei łączącej wąż z dopływem wody. Jaką długość miał wąż? Czterdzieści stóp? Był tak gruby, że Leland nie zdołałby go przeciąć, nawet gdyby chciał.

- Kathi?

- Tak, Joe?

- Powiedz mi, jeśli nie możesz już tego znieść.

- Powiedzieli, że lecą tam z kamerami. Już ruszyli.

Rozciągnął wąż na całą długość.

- Hej, ty, z za dużym nadajnikiem. Jak się nazywasz?

- Taco Bili, Powiedziałbym ci, co to znaczy, ale słuchają nas dzieciaki.

Jakiś nowy głos.

- Joe, tu mówi Scott Bryan z wiadomości KXAG. Myślę, że chciałbyś wiedzieć, że kościoły na całym wschodzie są wypełnione.

Tuleja łącząca była zaciśnięta i musiał kilka razy uderzyć w nią kolbą karabinu.

- Och, Bryan. Będę ci wdzięczny, jeśli zostaniesz zdala od tego kanału.

- Trzymamy za ciebie kciuki.

- Trzymaj się, kurwa, z dala od tego.

Musiał przejść dwa razy, żeby przeciągnąć wąż na krawędź dachu. Za kwadrans szósta. Nie ułatwi życia Małemu Tony'emu. Gdyby przesunął się o jakieś dziesięć, piętnaście, stopni w stronę północną, mógłby łatwo kryć obie pary drzwi. Wystarczy, że wyciągnie ich trochę bardziej na zewnątrz - chociaż nie mógł mieć żadnej pewności, czy to się uda. Siedzieli zbyt cicho. Przejrzeli jego grę.

Leland musiał sprawdzić coś jeszcze, a to wymagało wejścia na konstrukcję podtrzymującą napis KLAXON. Od pół godziny starał się o tym nie myśleć i teraz, gdy nie mógł już tego dłużej odwlekać, czuł narastającą wściekłość. Nie był pewien, czy w ogóle uda mu się wejść na napis, a to, co zaplanował, wymagało dwu- albo i trzykrotnego wdrapania się na konstrukcję.

Podciągnął się na rękach. Czteryście stóp. Nad ulicą unosił się dym. Uprzątnięto ciało oficera, ale pobojuwisko przypominało wojnę. Wysunął się jeszcze bardziej - jego głowa i ramiona zawisły nad ulicą. Kiedy ostatnim razem starał się skalkulować odległość, pomylił

się o sześć, osiem stóp. Warunki były inne, ale wcale nie łatwiejsze. Musiał obliczyć odległość, łuk, po jakim będzie leciał, i odmierzyć odpowiednią długość węża. Jeśli umocuje go porządnie, to na pewno nie spadnie. Może jedynie zawisnąć nad ulicą, jak nagroda na strzelnicy za trafny strzał.

Najważniejsze będą pierwsze chwile. W tych warunkach powinien stoczyć się z dachu. Będzie przypuszczalnie wirował na wężu. Miał jedynie nadzieję, że rozpęd poniesie go z powrotem w stronę

budynku. Aha, powinien jeszcze zastanowić się nad sytuacją, gdy wyląduje na czterdziestym piętrze. Jak tylko zacznie się akcja, będzie tam bezpieczny. Chyba że ktoś się połapie, co się z nim stało, i znowu zmusi do walki o życie.

Był tak przerażony, że ledwo mógł skoncentrować się na tym, co widzi. Pomyślał, że chyba powinien uwzględnić to w swoich obliczeniach. Wciągnął wąż na napis KLAXON, zmierzył odległość, a po chwili zwątpił w swoje obliczenia. Nie chciał tego robić, ale wiedział, że jeśli się nie zdecyduje, to zginie. Przyszło mu do głowy, że musi maksymalnie naprężyć wąż, bo inaczej efekt tej akcji będzie taki sam jak przy otwarciu zapadki pod szubienicą. Złamie kark.

Zamierzał użyć masywnej tulei do umocowania węża owiniętego wokół podstawy neonu. Chciał wykorzystać wylot rury przy zawiązywaniu drugiego końca węża wokół pasa, ale po namyśle doszedł do wniosku, że kiedy pętla zaciśnie się, metalowy koniec wbije mu, się w żebra. Po dostaniu się do budynku może też nie zdążyć się odwiązać i wąż pociągnie go znowu nad ulicę.

Założył pasy od kabury i zabezpieczył browning. Następnie połączył ze sobą wszystkie pasy od toreb, aż powstała sieć o potrójnej grubości. Nie rozwiązywało to problemu szybkiego uwolnienia się. Zdjął pasek od spodni.

O 6.05 znajdował się już na pozycji. Wyszedł wcześniej jeszcze raz na krawędź

neonu, żeby utrwalić w pamięci pozycję okna. Teraz nie miał pojęcia, jak długo uda mu się utrzymać na dachu podczas strzelaniny. Może tylko kilka sekund, co nie pozwoli mu wybić okna - strzał pod takim kątem był dosyć trudny. Będzie miał więcej światła, jeśli policja nie zmieni planu i nie ruszy przed świtem. Hałas, jaki robiły helikoptery, wykluczał element zaskoczenia. Leland musiał założyć, że banda jest po drugiej stronie drzwi i czeka na odgłos nadlatujących helikopterów.

Znajdował się na terenie niczym. Poza prawem. Obecnie potrzebował takich ludzi jak Taco Bili. I pomyśleć, że przywieziono go tu w limuzynie, ubranego w garnitur i krawat.

Ludzie pomdleliby z wrażenia, gdyby zobaczyli teraz, za kogo trzymają kciuki. Różnica pomiędzy bohaterami a przestępcami sprowadzała się w końcu do kwestii czasu.

Szczeniaki z niemieckich uniwersytetów wiwatowały przez kilkanaście lat na cześć tych drani. Nie były całkowicie w błędzie. Policja starała się wrobić Lelanda. Miał poświęcić życie za misję, która była bez szans. Zamknęli się w końcu, gdyż zdawali sobie sprawę, że każde kolejne wypowiedziane zdanie pokazałoby, jak słabo kontrolują sytuację. Nie kazali Tacowi Billowi wyłączyć się z tego kanału. Na szczęście ich zwierzchnia władza miała, swoje granice.

Oczywiście, dla Dwayne'a T. Robinsona najlepszą rzeczą byłaby śmierć Lelanda.

Eliminowałyby to źródło odpowiedzi na niewygodne pytania. Cywilizacja była pełna Dwayne'ów Robinsonów, dla których wszystko stanowiło podstawę do wywindowania na pierwszy plan własnej osoby. Niszczyli społeczeństwo tak samo jak każdy Mały Tony.

Richard Nixon zajmował czołowe miejsce na tej liście. Dupki. Właśnie przez nich cywilizacja stała

się czymś bezsensownym. Nikt nie wiedział, w co ma wierzyć i czy w ogóle zostało jeszcze cokolwiek, w co można by wierzyć.

Robinson zdecydował się na ostrą grę. Jako gliniarz musiał wiedzieć, co się stanie z każdym z ludzi, którzy zginą w tej akcji. Kiedy laboratorium kończyło sekcję, trup wyglądał

jak łódka wypalona aż do poziomu wody. Tak właśnie ich nazywano, canoe. Ściągali nawet skórę z głowy - schodziła jak z mandarynki. Jeśli Leland zginie, to jeszcze przed wieczorem będzie rozpruty i zszyty.

Zorientował się, że z dołu dochodzi hałas klaksonów samochodowych. Ludzie już widzieli, co się dzieje. Chciał przyjąć, że to jest typowe dla Los Angeles, ale wiedział, że taką postawę przyjmowano wszędzie. Leland był na terytorium niczym i z trudem tylko rozumiał, o co walczy. Wciąż nie było oznak nadchodzącego świtu.

ROZDZIAŁ 14

Godzina 6.41

Zobaczył je nagle kącikami oczu: trzy migające na czerwono światła, wznoszące się nad wzgórzami. Zastanawiał się, co terroryści mogą wiedzieć o taktyce wsparcia i lądowania helikopterów. Umieścił przed sobą na rusztowaniu neonu jeden z zapasowych magazynków, a obok niego radio. Drugi zapasowy magazynek miał w tylnej kieszeni spodni. Nad drapaczami chmur zaczęły pojawiać się szarobiałe obłoczki. Widział wyraźnie góry, przygotowane na przetrwanie następnych tysięcy. Przysunął radio do siebie.

- Taco Bill.

- Słyszę cię.

- Powiedz mi, co widzisz w telewizji.

- No cóż, przyciągnąłeś sporo ludzi. Na ulicach są ich tysiące.

- Co jeszcze?

- Cała reszta jest tajemnicą. Widzimy budynek, który wygląda jak wypalony od środka, ale nic się nie zmieniło. Wokół światła - ani jedno nie gaśnie, bo ludzie w telewizji mówią tylko o tym, co się tu dzieje, i o ludziach idących do kościoła.

- Joe, możemy ci pomóc.

- Al, nie wyłączaj się. Bill, powiem ci, kiedy wchodzisz.

- Dobra.

- Joe, nie chcemy, żebyś robił cokolwiek. Zatrzymaj się tam, gdzie jesteś, a ocalisz się.

- Gdybym wierzył, że jest to możliwe, to nawet bym się nie zastanawiał. - Helikoptery nadal trzymały się nisko nad ziemią. - Nie sądzę, żebym miał jakieś wyjście. Powiedziałem wam, co się stanie. Gdybym był tam na dole, zdołałbym was przekonać.

Odsunął się do tyłu, aż obwiązane wokół piersi pasy od toreb wpiły mu się w żebra.

Musiał zachować pełną swobodę ruchów. Helikoptery zaczęły się wznosić. Może jednak zachowują pewną ostrożność. Jednak i tak stworzą nowy problem. Jeśli spróbują wylądować w tym świetle, banda nie będzie miała żadnych kłopotów ze zlikwidowaniem Lelanda. Nagle zrozumiał, czemu nie weszli jeszcze na dach. Mały Tony i cała reszta widzieli z okien to samo, co on - wznoszące się helikoptery.

Musiał uważać na drzwi. Słońce znajdzie się na tej wysokości dopiero za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut, a helikoptery potrzebowały około pięciu minut, żeby tu dotrzeć - może nawet mniej, jeśli mieli inny plan.

- Al, mogą jedynie wylecieć z zachodniej wieży.

- Jesteś podłączony do pilotów.

- Kathi, jak się masz?

- Oglądam siebie w telewizji. Jak się czujesz?

- Nigdy nie czułem się lepiej.

- Czy nie jest możliwe, żebyś zrobił jednak to, czego chce policja?

- I przeżył? Nie.

- Zdjęli mnie z ekranu. Spójrz na północ.

- Widzę dobrze. Wszyscy to widzą. - Od ulicy doszedł go ryk podnieconego tłumu, jak na igrzyskach. Leland pomyślał o przyjacielu Kathi, bokserze wagi ciężkiej. Chciałby ją zapytać, czy kiedyś zdarzyło się tamtemu walczyć o jedną rundę za długo.

Przysunął się na krawędź neonu i jakieś trzy bloki dalej dojrzał ludzi za barykadami.

Za blisko. Będą ranni. Policja jednak nie mogła nic na to poradzić - oni też mieli swoje ograniczenia. Do budynku zbliżały się światła reflektorów. Gdyby dowodził tą operacją i starał się zorientować w sytuacji, zrobiłby dokładnie to samo.

Reflektory, tłum ciekawskich i kamery pasowały jak ulał do sposobu, w jaki świat patrzył na sprawy. Ludzie chcieli wiedzieć, co się dzieje wokół nich. Zaczęło się to wraz z zabiciem Kennedy'ego. Gdyby ludzie więcej myśleli, może nie fascynowałyby ich w telewizji takie programy specjalne. Wynikało to z rozpowszechnionego przekonania o niewielkim znaczeniu jednostki w rozwijającej się cywilizacji. Ludzie byli przyzwyczajeni do policjantów typu Dwayne'a Robinsona, dla których

najważniejsze było posłuszeństwo, bo tak podpowiadał zdrowy rozsądek.

Helikoptery skręcały na zachód i było już dostatecznie jasno, aby dostrzec ich kształty.

- Kathi, nie chcę, żebyś się przejmowała.

- Rozumiem.

Pomyślał, że na razie musi przestać nadawać. Helikoptery były już wystarczająco wysoko, żeby złapać pierwsze promienie słońca, które wolno wynurzało się zza gór.

Powietrze było świeże i przejrzyste. Leland niemal żałował, że nie jest z nimi. Prawie.

Sprawdził kanał trzydziesty i wrócił do poprzedniego.

- Bill, policz do dziesięciu i zacznij zagłuszać kanał trzydziesty.

- Kanał trzydziesty. Odliczam.

Leland włączył kanał trzydziesty, zwiększył maksymalnie nagłośnienie i rzucił radio najmocniej, jak mógł, w kierunku południowej ściany. Pierwszy helikopter skierował się na południe. Radio zaczęło nadawać ogłuszającą muzykę organową - Taco Bili nagłośnił kanał

trzydziesty świąteczną mszą. Drugi i trzeci helikopter poszły za przykładem pierwszego, wszystkie trzy niebiesko-białe w słońcu, jak Bell Jet Rangers, z olbrzymimi reflektorami pod dziobami.

Radio leżało dwadzieścia stóp od linii łączącej drzwi na dach z pozycją Lelanda.

Potrzebował tych kilku odwracających ich uwagę chwil. Oby się tylko udało! Helikoptery nadal były zbyt daleko, żeby mógł je usłyszeć. Leciały w półmilowych odstępach, rozciągnięte w jednej linii.

Leland spojrzał w dół, upewniając się co do swoich obliczeń. Wąż był zrobiony z grubego płótna. Owinął go porządnie wokół metalowych podpórek neonu KLAXON, tak aby nic nie mogło się rozluźnić, jednak nadal z przerażeniem myślał o tym, czy uda mu się to zrobić - skoczyć i zawisnąć nad ulicą, mając zabezpieczenie jedynie w wykonanej przez siebie pętli.

Nie miał już żadnego wyboru. Policja zadbała o to, aby wielu jej ludzi zginęło w tym bezsensownym ataku. A on po prostu zawisnie czterysta stóp nad ulicą. Nie chciał teraz myśleć o tym. Pierwszy helikopter zbliżał się do budynku, zniżając lot. Nad szczytem wieży z szybem windowym rozbłysły promienie słońca, nadal zbyt wysoko, żeby oświetlić sam dach.

Drugi helikopter także zaczął się zniżać; pierwszy był jeszcze jakieś trzy, cztery mile od celu. Leland słyszał odgłos ich silników. Przesunął się bliżej krawędzi i dobiegł go ryk tłumu. Nie mogli go widzieć, gdyż od dołu zasłaniały go światła neonu. Kiedy stoczy się z dachu, będzie musiał z automatem w dłoni trzymać się strażackiego węża - jeśli puści wąż, jego ciężar poderwie mu ramiona do góry. Wtedy on wysunie się z szelek i pasów od toreb.

Poleci w dół. Mniej niż cztery sekundy.

Nie uda mu się!

Słońce coraz bardziej oświetlało wieżę windową. Leland nie oglądał się za siebie, żeby go nie oślepiło. Drzwi od klatki schodowej poruszyły się. Jeżeli go podsłuchiwali, to musieli oczekiwać, że natychmiast zacznie strzelać. Chyba że domyślili się, iż chce ich wystawić. Miał nadzieję, że nabrali już dla niego nieco respektu. Przesunął się wcześniej o te pięć stopni, tak żeby wznoszące się nad górami słońce świeciło im w oczy.

Pierwszy helikopter był już tylko o milę od budynku, drzwi na klatkę schodową, pełne dziur po jego ostatniej strzelaninie, poruszyły się, jakby ktoś próbował, czy są ciężkie.

Widzieli zbliżające się helikoptery przez dziury w drzwiach. Leland wycelował pistolet, opierając go o biodro. Miał zamiar czekać do ostatniej chwili. W radiu skończyła się muzyka organowa i grzmiący, męski głos zaprosił wszystkich do powstania i wysłuchania Pisma Świętego.

Drzwi uchyliły się o kilka cali, wysunęła się lufa pistoletu i nad głową Lelanda przeleciały pociski. Odpowiedział dwiema krótkimi seriami - musiał oszczędzać amunicję, na wypadek, gdyby nie miał czasu na wymianę magazynków. Następne kule trafiły w ścianę pod nim, jakieś pięć stóp poniżej jego nóg.

Z wieży szybu windowego posypał się tynk, gdy trafiły w nią pierwsze pociski z helikoptera, który szybko się zniżał. Leland widział siedzących w nim ludzi. Wystrzelił

kolejną serię w drzwi, zanim helikopter znalazł się nad jego głową. Kiedy maszyna przeleciała wychylił się, wymierzył uważnie w stronę okna na czterdziestym piętrze i strzelił.

Na dole było jeszcze zbyt ciemno, żeby mógł dostrzec efekt strzału.

Drugi helikopter zaczął się zniżać i tym razem drzwi otworzyły się szerzej, a terroryści odpowiedzieli ogniem. Kiedy Leland wycelował pistolet w drzwi, zobaczył

wystającą z nich tubę małej wyrzutni raketowej. Znowu zaczęli strzelać w jego stronę, ale nie mieli czasu na dokładne celowanie. Tak długo, jak długo pozostawał na dachu, terroryści nie mogli zająć odpowiedniej pozycji do oddawania strzałów w helikoptery. Wkrótce jednak będzie musiał zmienić magazynek. Trafi go wtedy jakaś przypadkowa kula i to będzie koniec jego zabawy w osłonę.

Pociski z helikoptera rozdarły aluminiową pokrywy dachu i rozrzuciły je nad Wilshire Boulevard. Trzeci helikopter znalazł się za nim, trochę niżej, strzelając w stronę znaku na południowej stronie budynku. Pierwszy ze śmigłowców robił kolejny bardzo wolny przelot nad budynkiem, zataczając mniejszy łuk. Leland wystrzelił nową serię w stronę otwartego wyjścia na dach.

Za drzwiami powinno znajdować się tylko dwoje terrorystów. Jeśli policja rozpoczęła atak od dołu, to zakładników pilnował tylko jeden bandzior. Wystrzelił jeszcze raz, gdy helikopter zaczął się zniżać do lądowania. Terroryści zostawili go na chwilę w spokoju.

Leland wychylił się znowu za krawędź dachu i opróżnił magazynek, strzelając w okno. Szyba zbieleła od pęknięć, które rozeszły się po niej niczym piana morska po plaży.

Znowu strzelano w jego stronę, a kule odbijały się od ramy neonu. Aby zmienić magazynek, Leland musiał poczekać, aż zbliży się drugi helikopter. Nad jego głową zagwizdały kolejne pociski. Drugi śmigłowiec otworzył ogień, Leland złapał nowy magazynek, a wyrzucił pusty za siebie - błąd: widział, jak robi się coraz mniejszy i znika w ciemnościach. Zebrało mu się na wymioty.

Z ulicy dobiegły go nowe strzały. Wystrzelił w stronę wieży, ale musiał oszczędzać amunicję. Nie przestawał myśleć o skoku w dół. Spostrzegł, że wąż strażacki leży zupełnie luźno - w czasie walki przesunął się w złą stronę. Popchnięte drzwi otworzyły się nagle na oścież, a w kierunku helikoptera poleciały pociski z pistoletu maszynowego. Zaraz potem rozległ się ryczący huk wystrzału i z drzwi wyleciała biała, cienka smuga dymu. Helikopter eksplodował, zamieniając się w kulę ognia, która oświetliła cały dach. Jeden z terrorystów wybiegł na dach. Leland strzelił w jego stronę, ale spóźnił się o ułamek sekundy. Jeśli chciał

ocalić własną skórę, miał tylko jedną drogę i musiał to zrobić w tej chwili.

Ściskając pistolet rękoma i wbił palce w wąż i stoczył się z dachu.

Zawył z przerażenia. Nie mógł otworzyć oczu. Wąż naprężył się i Leland leciał, wirując, w dół, a potem od razu do góry. Kiedy otworzył oczy, nad nim rozległa się kolejna eksplozja, o wiele silniejsza od poprzedniej, a odpryski leciały we wszystkich kierunkach, również, jak mu się wydawało, kilka stóp nad jego głową.

Wirując razem z węzem, to wylatywał ruchem wahadłowym nad ulicę, to wracał w stronę budynku. Pod jego stopami wszystko kręciło się w koło. Szkło w oknie zaczęło się już sypać. Leland schwycił lewą ręką ramę, czując, jak kawałki szkła wbijają mu się w dłoń, ale rozbujany ciężar ciała znowu go oderwał. Jeśli nie uda mu się złapać jej porządnie tym razem, będzie kręcił się nad ulicą, wykonując coraz mniejsze wahnięcia, aż znajdzie się na poziomie trzydziestego dziewiątego piętra, pięć stóp od budynku.

Puścił wąż i rzucił pistolet do środka, po czym chwycił najpierw lewą, a następnie prawą dłonią ramę okienną. Zawisł na rękach, obrócony w stronę ulicy. Pistolet spadł na podłogę. Żeby uwolnić się od węża, musiał podciągnąć się jedną ręką i odpiąć pas drugą.

Nawet jeśli uda mu się to zrobić czysto, w co wątpił, i wyląduje na podłodze, to może spaść na automat.

Ciężar węża odciągał go od okna nad ulicę. Leland nie miał pewności, czy lewa ręka utrzyma jego własny ciężar, kiedy będzie odpinał pas. Wyglądało to zupełnie tak, jakby coś ciągnęło go w stronę śmierci. Krzyknął ze strachu - zawył na całe gardło, zamykając oczy.

Ręka mu się trzęsła, gdy szarpał kłamrę od pasa. Czuł, że się uwalnia, ale nie robił tego dostatecznie szybko.

Palcami rozrywał klamrę, jak spadochroniarz szarpiący na sobie ubranie, kiedy nie odpiął się spadochron. Wąż zaczął się odsuwać i Leland odwracając się manewrował nogami, aby wejść do pokoju. Znowu krzyczał, wypełniony wściekłością i strachem, czując napływające gorąco przerażenia. Jego nadgarstek trzasnął, jakby się złamał i stracił uchwyt.

Po odepchnięciu się rękoma od ramy okna, gdy jego biodra i nogi przeciążyły ciało do środka, upadł plecami na automat. Odebrało mu oddech i przez chwilę czuł jedynie lęk.

Uświadomił sobie, że wrzeszczy na całe gardło. Ręką oparł się na automacie i niemal wyrzucił go spod siebie. Przewrócił się na brzuch i łkając wczołgał się do pokoju.

Ktoś leżał na podłodze! Na plecach!

Leland patrzył prosto w martwe oczy Riversa. Jego gardło zachrypło od krzyku, a serce wstrzymało bicie. Czuł, jak staje i jak po chwili z głośnym stukotem rusza znowu.

Rzucił się do tyłu, skomląc i łapiąc oddech, schwycił pistolet maszynowy i władował cały magazynek w Riversa.

Spojrzał na ulicę, gdzie ludzie z oddziału SWAT uciekali przed palącymi się szczątkami helikopterów, które nadal spadały z góry. Wyszczrzył zęby. Przeżył - znowu się uratował. Nie był policjantem, wbrew temu, co o sobie myślał. Był ofiarą. Ofiarą! Gang Tony'ego starał się go skrócić o głowę, on sam niemal spadł, spuszczać się z dachu, ale nadal żył. Wciąż jeszcze miał browning i cały magazynek do pistoletu maszynowego.

Rozejrzał się wokoło. Banda w dalszym ciągu starała się dostać do sejfu. W holu zebrano meble i ustawiono je w chroniącą przed wybuchem barykadę.

Zamroczony, z bólem rozrywającym mu grzbiet, potykając się i kulejąc, Leland jeszcze raz ruszył w głąb budynku.

ROZDZIAŁ 15

Godzina 7.04

Schodził po schodach. Każdy krok odczuwał niczym wbijanie noża w plecy. Nie wiedział, czy zdrętwienie oznacza, że straci nogę, ale w tej chwili w ogóle go to nie obchodziło. Później zajmie się swoją nogą.

Miał przewagę i zastanawiał się, jak mógłby ją najlepiej wykorzystać. Jeśli Mały Tony nie sprawdzi dokładnie, co się stało na czterdziestym piętrze, odczytując po wybitym oknie i zmasakrowanych zwłokach jego posunięcia, banda nie będzie miała powodów, aby sądzić, że mimo wszystko przeżył. Przyszło mu na myśl, że pozwoli także policji pozostać w przekonaniu, iż zginął w czasie ataku.

Jeśli terroryści przyjrzą się zmasakrowanym zwłokom na czterdziestym piętrze, dojdą do wniosku, że zwariował. On sam dobrze wiedział, co zrobił i dlaczego to zrobił: "Nigdy nic nie wyjaśniaj i nigdy nie narzekaj", TEN FACET JEST KUTASEM - to go utrzymywało przy życiu.

Czy rzeczywiście szkolono go właśnie do tego? Spojrzenie policjanta na świat było mało zrozumiałe dla innych, choć miało związek z tym, czego społeczeństwo oczekiwało od policji przy rozwiązywaniu pewnego rodzaju spraw. W rzeczywistości nikt nie chciał

poznać prawdy o życiu czy śmierci. Każdego dnia zabijano w tym kraju siedemdziesiąt pięć tysięcy sztuk bydła, ćwierć miliona świń i milion kurczaków, ale może jedna osoba na sto znała kogoś, kto miał tę krew na swoich rękach. Ludzie oczekiwali, że Lelandowie tego świata będą pozbywać się Małych Tonych w ten sam prosty sposób, w jaki rzeźnicy zamieniali niższe istoty w kotlety. I lepiej było nie uświadamiać im, jak cienka jest powłoka cywilizacji. Jeśli ktoś był pokryty krwią i miał w oczach cień śmierci, to i on powinien zostać szybko usunięty. Znał dobrze tę prawdę. Cały czas był sam. I będzie sam, dopóki nie wyjdzie z tego budynku. Miał prawo żyć, jak każdy inny, i nic więcej się nie liczyło.

Usłyszał szum jadących wind, zanim jeszcze ucichła strzelanina na ulicy. Zostało ich tylko pięcioro i obecnie mógł zaplanować takie ich wyeliminowanie, by nie mieli szansy na obronę. Tylko w ten sposób mógł ocalić zakładników. Ellis chciał, żeby Leland potraktował

go jako kogoś, kto wyświadcza mu przysługę. Dwayne Robinson nie potrafił zrozumieć naprawdę ciężkiej sytuacji. System sterujący raketami, który pozwolił terrorystom zniszczyć helikoptery, nie przedstawiałby trudności dla chłopaka, który zbudował telewizor dla swojego ojca pod choinkę. Ilu ludzi potrafiło spostrzec, że drapacze chmur znajdują się poza zasięgiem prawa? Wiedzano jedynie, że są poza zasięgiem straży pożarnej.

Leland schodził na dół, zastanawiając się, gdzie znajdzie nowy sprzęt, aby zastąpić ten utracony. Jeśli bandyci sądzą, że pozbyli się go na dobre, to on ma szansę rozprawienia się z nimi. Czuł, że kręci mu się w głowie od tej perspektywy. Chciał zabić ich wszystkich - chciał

tego bardziej niż cokolwiek innego.

W północno-wschodnim rogu budynku, na trzydziestym szóstym piętrze, gdzie zbudował fortecę, z której nigdy nie skorzystał, i gdzie dostał piątego z nich, kiedy tamten wystawił głowę, żeby spojrzeć na materiał wybuchowy, znalazł radio, a z lamp awaryjnych odczepił plastik. Słońce wstało już nad miastem i biuro, a raczej to, co z niego zostało, było zalane miękkim, różowym światłem. Leland przeszedł do zachodniej części pomieszczenia.

Chciał zobaczyć, co znajdzie przy trupie numer cztery - dziewczynie, którą zaskoczył, wychodząc z klatki schodowej. Jej torba przykleiła się do kałuży krwi, w której leżała.

Wcześniej zabrał kałasznikowa, a teraz zyskał drugie radio.

Miała pewnie jakieś słodycze, jednak nie mógł już na nie patrzeć. Był bardzo głodny, ale ochotę miał na prawdziwe śniadanie: jajka na bekonie z kiełbaską.

Znowu usłyszał szum wind. Na niebie krążyło sporo helikopterów, ale wszystkie trzymały się wysoko, w bezpiecznej odległości od budynku. Leland cofnął się od okna. Jeśli policja myśli, że jest martwy, to mogą kazać snajperom strzelać do każdej osoby znajdującej się powyżej trzydziestego

drugiego piętra. Włączył radio i wybrał kanał dziewiętnasty; usłyszał, że jakiś mężczyzna modli się na głos. Na dwudziestym szóstym młody chłopak krzyczał na całe, gardło. Na dziewiątym słychać było jedynie wysoki, monotony pisk. Na trzydziestym znów mężczyzna modlił się głośno.

Ciekawe, co się działo na kanałach, których nie mógł odbierać?

Leland wziął czystą kartkę z biurka, napisał kilka zdań, włożył papier do swojego portfela i podszedł do okna. Zobaczył, że na dachu jednego z pobliskich budynków wybuchł

spory pożar. Musiał zwrócić na siebie uwagę. Ćwierć mili dalej mały helikopter skierował się w stronę wieżowca. Leland pomachał portfelem i rzucił go na ulicę. Helikopter podniósł się i odleciał. Leland, ruszył do schodów. Na ulicy wybuchły nagle nowe okrzyki. Oklaski i gwizdy. Zrozumiał, dla kogo były przeznaczone, i wzdrygnął się, jakby popełnił błąd wypróbując swoje szczęście.

Zszedł na dół, na trzydzieste trzecie piętro, i przeszedł do biura w północno-wschodnim rogu. Znajdował się tutaj telewizor. Nad wzgórzami unosiły się dwa duże czerwono-białe helikoptery z olbrzymimi zbiornikami przyczepionymi do ich obłych brzuchów. Zniżyły lot, skręciły w prawo i przeleciały nad pożarem po drugiej strone ulicy, zrzucając czerwoną chmurę na budynek. Leland włączył telewizor i szybko ściszył głos.

Na ekranie pojawiły się odlatujące helikoptery straży pożarnej - zdjęcia były robione z trzeciego helikoptera, znajdującego się wysoko nad nimi. W telewizorze słychać było zakłócenia spowodowane rozmowami na falach krótkich. Pojawił się dziennikarz z przyczepionym do głowy mikrofonem. Znajdował się na ulicy; za nim stało pięć wozów policyjnych i co jakiś czas przebiegał oficer w kuloodpornej kamizelce. Kamera pokazała znowu helikopter gaszący pożar, a dziennikarz poświadczył, że pożar nie był groźny. Leland zmienił kanał.

Tym razem pokazywano sceny z nocy, z napisem "Wcześniejsze nagranie" na dole ekranu. Z prawej strony pojawił się wóz policyjny, czarno-biały, zachybotał się nagle, gdy znalazł się na środku ekranu, i przyspieszając szaleńczo, wyrzucił w lampę uliczną. Leland przypomniał sobie coś i wyłączył głos. Rozbłysk pistoletu jednego z terrorystów. Biegnący policjanci. Obraz zawirował nagle i pokazał górne piętra zasłonięte przez chmurę dymu.

Znowu dzień i obraz zniszczeń naokoło budynku. Dzieło Lelanda, rozwalił pół gmachu.

Włączył głos,

- O świcie policyjne helikoptery przeleciały nad wzgórzami, żeby pomóc samotnemu, zdesperowanemu policjantowi, który, jak sam mówi, zabił siedmiu terrorystów. Jednak wiadomo tylko o trojgu zabitych, w tym o zwłokach mężczyzny zauważonych na schodach wejściowych, następnie o mężczyźnie, który został zastrzelony i zrzucony z trzydziestego szóstego piętra, i o kobiecie leżącej nadal na dachu. Tak więc, mimo iż wiadomo o tych trzech ciałach, policja nie przyjęła oceny liczebności bandy podanej przez Lelanda oraz liczby, zabitych - z powodu niewiarygodnej siły, z jaką terroryści odparli atak policji o świcie, kilka minut temu.

- Powinienem brać skalpy - powiedział niechętnie Leland.

- Musimy poinformować państwa, że kolejny materiał nie jest przyjemny do oglądania i doradzamy zabranie dzieci sprzed odbiorników.

Nagrany obraz pokazał ulicę przed świtem i w świetle widać było pociski trafiające w ściany i choinki. Długie ujęcie pokazujące puste niebo z kawałkiem dachu budynku Klaxon.

Na horyzoncie pojawiły się małe kropki, które zaczęły rozrastać się do wielkości helikopterów. Leland zorientował się, że stał poza zasięgiem kamery, na lewo, i z tej odległości jego wkład, jakkolwiek był, nie został nawet zarejestrowany. Jeden po drugim wybuchły dwa helikoptery. Żadna z kamer nawet nie skierowała się w stronę Lelanda.

- Przekażemy teraz komunikat policji, która prosi, aby użytkownicy radia CB

przestali, powtarzam, przestali zajmować wszystkie czterdzieści kanałów radia. Jak państwo pamiętają, Leland poprosił nie znanego Taco Billa, żeby nagłośnił jeden z kanałów, na którym wcześniej słyszano wiele rozmów w języku niemieckim. Mimo iż nikt nie wie, co się stało z Lelandem, nie ma żadnych dowodów, że zginął. Na pewno nie widać go na dachu.

Powtarzam: policja chce, aby osoby...

Leland zmienił kanał. Ładna blondynka w domowym ubraniu patrzyła na siebie na ekranie. Kathi Logan - ledwo ją rozpoznał z rozpuszczonymi włosami. Przy jej ramieniu pojawił się mikrofon.

- Czy widziała pani coś? Nachyliła się do mikrofonu.

- Nie.

- Co pani o tym myśli?

- Powiedział mi, żebym się nie martwiła. Myślę, że żyje. Znam go od niedawna, ale to wyjątkowy mężczyzna.

- Powiedział, że zamierza spełnić swój obowiązek - przypomniał dziennikarz z widocznym rozbawieniem. Kathi, Logan patrzyła na siebie na ekranie.

- No cóż, jest w okropnym stresie. Zazwyczaj nie mówi w ten sposób, ale ludzie, którzy go znają, wiedzą, iż ma własne zasady i że stara się ich trzymać bez względu na okoliczności.

- Podał, że zabił siedmioro ludzi. Co pani myśli na ten temat?

Odwróciła się do niego.

- Mam nadzieję, że Bóg będzie miał litość nad ich duszami, gdyż tego właśnie potrzebują. Mężczyzna w tym budynku nie jest młody i jest sam!

- Jeśli w budynku Klaxon są telewizory, to Leland może nas teraz oglądać. Czy chciałaby pani powiedzieć mu coś?

Spojrzała na niego wściekłym wzrokiem.

- Właśnie mówiliśmy ze sobą!

- Chodzi mi o to, że teraz może panią widzieć. Jeśli może.

- Tyle tylko, że wiem, iż to on ma rację, a ci dranie w budynku jej nie mają.

Większość ludzi w tym kraju zgadza się ze mną. Nie chcemy zabijania. Nie chcemy, żeby nam kiedykolwiek grożono bronią maszynową i bombami. Wszyscy w tym kraju mamy prawo żyć w pokoju i powinniśmy to powiedzieć na głos. Myślę, że większość ludzi jest podobna do mnie. To, co tu widzicie, to wszystko, co mam na świecie.

Dziennikarz przyłożył rękę do ucha.

- Dziękuję pani. Wracamy do budynku Klaxon w Los Angeles.

Następny dziennikarz stał koło młodego czarnego mężczyzny z odznaką na kurtce. Al Powell wyglądał na dwudziestolatka. Leland uśmiechnął się. Za nim ustawiono baterię kamer, a Powell trzymał w ręku radio CB.

- Dzięki, Jim. To jest Al Powell. Rozmawiał pan ostatnio z mężczyzną w budynku, Josephem Lelandem, czy tak?

- Tak, ale nie w ciągu ostatnich kilku minut. - Leland patrzył w oczy Powella, chociaż nie wyglądało na to, że Powell podejrzewa, iż Leland obserwuje go. - Prosiłmy ludzi, żeby przestali zakłócać CB. W budynku są odcięte telefony i CB daje jedyną możliwość skontaktowania się z nami. Ten człowiek okazał się niezmiernie cenny dla nas i wiemy, że jeśli to tylko będzie możliwe, spróbuje nam jeszcze pomóc,

- Widzieliśmy, jak coś wypadło z jednego z górnych okien budynku. Co to było, wiadomość?

- Nie. Na górze jest silny wiatr i przy wybitych szybach będą wypadały różne przedmioty.

- Co to był za przedmiot?

Al Powell uśmiechnął się.

- Hej, znalazcy. Spójrzcie na te wszystkie wspaniałe kamery telewizyjne, które zdobyłem. Może ubijemy interes? Pokaż mi pan ten zegarek.

Leland roześmiał się. Zażenowany dziennikarz zrozumiał aluzję Powella.

- To jest wasze centrum komunikacyjne, czy tak?

- Tak, właściwie to jest wasze, ale pożyczaliśmy je i studio przysłała nam nagrane taśmy.

- I?

- Używamy ich, żeby zdobyć informacje.

- Był pan także w biurze architekta miejskiego, czy tak?

- Hej, moja żona myśli, że byłem tu całą noc.

Dziennikarz uśmiechnął się nieszczęśliwie.

- Przepraszam. Jaki będzie wasz następny krok?

- Wie pan tyle, co i ja. Ludzie, którzy zajęli ten budynek, obiecali odezwać się o dziesiątej. Wtedy dowiemy się czegoś konkretnego.

Leland wyprostował się.

- To była jedyna wiadomość od terrorystów?

- Zgadza się. Odezwali się kilka minut temu i powiedzieli: "Połączymy się z wami o dziesiątej".

- Tak więc nie było jeszcze żadnych rozmów?

- W obecnej sytuacji musimy trochę poczekać.

Dziennikarz zapowiedział przerwę na wiadomości ekonomiczne i Leland wyłączył

głos. Po życzeniach świątecznych pokazano platformę wiertniczą należącą do firmy konkurującej z Klaxon Oil. Leland chciał podejść do okna, żeby zobaczyć, co się dzieje na ulicy, ale obawiał się, że zostanie spostrzeżony z któregoś z helikopterów i wszyscy dowiedzą się, że żyje. Powell już wiedział. Na kartce wyrzuconej z portfelem Leland prosił o zaprzestanie zakłócania kanału, dodając: "Pozwólcie mi pierwszemu skontaktować się z wami. Atak helikopterów był bezskuteczny - żadnych strat po drugiej stronie".

Wyglądało na to, że policja zaczęła z nim współpracować ale nie miał co do tego żadnej pewności. Przyczyna i skutek nie zawsze wiązały się ze sobą tylko w jeden sposób.

Chciał, żeby zaprzestano transmisji przez CB i wydawało się, że policja zgadza się z nim w tej sprawie - ale Leland myślał o czymś innym, co nie miało nic wspólnego z jego udziałem w wypadkach. To coś wiązało się z sejfem, zakładnikami i budynkiem. Co by było, gdyby Leland w ogóle tu nie przyleciał? Gdyby zadzwonił do Steffie, a następnie poleciał do San Diego?

Telewizja pokazywała aktora grającego pomocnika na stacji benzynowej, który przyciskał do policzka puszkę z olejem silnikowym w śmiesznie nienaturalny sposób. Kiedy obraz zniknął, Leland wzmacnił głos, podążając jednocześnie za własnymi myślami. Terrorysty uwięziliby zakładników, opanowali budynek i znaleźli sejf w ten sam sposób, jak to właśnie zrobili. Przy tej ilości plastyku, jaką przynieśli ze sobą, mogli zaminować cały budynek, Przypuśćmy, że dostaliby się do sejfu. Co

wtedy? Prawdopodobnie główna część ich akcji byłaby zakończona.

Dziennikarz na ulicy czytał z notatek, które zrobił, gdy Leland identyfikował

terrorystów. Podpis pod obrazem: "Nie potwierdzone". Leland pomyślał, że następnego spuści im w koszyku.

Ci ludzie uważali się za komandosów, bojowników o wolność. Po wykonaniu zadania wycofali się z budynku. Leland zabębnił palcami po oparciu krzesła. Telewizja pokazała ponownie budynek, opalony i nadal dymiący.

Nie wysadza się budynku, w którym się przebywa.

Ale można to zrobić z pewnej odległości, jeśli ma się odpowiedni nadajnik. Jeśli zagrozi się policji wysadzeniem budynku z odległości, to może udać się nawet ucieczka.

Banda miała dosyć materiałów wybuchowych, żeby nie tylko wysadzić Klaxon Oil i zakładników, ale wszystko w promieniu pół mili. Gdyby dostali się na dach, a następnie do helikoptera, to przed przesiadką do odrzutowca na lotnisku mogliby sprawdzić, czy ich bomba nie została rozbrojona. W tym mieście wszystko było widać jak na dłoni. Z tego, co widział, to mogła być główna przyczyna, dla której wybrali Los Angeles. Policjanci nie mogli się dostać do budynku od dołu, nawet gdyby przeszli kanałami, i gang o tym doskonale wiedział.

Policja nadal nie wierzyła Lelandowi. Ze słów Powela, wynikało, że chcą go znowu wykorzystać. Czekając na połączenie o dziesiątej, sprawdzili plany architektoniczne, taśmy wideo i nadal nie chcieli przyjąć do wiadomości liczby siedem, kiedy powiedział siedem, ani liczby pięć, gdy powiedział pięć, czy też liczb sześć lub dwanaście. Kathi Logan zrozumiała to. Był sam i sam musiał rozwiązać swoje problemy.

Oglądał telewizję przez następne dwadzieścia minut, zmieniając kanał za kanałem.

Dziennikarze zaczęli się powtarzać. Jedna z sieci pokazała materiał nagrany w Niemczech z niektórymi członkami bandy, także z Hannah i chłopakiem z dachu, którego nazwisko brzmiało Werner, czy jakoś tak. I jeszcze Karl, brat chłopaka, którego Leland wtoczył do windy, trupa numer jeden. Karl był potężnym facetem ze spadającymi na ramiona blond włosami: wyglądał jak perkusista z grupy rockowej. Na żadnym kanale nie było Kathi, może dziennikarz uważał, że jest zbyt zmartwiona, żeby ją pokazywać. Jego myśli wędrowały leniwie, poczuł senność i wyprostował się, by nie zasnąć.

"Staruszkule - pomyślał - to twój największy błąd: sądziłeś, że masz niezmierzone zapasy sił. Bohaterowie nie wychodzą z mody, lecz jedynie starzeją się".

Odkrył jeszcze jedną rzecz: w budynku było pełno jedzenia. Całe życie ludzie mówili mu, że jest inteligentny, podczas gdy on spostrzegł, iż najlepsze pomysły przychodziły mu da głowy, kiedy przeciwnik pokazywał, jaki jest naprawdę głupi. Noc udało mu się przeżyć, mimo iż popełniał błąd za błędem. Wykorzystanie przewagi, jaką wiek i doświadczenie dawały mu nad chłopakiem z dachu i

Hannah, sprawiło, że czuł się wstrętne. Jedzenie znajdowało się w biurkach sekretarek i maszynistek: każda młoda dziewczyna w tym kraju uznawała obfite zaopatrzenie swojego biurka za jeden z warunków sukcesu. Krakery, ciastka, torebki z błyskawiczną zupą i puszki kawy rozpuszczalnej. Także pojemniki do gotowania wody. Uśmiechnął się do siebie - jeszcze raz udało mu się przetrwać. Gdyby mógł

zachować równowagę, to kopnąłby się w tyłek.

ROZDZIAŁ 16

Godzina 8.42

Wystarczająco długo. Niech myślą, że wykończył się, schowany w jakiś kąt. Znowu szarpał go ból, nawet więcej niż poprzednio. W radiu od godziny panowała cisza i nikt nie starał się z nim skontaktować. W porządku.

Zaczął wchodzić po schodach, stopień po stopniu. Zrobił sobie wcześniej kubek kawy, ale była tak okropna, że pobiegł do damskiej toalety zwrócić ją i umyć twarz. W ciemności.

Nie chciał zobaczyć swojego odbicia. Bał się. Dostrzegł lustro z zarysem swojej postaci, zanim sięgnął w stronę przełącznika.

Wchodząc, trzymał się poręczy jak kuli. Był tak brudny, że czuł skorupę na powiekach i w pachwinach. Jeśli tylko przeżyje ten dzień, to do końca życia będzie czuł ból.

Żadnych odgłosów z szybu windowego. Zdecydował, że będzie najbezpieczniejszy gdzieś w połowie, pomiędzy czterdziestym i trzydziestym drugim piętrem. Ponieważ nie znaleźli go jeszcze na trzydziestym siódmym, uznał je za najbezpieczniejsze. Z jego rozkładu zorientował

się, że północną część zajmowały biura, a południową maszynistki.

Starał się zachować czujność. Sprawdzał regularnie kanały pomiędzy dziewiątym, na którym panowała cisza, a dziewiętnastym, gdzie od czasu do czasu słychać było szumy odległych transmisji. Próbował doszukać się sensu w trzaskach dochodzących z eteru.

“Spokojnie”. Czuł krew w ręcznikach. Nie robiło to teraz żadnej różnicy. Siedząc przed telewizorem, usiłował myśleć o Kathi Logan, ale kiedy pojawiła się w jego wyobraźni, stała się Karen. Tak był zmęczony. Może nadejdzie taki czas, że ludzie nie będą już musieli kilkakrotnie sprawdzać, jaka jest cena prawa do życia.

Zatrzymał się w holu z windami na trzydziestym siódmym piętrze. Nie obchodziło go nic a nic, jak długo to będzie trwało. Może dostać dwóch, a nawet trzech, jeżeli tylko będzie miał trochę szczęścia. Wyłączyli go z tej gry. W porządku. Mały Tony, Karl i dziewczyna, która recytowała jakieś liczby przez radio. To byłby koniec zabawy. Chciał usłyszeć dźwięk jadących wind. Kiedy jechało się jedną z nich, nigdy nie było wiadomo, gdzie się zatrzyma.

Trzydzieste ósme piętro: damska bielizna, artykuły kuchenne i zabawki; trzydzieste siódme: śmierć.

Spróbował, czy może się pochylić poniżej normalnej linii ognia, ale utrudniało mu to zbyt sztywne lewe kolano. Jego jedyną przewagą był fakt., że ludzie w windzie nie mogli przewidzieć, gdzie ich zatrzyma. Może są już tak pewni, iż się go pozbyli, że uda mu się ich zaskoczyć.

Czekał jeszcze dwadzieścia minut, zanim dobiegł go odgłos włączającego się silnika.

Jedna z kabin wjeżdżała na górę. Musiał przechodzić od drzwi do drzwi, aby ustalić, z którego szybu dochodzi dźwięk. Gdy tylko drzwi zaczęły się otwierać, wsadził pistolet do środka i będzie strzelał. Nacisnął guzik od windy i otarł wytuszczoną dłoń o resztki koszuli.

Przewagę dawał mu też jego wygląd.

Zdążył wyjąć brownig, nim drzwi się całkowicie otworzyły. Wystrzelił trzy razy i pistolet mu się zaciął, ale kabina była pusta. Zaczęła się zamykać, więc uderzył kolbą pistoletu w gumową krawędź. Ponownie się otworzyła i zajrzał do środka.

Na podłodze w kącie leżała torba, a przy tablicy z guzikami stała na trójnogu kamera.

Drzwi zaczęły się znowu zamykać. Leland schwycił kamerę za podstawę trójnogu i wyjął ją z windy. Jeśli ujawnił się i zepsuł sobie pistolet, to może przynajmniej zabrać kamerę i wynieść się z tego miejsca, zanim banda ruszy jego tropem.

Pociągnął kamerę w stronę schodów.

Musiał odsunąć biurka, żeby dostać się do otwarte go okna. Schował się w cieniu i włączył radio na kanał dziewiąty.

- Powell, jesteś tam?

- Hej, Joe, gdzie się schowałeś?

- Rozglądam się nieco po budynku. Słuchaj, wysyłam ci następny podarunek, ale nie chcę się wychylić, nie mając pewności, czy jakiś młody geniusz nie wpakuje mi kilku gramów ołowiu między żebra.

- Dobra. Poczekaj. - Radio wyłączyło się. - Załatwione. Co masz dla nas?

- Mówiłeś, że chcieli przedstawić się w telewizji? Mam ich sprzęt.

- Czarno-biały czy w kolorze? Wchodzę do interesu.

Nie było sensu mówić Powellowi, że widział go w telewizji.

- No cóż, zepsułem im zabawę. Nie o, to mi w zasadzie chodziło, ale może być.

Wyrzucił kamerę przez okno. Patrząc, jak leci na ulicę, zastanawiał się, czy Mały Tony rzeczywiście był aż takim maniakiem, żeby bez powodu pchać się na wizję, Odpowiedź

była prosta : na pewno nie, chyba że było mu to do czegoś potrzebne. Stojąc w otwartym oknie, Leland podniósł zepsuty automat nad głowę. Jeśli Tony ogląda go na ekranie telewizyjnym, niech sądzi, że on nadal liczy się w grze. Pilot helikoptera przycisnął dłoń do hełmu, salutując mu. Czas zejść z wizji.

Myślał o Tonym... i sejfie. Jeśli Tony obserwował, jak Leland przyjął w oknie postawę bojownika o wolność, to spodziewał się nowej inicjatywy z jego strony. On zaś w rzeczywistości dysponował tylko brownie i miał dosyć materiałów wybuchowych, żeby zmienić budynek W kanion Wilshire. Tony musiał także brać pod uwagę to ostatnie. Może w końcu uwierzył, że Leland jest zdolny do wszystkiego. Cały dowcip polegał na tym, żeby wytrącać go ciągle z równowagi. Sytuacja wcale się nie zmieniła. Mimo nadejścia dnia i kontaktu z policją Leland nadal był niezależny. Niech Mały Tony myśli, że jest odwrotnie - że przeciwnik jest tresowanym psem, który zatłukł i zastrzelił Hannah i innych. W obecnej sytuacji uwadze Tony'ego nie mógł ujść fakt, iż taktyka Lelanda to ciągle próby rozbicia ich obrony - jedyny sposób na ułatwienie wejścia policji. Leland skierował się w stronę trzydziestego trzeciego piętra, gdzie Tony nie powinien go szukać. Chciał uwolnić zakładników, zanim pętla wokół nich zaciśnie się zbyt mocno.

Pistolet maszynowy zaciął się beznadziejnie. Potrzebował narzędzi, żeby go odblokować, a i tak mogło się okazać, że chodzi po prostu o złamaną sprężynę. Schował go do szuflady biurka. Nie powinien, mieć dodatkowego obciążenia, a zostawienie go w miejscu, gdzie mogli go znaleźć, byłoby głupie.

Włączył telewizor i ściszył maksymalnie głos. Jedna z wind znowu jechała na górę.

Leland przyjął, że jest to pułapka przygotowana dla niego. Był ciekaw, co wymyślili. Dosyć tego - przecież chodziło im właśnie o to, żeby go zaciekawić. Dobrze, że przynajmniej stracili wiarę w to, że można go zastraszyć.

W radiu panowała cisza. Na ekranie telewizora, widać było dziennikarza, który mówił

coś z podnieceniem, patrząc przy tym w górę. Kamera pokazała budynek, a pod obrazem był

podpis: "Nagranie na żywo". Kamera najechała na okno, w którym niedawno stał Leland. O

co, do cholery, chodziło? Znowu dziennikarz. Zmienił się obraz, tym razem podpis brzmiał:

"Nagrane wcześniej". Pokazywano to samo piętro budynku.

To samo ujęcie, tyle że tym razem Leland dostrzegł ciemną, obszarpaną postać z zepsutym pistoletem maszynowym nad głową. Na ekranie wyglądał nie tyle przerażająco, ile patetycznie. Następne ujęcie ze śmigłowca pokazało helikopter policyjny, pojawiający się poniżej w zasięgu kamery, budynek i znowu jego postać z podniesionymi rękoma. Leland wyłączył głos. Chciał pomyśleć. Telewizja mogła się okazać przydatnym narzędziem, gdyby tylko wiedział, jak je wykorzystać. Jak skontaktować się z nimi i powiedzieć, o co mu chodzi, nie ujawniając tego jednocześnie przed terrorystami?

Zaraz, było coś jeszcze ważniejszego: nawet nie słysząc słów dziennikarza, Leland wiedział, iż ten przekazuje światu to, co właśnie widzi i co zaraz zobaczą telewidzowie. Tony też miał do dyspozycji telewizor. Ludzie, którzy decydowali o tym, co ma pójść na wizję, pozwolili ujawnić jego pozycję w sytuacji, kiedy nadal walczył o życie.

Napisał kilka słów na kartce papieru, przywiązał kartkę do kolby pistoletu gumkami i schował go do torby. Policja mogła odzyskać przedmioty wyrzucone z północno-wschodniego rogu budynku. Idąc do okna, wziął ze sobą siekiere, żeby rozbić szybę.

To, co wymyślił, było skomplikowane i miał nadzieję, że zdoła jasno wytłumaczyć swój zamiar. Jeśli zobaczy helikopter ćwierć mili na wschód od budynku, podejdzie, do okna na trzydziestym czwartym piętrze i zrobi przedstawienie ze zsuwania biurek. Telewizja nagra go na taśmę i pokaże materiał dokładnie o 9.28 jako nagranie na żywo. On i Powell dodadzą do tego rozmowę przez radio. Leland miał pewność, że Mały Tony szybko zorientuje się, że to jedynie kolejny podstęp Lelanda, ale podczas emisji będzie mógł spokojnie rozsunąć ręcznikiem na nodze szkło na schodach i dostać się na trzydzieste drugie piętro.

Okno było trudniejsze do wybicia, niż oczekiwał, i kiedy pękło, zabrzmiało to jak wybuch. Ludzie na Wilshire Boulevard zaczęli uciekać, szukając schronienia. Budynek naokoło miały powybijane szyby i opalone ściany. Wyrzucił torbę z pistoletem i cofnął się, zarzucając siekiere na ramię, niczym drwal. To był dobry pomysł - powinno się udać. O

dziewiętej czterdzieści pięć zakładnicy zaczną, schodzić na dół. Na razie musi jedynie znaleźć schronienie na następne dziewięć minut.

Windy znowu ruszyły - kilka naraz. Na jego piętrze otworzyły się drzwi i ktoś krzyknął po niemiecku. Leland schylił się, zanim padły pierwsze strzały. Widzieli w telewizji, jak wyrzuca automat! Rzucił siekiere i zaczął się czołgać po podłodze biura. Więcej strzałów, nisko i wysoko. Tak bardzo chcieli go dostać, że zupełnie nie zważali na to, co słyszą z ulicy.

Następny pokój prowadził do holu z windami. Leland. wyjął browning i schował się za biurkiem, odwrócony plecami do Wilshire Boulevard. Odgłosy strzelającego pistoletu maszynowego przybliżały się. Następna seria przeorała wierzch biurka, sufit i ściany, zasypując go tynkiem i kawałkami płyt sufitowych. Skulił się, wciskając głowę w ramiona.

Kolejna seria poszła w innym kierunku. Ktoś krzyknął i wystrzelił następną, która przeszła jeszcze dalej od Lelanda. Doszedł go odgłos rozbijanego szkła. Helikopter policyjny przeleciał w pobliżu budynku. Leland musiał się ruszyć z tego miejsca, ale był zagrzebany w gruzie. Zaczął się pospiesznie wygrzebywać. Podniósł siekiere. Nawet po wybicciu wszystkich szklanych ścian działowych niewiele mógł dostrzec. Helikopter odleciał, a dwaj terroryści cofnęli się na schody albo znajdowali się gdzieś dalej, Leland skierował się do schodów. Musi wejść piętro wyżej. Ma jeszcze sześć minut.

W szybie na końcu piętra dostrzegł nagle odbicie jednego z nich, który przykucnął za holem z windami. Czaił się przy ścianie, czekając na powrót helikoptera. Nie widział Lelanda.

Leland ruszył w jego stronę, starając się znaleźć po drodze schronienie w zakamarkach.

W radiu terrorysty dał się słyszeć głos Tony'ego, który mówił coś po niemiecku, ale tak szybko, że Leland nic nie zrozumiał. Dotarł do drzwi prowadzących na północno-zachodnią klatkę i głos zanikł.

Zawahał się. Tony był na tyle sprytny, że wysłał za nim dwóch ludzi, gdy tylko telewizja ujawniła jego położenie. Co mówił przez radio? 9.24 - jeszcze cztery minuty. Chciał

zostać w ukryciu do ostatniej chwili. Gang nadal nie wiedział, że nie ma broni maszynowej, chyba że Tony wpadł i na to.

O 9.26 otworzył drzwi na korytarz i rozejrzał się. Pusto. Schodził po schodach, gdy usłyszał szelest otwieranych drzwi piętro niżej.

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu^ Wycofał się na trzydzieste czwarte piętro.

Jeśli terrorysta wejdzie na to piętro, będzie czekał na niego, a jeśli pójdzie wyżej, odwracając się plecami, to też nie będzie źle.

Minęły już cztery godziny, odkąd załatwił siódmego z nich. Przez chwilę poczuł, że właśnie stracił ochotę na zabijanie. Podniósł siekiere nad głowę. Facet był po drugiej stronie drzwi pokoju, w którym on się zamknął. Lekko szurał butami po betonowej podłodze. Gdyby Leland wykazał trochę rozsądku, to włożyłby czyjeś buty jeszcze wczoraj wieczorem. Tyle że nie chciał nosić butów nieboszczyka. Był na to zbyt cywilizowany. Klamka obróciła się delikatnie i Leland poczuł lęk. Z pewnością Tony coś wyniuchał.

Drzwi zaczęły się otwierać. Najpierw pojawiła się lufa kałasznikowa - to był ten sam facet, którego widział właśnie na trzydziestym trzecim piętrze, jeden z dwóch starających się go zabić. Spuścił siekiere na jego przedramię, wytrącając mu z ręki broń. Wciągnął go do środka. Siekiera zaskoczyła napastnika - był zbyt oszołomiony, żeby krzyczeć. Przewrócił się na plecy przyciskając rękę do siebie i Leland trafił go ponownie. Chłopak nie mógł teraz krzyczeć, ale nadal był żywy i patrzył bez nadziei na Lelanda, kiedy ten zatopił mu siekiere w głowie.

- Wróciłem do gry.

Przypomniał sobie o godzinie 9.28. Miał jeszcze minutę, wystarczająco dużo czasu, żeby ukryć ciało lub chociaż wciągnąć je za biurko. Liczył na to, że to zniknięcie Tony uzna po prostu za dezercję.

Chłopak miał półtora magazynka. To mu wystarczy. Skierował się ku wschodniej ścianie budynku, pamiętając, że musi zachować ostrożność. Wiedział coś, o czym nikt poza nim nie miał pojęcia: gang liczył obecnie tylko czworo ludzi. Tym razem zamierzał zachować tę informację dla siebie.

Kiedy wyszedł zza rogu, niebo za oknem było puste. Podeszedł bliżej, żeby mieć lepszy widok. W zasięgu wzroku nic nie było widać, aż do samych gór.

Spojrzał w drugą stronę, na zachód. Dwa helikoptery znajdowały się tak daleko, że nie mógł dokładnie określić ich położenia. Przez chwilę chciał podejść jeszcze bliżej do okna, ale zmienił zdanie i wrócił na schody. Włączył radio.

- Powell, gdzie jesteś?

- Jestem, Joe.

- Nie, dokładnie. Ja jestem tu.

- Joe, nie możemy tego zrobić.

- Co ci się nie podoba w moim pomysśle?

- Postaw się w naszej sytuacji. Nie możemy ci przydzielić żadnego zadania, z którym wiązałaby się jakaś odpowiedzialność, bez względu na to, jak dobrą robotę wykonałeś dla nas. Joe, chcemy, żebyś wycofał się z tej walki. Masz już dosyć.

Leland był na schodach, schodził w dół i myślał o czymś innym.

- Mogę mówić z Kathi Logan?

Cisza.

- Robicie sobie ze mnie jaja? - zapytał. - Powiedziałem wam, jak kiepska jest sytuacja!

Nie wierzyliście mi! Wasi ludzie nie żyją, ponieważ nie chcieliście mnie słuchać! Jesteście wszyscy zbyt pewni siebie - co chcesz teraz zrobić, polepszyć swój obraz w telewizji?

- Słuchaj, Joe...

Zagłuszyła go inna transmisja, wyraźniejsza i głośniejsza.

- Wygląda na to, że robią cię w konia, kowboju. - To był Taco Bill. - Pokazywali w telewizji, jak wyrzucasz jakąś notatkę. Stary, wygląda na to, że gonisz w piętke. Po tym wszystkim, co dla nich zrobiłeś, nie chcą z tobą współpracować! Jeśli o mnie chodzi, to mogą mnie pocałować w dupę. Chcesz rozmawiać ze swoją dziewczyną? Właśnie patrzę na nią w telewizji i sam cię mogę z nią połączyć, jeśli tylko mają tam CB,

- Myślisz, że dasz radę połączyć mnie z San Diego? - Znał odpowiedź. Znajdował się znowu na trzydziestym trzecim piętrze, idąc schylony w stronę biura z telewizorem.

- Też mi zagadka. - odparł Taco Bill. - Widzę ją na ekranie, jakiś goguś podaje jej CB.

Słyszysz mnie złotko? Mów do tego mikrofonu, a ja odbiorę to na moim telewizorze i prześlę do twojego przyjaciela.

- Dziękuję. - To był głos Kathi. Słysząc ją było tak, jakby znajdowała się w tym samym pomieszczeniu co Bill.

Całe piętro było zniszczone, ale telewizor pozostał nie uszkodzony. Na ekranie pokazywano Kathi.

Leland zwiększył nagłośnienie, ale nie za dużo.

- Cześć, Kathi. - "No to ruszamy". - Bill, nagłośnij trochę, bo wygląda na to, że Kathi ma kłopoty z usłyszeniem mnie. - Ruszył w kierunku wschodniej strony budynku. Przez wybite szyby do sali wpadało białe zimowe światło. - Słyszysz mnie? Wyglądasz wspaniale.

- Chwileczkę, Joe.

Patrzył na nią z sąsiedniego biura przez rozbitą ścianę działową. Wyłączyła i odłożyła CB, następnie wstała i zwiększyła głośność w telewizorze.

- Stacja przejmuje twój sygnał i przekazuje go do mnie - powiedziała. - Słyszę cię doskonale.

"Ja też". Chciało mu się śmiać, gdy wciąż oddalał się od, odbiornika. Tony szybko by go przejrzał, ale nie o niego mu chodziło. Zabity chłopak wybrał nieodpowiednią klatkę schodową. Mógł się założyć, że to Tony skierował tych dwóch, kiedy zastopowały ich helikoptery policyjne. Tony musiał coś wyczuć. Miał instynkt niemal jak zwierzę. Może już wiedział, że chłopak nie żyje.

Nacisnął guzik nadawania.

- Kathi, powiedz mi, czy rozumiesz dobrze, co się tu dzieje?

- Tak, rozumiem. - Słyszał ją przez telewizor i swoje radio. Przyciszył je. I tak nie wpłynie to na poziom transmisji.

- Widzisz - powiedział, wciąż się wycofując - chodzi mi kilka myśli po głowie i chcę to powiedzieć, póki mam jeszcze szansę. Nie wiem, co widziałaś w telewizji, ale wygląda na to, że opuści mnie szczęście.

- Nie mów w ten sposób - zaprotestowała.

Poruszał się we wschodniej części budynku. Wszystko w ich znajomości, poza pocałunkiem, było przypadkowe, nawet sztuczne. Może i pocałunek był taki.

Pomiędzy nim a telewizorem znajdowało się pięć całych, szklanych ścianek. Będzie musiał bardzo dobrze celować. Poczul kolejny napływ niepewności. Nacisnął guzik nadawania.

- Słyszysz mnie? Powiedz coś.

- Tak.

Znalazł się poza zasięgiem dźwięku telewizora. Na szczęście Taco Bili nadal łączył

ich przez kanał Citizen Band. Zorientował się, że ujawni swój podstęp, jeśli poprosi Billa o nierozłączanie ich.

- Pomyśl, że jesteśmy sami - powiedział do radia. - Chcę, żebyś myślała, iż nikt nas nie słucha.

Najgorszą rzeczą na świecie jest sytuacja, w której jedna osoba wykorzystuje drugą. - Zniżył głos. - To najgorszy sposób na zawarcie znajomości. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

- Tak.

- Nie słuchaj mnie, tylko mów. Chcę słyszeć twój głos. - Dawało mu to szansę poruszania się. Wydało mu się, że słyszy chrobot, jakby ktoś nastąpił na rozbite szkło.

- Rozumiem, co robisz - powiedziała Kathi. Ściszył radio i przełączył na chwilę na kanał dziewiętnasty. Cisza. Żałował, że nie może jej słyszeć w telewizorze. Wrócił na dziewiąty. - My wszyscy tutaj wiemy, że to, co robisz, bez względu na to, jakie to jest przykre, robisz dla nas. Jest bardzo ważne, żebyś pamiętał o tym.

Powinien coś powiedzieć.

- To musi ci ciążyć. Przecież to prawie same dzieciaki - ciągnęła Kathi.

“Teraz mów - nie przestawaj”.

Wrócił na kanał dziewiętnasty, natężając jednocześnie słuch, żeby słyszeć, co się dzieje w pokoju. Następnym odgłosem kraszonego szkła. Leland zniżył się prawie do samej podłogi.

- *Nein! Nein!*

Leland usłyszał głos Tony'ego w dwóch radiach, ale w następnej chwili, zupełnie jakby było za późno, żeby powstrzymać rozpoczęty ruch, facet otworzył ogień z pistoletu maszynowego. Leland podniósł się i wystrzelił cały magazynek w tym kierunku przez szyby drzwi. Wśród syjącego się niczym śnieg białego szkła zobaczył postać tańczącą w rytm trafiających ją pocisków. Zmienił magazynek i ruszył naprzód. Podniósł radio i nacisnął guzik nadawania.

- Tony, robię ci przysługę. Pozwalam ci się dowiedzieć, że nadal żyję.

- Ty głupi bufonie!

- Tony, czekam, żeby cię zabić.

- To się jeszcze zobaczy.

- Ach, w porządku. Mam jeszcze kilka rozmów do wykonania. To przecież Gwiazdka, pamiętasz? - Wrócił na kanał dziewiąty. - Kathi, słyszysz mnie? Musisz teraz mówić do radia.

- Tak, tak, słyszę cię.

- A ty, Bill? - Zamieniam się w słuch. Jak się czujesz?

- W porządku, Kathi, przepraszam, naprawdę mi przykro. Mówiłem szczerze o tym wykorzystywaniu ludzi, ale nie miałem wyboru.

- Wiedziałaś, co robisz, a teraz zaczynam pojmować, na czym to polega.

Poczuł dreszcz. Znowu spróbował swojego szczęścia.

- Bill, musisz się zadowolić jedną trzecią nagrody za pomoc. Pozostała jedna trzecia należy do Billy'ego Gibbsa. - Patrzył na swoją dziewiątą ofiarę. Od dziewiątej wieczorem zabił dziewięcioro młodych chłopaków i dziewcząt. Ten miał trzy dziury w piersiach i jedną w policzku pod okiem. Twarz była wykrzywiona nie do poznania, a krew nadal spływała na podłogę. Chłopak jeszcze żył - Leland poczuł mdłości. Wyjął browning i wykonał *coup de grâce*⁵. Znowu wypróbował swoje szczęście i znowu poczuł wzrastające uczucie nienawiści do siebie.

- Billy Gibbs zawsze wiedział, jak utrzymać się przy życiu - Leland powiedział to, co prawda, do radia, ale bardziej do siebie.

- Mówi, żebyś wrócił do bazy. - Tym razem Powell. - Joe, czemu go nie posłuchasz?

- To ty mówisz.

- Chcesz z nim porozmawiać? Może Billy nie wiedział, że w budynku jest Steffle.

Mógł powiedzieć coś, co wydałoby Lelanda.

- Nie, nie chcę z nim mówić. Wszystko w porządku.

- Jest tutaj burmistrz i prezes przedsiębiorstwa.

- Powiedz burmistrzowi, że nie należę do jego elektoratu, ale jestem wdzięczny za zainteresowanie. Co do drugiego faceta, to moje ubezpieczenie nie obejmuje działań wojennych.

- Joe, proszę...

- Nie teraz.

- Zgadza się, panie Leland - włączył się Mały Tony. - Pańska córka chce z panem rozmawiać.

- Tatusiu! - krzyknęła Steffie. - Posłuchaj go!

5 *Coup de grâce* - strzał dobijający przeciwnika.

ROZDZIAŁ 17

Godzina 10.00

- Słucham - powiedział, schodząc na dół. Wyrzucał lewą nogę przed siebie, niemal skacząc. Teraz, gdy zostało troje terrorystów, byli niczym potwór z ramionami na górze i na dole, a głową na trzydziestym drugim piętrze. On chciał dostać głowę, To była ostatnia szansa zakładników.

Jego strach o Steffie był tak silny, że musiał powstrzymać się od krzyku. Ujawniła się. Musiała to zrobić, chcąc ocalić własne dzieci. Potrzebował jedynie dwóch minut, miałby więcej czasu, gdyby policja zgodziła się na jego plan. Stał przy drzwiach na trzydzieste drugie piętro.

- No dalej, chciałeś porozmawiać. Zobaczymy, co masz do powiedzenia.

- Niech pan mnie nie nabiera, panie Leland. Cały czas miałem zamiar porozmawiać z panem. - Odbiór był bardzo wyraźny i Leland wolał zachować ostrożność. - Nic pan nie mówi? Wiem, że jest pan w pobliżu. Nie dziwi to pana?

Leland cofnął się od drzwi.

- Panie Leland, proszę, przecież nie przyzna pan chyba tym razem, że się nas pan boi?

Rozumiem, przeszedł pan ciężką próbę, tyle że niczego pan w ten sposób nie udowodnił.

Hannah miała rację, więcej racji, niż przy puszczała. Jest pan gorszy od tresowanego psa. Żyje pan w świecie iluzji, które mają nadać sens pańskiemu życiu. Jak pan myśli, co pan osiągnął

przez to wszystko?

Leland nie odzywał się. Położył rękę na klamce od drzwi.

- Robi pan z siebie głupca - powiedział Mały Tony. - Nie wie pan, co pan robi, czy tak? Chroni pan miliony dolarów ukradzionych biedakom z Chile, broni własności największych złodziei, jakich znał świat, i stara się utrzymać w tajemnicy najwstrętniejsze połączenie potęgi i żądzy. Pańska córka? Pańska córka wie o tym wszystkim. Będzie się pan musiał gęsto tłumaczyć, żeby udowodnić, iż pan sam nic o tym nie wiedział.

Leland otworzył drzwi. Korytarz był pusty. Po jego lewej stronie znajdował się pokój Steffie, po prawej duża sala, w której terroryści trzymali zakładników. Musi zdecydować się na coś.

- Jak dotychczas, nie powiedziałaś nic ciekawego.

- Trochę cierpliwości.

Dziwne uczucie, ale Leland miał pewność, że Tony nie znajduje się w zasięgu słuchu, lecz jest gdzieś niedaleko, może przy windach.

Na górze rozległ się odgłos wybuchu, budynek zatrzęsł się lekko i Leland usłyszał, jak gdzieś z prawej strony ludzie zaczęli krzyczeć. Gang się nie poddawał. Mimo iż było ich tylko troje, w końcu udało im się wysadzić sejf. Potwierdzili w ten sposób swoje rozlokowanie. Leland uśmiechnął się i skierował w prawo.

Zakładnicy nie wyglądali tak świeżo jak poprzedniego dnia. Mężczyźni rozebrali się do koszul, a kobiety pozdejmowały niewygodne buty. Siedzieli lub leżeli na podłodze, większość z nich patrzyła na drzwi. Jedna z kobiet spojrzała na Lelanda i szybko zatkała sobie usta ręką. Wskazał na swoją

odznakę i przyłożył palec do ust.

- Poklep swojego sąsiada w ramię - powiedział ledwo dosłyszalnym szeptem, pokazując ruch, jaki miała wykonać. Zrobiła tak, jak jej polecił. Wiadomość szybko rozeszła się po sali, ale jedna z kobiet krzyknęła ze strachu.

- Schylcie się! Padnij!

Leland utorował sobie drogę wśród usuwających się ludzi. Usłyszał coś w radiu. Na zewnętrznej ścianie poruszył się cień i Leland strzelił w niego. Kałaszników miał jeszcze tylko sześć naboí. Cień wycofał się - to musiał być Tony ze Stephanie. Jeśli uda mu się przytrzymać Tony'ego, zakładnicy będą mogli zejść schodami po drugiej stronie holu.

- Cofnijcie się! - ryknął. - Cofnijcie i schodźcie na dół schodami! Idźcie już, nikogo za wami nie ma.

Tony wysunął lufę pistoletu i strzelił do tłumu, trafiając kobietę w brzuch. Leland odpowiedział ogniem i posunął się do przodu. Ludzie z krzykiem biegli do schodów.

- Dziadku!

- Judy! Zabierz stąd swojego brata! - Nie mógł się obrócić, żeby spojrzeć na nią.

- Co z mamą? Powiedział, że zabije nas wszystkich, i wtedy mama wstała.

Tony zagroził wszystkim z powodu Lelanda.

- Idź na dół. Zajmę się mamą.

- Myśleliśmy na początku, że jesteś jednym z nich.

Odwrócił się, twarz Judy przypominała twarz jej nieżyjącej babki.

- Idź już! No idź!

Tony znowu wystawił lufę, ale Leland strzelił pierwszy. Wystrzał Tony'ego poszarpał kilka płyt sufitowych. Leland nacisnął guzik nadawania w radiu.

- Zakładnicy są wolni i schodzą na dół. Możecie zająć dół budynku. Odbieracie mnie?

- Tak. Ilu ich zostało?

- Na dole jest tylko jeden. Później pogadamy. - Na ulicy dały się słyszeć okrzyki radości, Kałasznikow miał jeszcze dwa naboje. Jakiś mężczyzna starał się odciągnąć zranioną kobietę z linii ognia.

- Pomóż mi! To moja żona.

- On ma moją córkę!

- Zajmij się sobą! Jesteś cały we krwi!

Leland wyszczerzył zęby.

- Cholernie mało jest tu mojej krwi!

Mężczyzna odwrócił się, mówiąc coś do siebie. Leland spojrział za nim. Nie wszystkim udało się wyjść. W kącie sali leżało ciało mężczyzny, koło drzwi leżała druga kobieta, trzymając się za nogę i wijąc z bólu. Okrzyki na zewnątrz stały się głośniejsze, były niemal dostatecznie głośne, żeby zagłuszyć szum jadącej windy. Leland włączył radio.

- Mamy rannych na trzydziestym drugim piętrze.

- Ilu?

- Troje, może więcej. Jedna osoba chyba nie żyje.

- Co się tam dzieje? Co to był za wybuch?

- Tony może wam to powiedzieć. Spytajcie jego.

- Nie, panie Leland. Ja będę mówił tylko z panem. - Podczas transmisji było słychać szum windy. - Czego pan dokonał dzisiejszej nocy poza popełnieniem najbardziej krwawych, okropnych zbrodni?

- Najpierw ty zabiłeś Riversa. Widziałem na własne oczy, jak zastrzeliłeś go z zimną krwią.

- Historia mnie osądzi - odparł Tony. Leland skierował się do biura Steffie.

- Panie Leland, ilu ludzi zabił pan tej nocy?

- Jeszcze przez pewien czas ta informacja będzie zastrzeżona.

- Nie wstydzi się pan?

- Nie. - Biuro Steffie zostało przeczesane. Przez chwilę, nie mógł rozpoznać własnej marynarki. Nie z powodu otaczających ją śmieci, ale dlatego, że jego spodnie zmieniły kolor.

Wszedł do łazienki.

- Świat powinien się dowiedzieć, jakim jest pan dzikusiem - krzyczał Tony. - Złamał

pan kark chłopakowi. Zrzucił pan człowieka z dachu.

- Słuchaj, ty pieprzony draniu! - ryknął Taco Bili. - Puść córkę tego faceta!

- Bill, nie wtrącaj się do tego - poprosił Leland.

- Córka tego człowieka, jak ją pan nazywa, jest, dorosłą osobą, odpowiedzialną za zaopatrzenie jednego z najbardziej okrutnych reżimów na świecie w broń, która umożliwia mu kontrolowanie milionów bezbronnych ludzi. Czy pan mnie słucha? Panie Leland, co pan robi?

- Wziąłem kilka aspiryn. Mam ból głowy.

Rzeczywiście wziął aspirynę. Zdecydował się nie myć twarzy, obawiając się, że może zabrudzić sobie oczy. Był pokryty smarem, sadzą i brązową, zaschlą krwią - od włosów do czarnych, zeskorupałych rękawiczek na nogach. Mógł wybierać smar i zakrzepłą krew z włosów, jak topiony ser z kromki chleba. Otworzył jeszcze raz apteczkę, starając się przewidzieć możliwe zdarzenia. Coś w apteczce zwróciło jego uwagę, czegoś było za dużo.

Zdjął kaburę.

- Panie Leland, dla kogo pan pracuje?

- Zatrudniam sam siebie. - Trzymał w ręku browning. Im będzie brudniejszy, tym lepiej. Miał jeszcze jedenaście naboń. - Słuchaj, Tony, zwróciłeś się teraz przeciwko mnie.

Proponuję ci uczciwy układ. Tylko ty i ja. Chcesz zakładnika? Weź mnie zamiast mojej córki.

- Oczywiście. Czyta pan w moich myślach. Leland wypróbował pierwszy raz nowy chwyt. Coś wspaniałego — powinno się udać.

- Dobra, jak chcesz to zrobić?

Na dole słyhać było strzały. Zgadza się: jeden na dole, numer drugi to Tony, trzecia osoba pilnuje dachu. Zostało ich tylko troje, wliczając w to kobietę. Leland przez chwilę zastanawiał się, skąd wie o dziewczynie i przypomniał sobie, że słyszał ją, jak odliczała przez radio. Jeszcze raz wypróbował ten chwyt. Przylepiec trzymał się dobrze i nie przeszkadzał

mu.

- Wie pan, gdzie jestem - powiedział Tony. - Chcę, żeby wjechał pan windą do mnie, nie uzbrojony. Jak się pan zjawi, pańska córka będzie mogła wejść do windy i odjechać.

- Brzmi nieźle.

- Joe, nie zgadzaj się na ten układ.

- Bill, całą noc pracowałem na to.

- Joe, wchodzimy do budynku - powiedział Al Powell. - Spróbuj ruszyć głową.

- Powiecie mi, gdy będziecie w środku. Na razie mam zamiar dokończyć sprawę z tym kolesiem. Mam jakieś inne wyjście?

- Joe - powiedział Bill - telewizja pokazuje, że policja nie zajęła jeszcze budynku.

Wygląda na to, że ktoś daje im właśnie niezłe cięgi.

- Sam mu powiem - wtrącił się Powell. - Zajęli dobrą pozycję na trzecim piętrze, która daje im pole ostrzału na północ i południe. Niczego więcej nie potrzebują.

Nie odpowiedział nic. Czyżby Tony był na górze sam? Niemożliwe, żeby osoba, która wysadziła właśnie sejf, zjechała tak szybko na dół. Wszystko się zgadzało. Tony i on starali się wzajemnie nabrać. Tony chciał, żeby myślał, iż znajdzie go na czterdziestym piętrze. Nie podobała mu się jedynie myśl, że Tony może chcieć wyciąć numer, który on wypróbował -

bez powodzenia - na gangu. Wsiada się do windy i nie wiadomo, gdzie kabina się zatrzyma.

To zbyt proste. Podniósł radio.

- Al, siedemdziesięciu pięciu zakładników schodzi po schodach. Musisz zająć parter, teraz.

W stronę budynku zbliżył się helikopter, który szybko odleciał, gdy z dachu rozległy się strzały z pistoletu maszynowego. Więc jednak jest jedna osoba na górze. Ciekawe, ile czasu zajmie policji zorientowanie się, że na dole jest tylko jeden człowiek, biegnący pomiędzy dwoma pozycjami. - Chcę, żeby wiadano, że mamy jeszcze dosyć broni, aby zestrzelić helikopter! - krzyknął Tony. - Ludzie znajdujący się na klatce schodowej mogą spokojnie zejść na ulicę. Nie chcemy dalszego rozlewu krwi. Panie Leland, czy jest pan gotów?

Leland wspinał się po schodach.

- Czego ode mnie oczekujesz? - Jeden na górze i jeden na dole. Tony nie mógł strzelać do helikoptera i pilnować w tym samym czasie Steffie.

- Proszę wsiąść do windy.

- Właśnie ruszam z biura mojej córki, a moje stopy są pocięte.

- Rozumiem.

- Joe, to kiepski układ - powiedział Bill.

- Chcę, żeby on się wypowiedział. Niech powie, co chce powiedzieć.

- To, co zamierzaliśmy zrobić, gdyby się pan nie włączył i nie spowodował tej rzezi, to pokazać światu, jak pańska córka i jej partnerzy, Rivers i Ellis, robią jedną z rzeczy wyraźnie zakazanych przez pański rząd, mianowicie, sprzedają broń do Chile. Jednym z podstawowych błędów popełnianych przez kapitalistyczną prasę jest rozpowszechnianie idei, że jesteśmy głupcami. Nie jesteśmy głupcami,

Leland wszedł już na trzydzieste czwarte piętro. Pomyślał, że może wejść jeszcze jedno piętro wyżej,

zanim wezwie windę. Gównu go obchodzi Rivers, Ellis i broń maszynowa terrorystów. Cwaniacy. Dupki. Stephanie nawet nie była pewna swego udziału w wynagrodzeniu. Mieli ją w ręku. Ciekawe, jak cwani byli teraz, gdy czekali na autopsję?

Przypomniał sobie, co zrobił z ciałem Riversa. Pech, panie Rivers. Jeśli nie zakłada się butów po zmarłym, to nie powinno się także masakrować jego zwłok. Starał się zastanowić, jakim człowiekiem stała się jego córka i czy te wszystkie wypadki zmieniają coś w jej życiu i w sposobie patrzenia na nie.

Tony znowu przemawiał do świata:

- Od dłuższego czasu znamy ściśle tajne elementy kontraktu zawartego właśnie pomiędzy Klaxon Oil a morderczym reżimem w Chile. Za sto pięćdziesiąt milionów dolarów

- prawie wszystkie pieniądze zostały pożyczone od Stanów Zjednoczonych i marionetkowych agencji bankowych - Klaxon Oil ma zbudować most w Chile. Sto pięćdziesiąt milionów za jeden mało ważny most, gdy miliony ludzi żyją w niewyobrażalnej biedzie. Samo to jest zbrodnią, ale nie tylko o to chodzi. Przez następne siedem lat Klaxon ma zaopatrywać faszystowski reżim w Chile w broń wartą miliony dolarów. Dzięki tej broni rząd będzie mógł

się utrzymać przy władzy, zdobytej wskutek, co możemy świetnie udokumentować, interwencji Stanów Zjednoczonych.

Leland znajdował się na trzydziestym piątym piętrze i tu wezwał windę. Usłyszał

zatrzymującą się i ruszającą kabinę. Mógł jedynie skorzystać z faktu, że Tony był na fonii.

Teraz, jeśli spróbuje rozprawić się ze Stephanie za podstęp Lelanda, straci całą sympatię, którą starał się zdobyć przemówieniem. Leland był tego pewien. Nie miał wątpliwości, że wszystko, co Tony mówi, jest prawdą. Tragedią Tony'ego była niemożność zrozumienia faktu, iż on sam stwarzał problem, zatrzymując kobietę i grożąc jej bronią.

Przyjechała winda. Leland nacisnął guzik z numerem czterdzieści i ruszył w stronę schodów. Będzie słyszał wyraźnie, jeśli coś się stanie. Z dołu doszły go odgłosy kolejnych strzałów. Dobrze. Tony musi wiedzieć, że sytuacja się zmienia. Wchodził już po schodach, gdy winda się zatrzymała, rozległy się strzały i natychmiast umilkły. Leland włączył radio.

- Tony, jesteś chyba przemęczony. Spróbowałem wyciąć wam ten sam numer godzinę temu i nie udało mi się. Rozczarowujesz mnie.

Tony westchnął.

- Panie Leland, skąd pan wie, że pańska córka jeszcze żyje?

Taco Bili zawył w głośniku:

- Dotknij tylko tę dziewczynę, a sam cię zatłukę, ty skurwielu!

- Właśnie stąd - odpowiedział Leland. - Puść ją, jeśli chcesz dostać mnie. - Wszedł

się po schodach. Tony powinien być na trzydziestym ósmym piętrze; przynajmniej tak wynikało z przeliczenia czasu, jaki zajął przejazd windy. To było kolejne otwarte piętro z oknami dającymi widok na wszystkie strony.

“Lepiej zastanów się nad tym, co zamierzasz, synu”.

- Panie Leland, pańskim problemem jest to, że nawet nie ma pan pojęcia, o co pan walczy i w jakich czasach pan żyje. Dzisiaj nie ma miejsca na pańskie rycerskie gesty. Nie jest pan Robin Hoodem, a ten głupiec przy radiu nie jest Małym Johnem. Pańska córka jest jedną z osób, które kierowały nielegalnym handlem bronią. Wygląda na to, że ma pan jakiegokolwiek pojęcie o znaczeniu i sile międzynarodowych korporacji. W Stanach Zjednoczonych i w wielu miejscach na całym świecie są składy broni, którą sprzedaje się tak samo jak wieprzowinę czy przyszłe zbiory zboża. Możemy udokumentować przepływy funduszy i proceder prania brudnych pieniędzy, próby ukrycia i sfalszowania dokumentów.

Nawet w tej chwili, w to wasze głupie święto, na międzynarodowych wodach znajdują się statki zdążające do Chile, które mają zadeklarowane maszyny rolnicze i narzędzia, a pod pokładem trzymają karabiny maszynowe, rakiety i inną broń. Wypłynęły wczoraj, ponieważ punktualnie o dziewiątej przekazano pierwszą część zapłaty i dano sygnał. Sześć milionów dolarów - sześć milionów zabranych biedakom. Są tutaj, w sejfie. Naszym zamiarem jest zwrócenie ich ludziom. Te sześć milionów jest świadectwem braku szacunku dla ludzkiego życia, jakie okazuje Klaxon w pogoni za pieniędzmi i władzą. Chcemy wam pokazać, jak potężną władzę nad wszystkimi obywatelami mają korporacje w rodzaju Klaxon Oil.

Udowodnimy wam, że wszyscy tańczycie, jak oni wam zagrają.

- Wsadź je sobie w dupę! - doradził mu Taco Bill.

- Wydaje mi się, że chciał powiedzieć, iż zamierzają wyrzucić je przez okno -

powiedział Leland.

- Zgadza się - odparł Tony. - Dokładnie w południe. Czy ma pan jakieś zastrzeżenia, panie policjancie?

Leland zastanawiał się nad czymś innym. Judy powiedziała, że wygląda jak jeden z nich. Leland minął trzydzieste siódme piętro i szedł teraz bardzo ostrożnie. Spędzi co najmniej dwa tygodnie w szpitalu. Musi tylko przeżyć.

- Tony, masz dziwne poczucie sprawiedliwości społecznej. Nie sądzę, żebyś był aż tak podniecony pomysłem redystrybucji pieniędzy, gdybyś nie brał w tym sam udziału. Szukasz jakichś ukrytych motywów zastanawiając się, czy przypadkiem ktoś nie dostanie większej działki niż ty. Większość ludzi, którzy cię słuchają, wie, że taki właśnie jesteś. Powiedziałeś nam, że nie jesteś głupi. Najgłupszą rzeczą, jaką może zrobić człowiek, to posadzić faceta twojego pokroju o to, iż potrafi

zrozumieć innych ludzi. Nie przeprowadzasz żadnej rewolucji, a jedynie starasz się dorwać do zysków na własnych zasadach. Nikt tego nie kupi.

Leland nadal myślał o uwadze Judy. Tony rzadko przebywał na trzydziestym drugim piętrze. Widział go przez ułamek sekundy i tamten nie wyglądał na zabrudzonego. Leland wyglądał jak jeden z nich? Żadna z osób, które zabił, ani Tony i żyjąca jeszcze dziewczyna nie przypominali go.

Karl .Na dole był Karl. Musiał przeżyć wybuch windy. Jakiś prawdziwy twardziel.

Wolno, uważnie otworzył drzwi na korytarz. Znajdował się po wschodniej stronie budynku, nadal posłuszny radzie Billy'ego Gibbsa. Chciał powiedzieć Tony'emu, iż nie wiedział o handlu bronią i o tym, że zamieszana była w ów proceder jego córka. Jednak miał

wystarczająco dużo wiadomości na temat przemytu broni i to, co Tony dotąd powiedział, brzmiało sensownie. Niektórzy ludzie, widocznie także Stephanie, byli gotowi spróbować wszystkiego, co tylko jest osiągalne. Mógł łatwo wyjaśnić jej zachowanie, gdyby tylko ktoś zechciał się zastanowić, co naprawdę znaczy określenie "człowieczeństwo".

Leland uklęknął na prawym kolanie, oparł się na rękach i podpełznął do okna.

Browning, przyklepiony do pleców pomiędzy łopatkami, trzymał się mocno.

On i jego córka żyli po dwóch stronach kontynentu i tylko rzadko się widywali, raz do roku, nie częściej. Rozmawiali przez telefon co miesiąc, jeśli o tym pamiętali lub gdy Leland znalazł się sam w hotelu. W Atlancie czy w Bostonie, kiedy skończył się dzień, mógł

zadzwoić do Santa Monica, gdzie był właśnie wczesny wieczór, i przywitać się ze wszystkimi. Wiedział, że Stephanie kocha go, ale zdawał sobie sprawę, że czasami ma go dosyć. Czy mógł się z tym pogodzić, czy nie, mijający czas sprawił, iż stał się staroświecki.

Nie miała łatwego życia i w pewnej mierze był temu winien - ale w jakim stopniu ponosił

odpowiedzialność za pojawienie się w jej życiu Ellisa i za kompromisy, na które musiała się zgodzić, żeby wziąć w tym udział?

Nie zastanawiał się nad swoją czyjej winą, myślał jedynie o tym, co dzieliło ludzi.

Mimo sukcesu, pieniędzy i przywilejów czuł się samotny, czy to w Atlancie, czy to w Bostonie, pod koniec każdego dnia, jak śpiący w parku włóczęga. Kiedy ludzie dowiadywali

- się kim jest, co zrobił i gdzie był w swoim życiu, zazdrościli mu - nie próbując się nawet zastanowić nad jego życiem wewnętrznym. Dotyczyło to w takim samym stopniu milionów innych ludzi. Taco Bill nie potrafiłby pewnie podtrzymać rozmowy dłużej niż przez pięć minut, jeśli nie dotyczyła radionadajników, seksu, narkotyków lub rocka. Jednak przy swoim radiu stawał się zupełnie innym człowiekiem.

- Panie Leland - odezwał się Tony. - Myślałem, że chce pan się ze mną spotkać. Leland zmniejszył

nagłośnienie.

- Jestem na schodach.

- Wiem, wiem, nie jest pan rozmowny.

- Rozmawiałem już z mordercami. Nie mówisz nic nowego.

- Znowu pan zaczyna. Rivers był międzynarodowym przestępcą. Panie policjancie, popełniono tu przestępstwo - czy jako obywatel nie mam obowiązku starać się tego powstrzymać? Czy uważa pan, że to, co pan dzisiaj zrobił, jest moralnie lepsze od próby zaalarmowania społeczeństwa, iż kolejna korporacja unurzała się po łokcie w ludzkiej krwi?

A co do pańskiej córki, to co tresowany pies może spłodzić oprócz wściekłej suki?

Tony zamierzał ją zabić. Leland, poruszając się wzdłuż wschodniej ściany budynku, znalazł się na wysokości wind. Był pewien, iż Tony jest gdzieś w pobliżu i że powinien usłyszeć już jego głos.

- Tony, ty się boisz. Wszystko było w porządku, dopóki panowałeś nad sytuacją, ale teraz ona wymyka ci się z rąk. - Leland szedł nadal do przodu. - Jak myślisz, czym to jest spowodowane? Powinieneś być bardziej pewny siebie, skoro masz tyle racji. A może to dlatego, że jestem tak blisko ciebie? Powiedziałeś mi, że bym stawił się nie uzbrojony i natychmiast zaczęłaś strzelać do windy, którą miałem przyjechać. Chowasz się z pistoletem maszynowym za moją córkę i trzęsiesz się ze strachu. Gdzie jest walter, z którego zastrześliłeś Riversa? Tylko tyle chcemy wiedzieć na ten temat. To ty przyniosłeś broń do budynku. My byliśmy nie uzbrojeni.

- Czy jest pan nie uzbrojony?

- Tego przecież chciałeś.

- No to proszę wstać. Słyszę pana bez radia. Niech je pan wyłączy.

Leland wyłączył radio, zanim Taco Bill czy ktokolwiek inny mógł zaprotestować.

Nadal nie wiedział, gdzie Tony się schował. Nie miało to jeszcze znaczenia: chciał, żeby Stephanie była bezpieczna, zanim on sięgnie po browning.

- Stoję!

- Ręce do góry!

Podniósł ręce wolno, robiąc przedstawienie z bólu, który, czuł naprawdę. Tony wysunął się zza biurka ustawionych od strony Wilshire Boulevard. Leland zrobił krok do przodu; chciał, żeby tamten widział, jak powłóczy nogą. Tony skinął na Stephanie, która podniosła się zza biurka. Drgnęła widząc ojca i Tony złapał ją za ramię.

- Wszystko w porządku, kochanie - zawołał do niej Leland.

- Bardzo szlachetnie z pana strony, panie Leland - powiedział Tony. - Proszę podejść bliżej. Wygląda pan jak nieboszczyk. No dalej. Co się dzieje z pańską nogą?

Leland nie odpowiedział nic. Idąc pochylał się mocno w prawą stronę, co zbliżało jego rękę, do ucha. Tony i Steffie stali jakieś dziesięć stóp od okna. Znajdował się zbyt daleko, aby można było trafić go z pistoletu czy też żeby on sam mógł dosięgnąć Tony'ego. Zawsze był

wyborowym strzelcem; istniała jakaś psychologiczna teoria na ten temat, wyjaśniająca to stosunkiem człowieka do siebie-samego. Steffie patrzyła na niego i widział, że zaczyna się załamywać. Ostatni raz, kiedy go widziała, wyglądał jeszcze jak człowiek.

- Tatusiu, przepraszam cię za to!

- Mściciel - zakpił Tony. - Nieprzejednany. Twój ojciec jest człowiekiem o niezmiernych iluzjach. Ma pistolet za kołnierzem. Starał się mnie przekonać, że jest nie uzbrojony, a teraz myśli, że może cię ocalić. Co za głupiec! Czemu chce to zrobić?

- Steffie, odsuń się!

- Z przyjemnością zabiję was obydwoje - powiedział Tony.

Steffie nie odsunęła się; zamiast tego rzuciła się na Tony'ego. Leland podbiegł kilka kroków. Chciał, żeby się odsunęła. To nie było dla niej - to była jego sprawa.

- Odsuń się!

Nadal miał słońce za sobą. Uwolnił pistolet. Tony patrzył na niego, starając się jednocześnie pozbyć Stephanie. Leland był wystarczająco blisko. Odwrócił się bokiem, strzelając tak, jak uczono go lata temu, w staromodny sposób opuszczając ramię, równo, jak maszyna. Pierwszy strzał był najczystszy - Leland chciał trafić Tony'ego tak, aby pierwszy wstrząs był najsilniejszy.

- Zabij go, tatusiu! Zabij go!

Znowu rzuciła się na Tony'ego, uderzając go w twarz. Skierował na nią pistolet, gdy Leland znowu strzelił, trafiając go w prawą brodawkę piersiową. Spojrzał z niedowierzaniem na Lelanda i w tej chwili druga kula utkwiała mu w ramieniu, odkręcając go i odrzucając.

Stephanie zamachnęła się na niego.

- Odsuń się, dziecko! Trafiłem go i on o tym wie!

Tony, nie puszczając jej nadgarstka, strzelił raz, trafiając ją w brzuch. Obróciła się do Lelanda, gdy Tony starał się podnieść pistolet i wycelować w niego.

- Zabij go! Powiedział mi, że, ma zamiar to zrobić!

Popchnęła Tony'ego. Leland strzelił trzeci raz i spudłował. Jeszcze osiem. Tony cofnął

się, trzymając Stephanie za rękę. Leland ustawił się i zaczął ponownie strzelać. Pierwsza kula trafiła Tony'ego w brzuch, trzy cale nad pępkiem. Druga rzuciła go na okno. Trzecia przeszła na wylot pomiędzy śladami po dwóch poprzednich rozbijając okno. Tony nadal trzymał

kurczowo Stephanie, upadając na plecy. Leland strzelił jeszcze trzy razy, przecinając go niemal na pół.

Tony upadł na okno, wypychając szybę plecami. Cały czas trzymał Stephanie za nadgarstek i palcem za zegarek. Wypadł i pociągnął ją za sobą. Już nie żył. Leland słyszał

krzyk Stephanie przez cały czas, gdy leciała.

Na zewnątrz, ludzie zaczęli krzyczeć i śmiać się. Leland także krzyczał, podtrzymując głos Stephanie jeszcze długo po tym, jak tamten na zawsze znikł.

ROZDZIAŁ 18

Godzina 10.38

Nie przestawał krzyczeć, patrząc na wybite okno i pogodne niebo za nim. Obrócił pistolet, utkwiał wzrok w lufie i nadal krzyczał - gdyby Steffie go posłuchała, żyłaby teraz.

Powinna mu zaufać.

Nawet go nie słuchała. Wrzeszczała: "Zabij go, tatusiu".

- Steffie!

Co ma teraz zrobić? Czego spodziewano się po nim, tresowanym psie? Tłum ryczał na dole. O co im chodziło? Chcieli więcej krwi czy pieniędzy?

Czy byli rozzłoszczeni, ponieważ nie dostaną pieniędzy? Nie chciał podchodzić do okna. Nie chciał wiedzieć, co się dzieje na dole, ale nie widział też potrzeby informowania kogokolwiek, że znowu przeżył.

Nie był pewien, czy rzeczywiście przeżył. Nie wiedział, czy to w ogóle go obchodziło.

Nie dbał o to - nic nie miało już jakiegokolwiek znaczenia.

Nie ruszał się. Rozpoznał to uczucie: tak było, gdy umarła jego matka, kiedy rozpadło się jego małżeństwo, kiedy zmarła Karen. Przekonanie, że lepiej dać sobie spokój, lepiej umrzeć. Czuł ten sam bezsens i wiedział, że tak naprawdę właśnie to uczucie zawsze mu towarzyszyło. Co jakiś czas coś w nas zamiera. Żadnego wybaczenia - w życiu niczego się sobie nie wybacza. Cóż można było powiedzieć o mężczyźnie, który przeżył wszystkie kobiety, jakie kiedykolwiek go kochały? O mężczyźnie, takim jak on, z pistoletem w rękę? Z

czym kojarzył się pistolet, jeśli nie ze śmiercią?

Ruszył powoli, powłócząc nogami, w stronę wschodniej części budynku i podniósł z ziemi radio.

- ...w środku. Joe, jeśli mnie słyszysz. Powtarzam, jesteśmy w środku i docierają do nas pierwsi zakładnicy.

Postanowił zostawić radio. Od ulicy dochodził krzyk ludzi żądających pieniędzy. Jak nazywali tych facetów na meczach piłki nożnej? Ludzie o stalowych gardłach. Sześć milionów dolarów. Na broń. Pistolety. "Zastrzel go, tatusiu". Miliony na most. Miliony i miliony dolarów, jeśli tylko był jakiś sens w tej szaleńczej pogoni za pieniędzmi. Tak jakby można było zjeść więcej niż dwa jajka na śniadanie, jak to kiedyś powiedział Steinbeck. Co człowiek powinien wiedzieć o granicy życia? Czego Stephanie szukała? Czy cokolwiek z tego, przez co przeszła kazało jej wierzyć w to wszystko? Co spowodowało, że, Mały Tony uwierzył w rewolucję?

Sześć milionów dolarów. Na ulicy był prezes Klaxon Oil. Stał, patrząc na ruinę budynku, i zastanawiał się, czy ubezpieczenie spróbuje go wykiwać. Leland pracował kiedyś dla agencji ubezpieczeniowej i wiedział, że będą próbowali i że mają szansę wygrać. Zbrojny napad? Nie, sam handel bronią, jako bezprawny, unieważniał ubezpieczenie przedsiębiorstwa.

Uśmiechnął się. Ileż szkody można wyrządzić kompanii naftowej? Jak długo będzie trwało, zanim udziałowcy zaczną nalegać na wsadzenie właścicieli do więzienia? Miał jeszcze dwa naboje w pistolecie i niczego więcej nie potrzebował. Wesołych świąt! Powłókł się w kierunku schodów, płacząc jak dziecko.

Kiedy Stephanie była dzieckiem, grał z nią w warcaby i "Monopol". Urodziła się na początku wojny i nie widział jej zbyt często w ciągu pierwszych czterech lat. Gdy wrócił do domu, on i Karen starali się naprawić szkody wyrządzone Steffie przez wojnę, która zraniła ją tak samo jak ich, ale w sposób, którego nie można było przewidzieć. Starali się wynagrodzić jej to...

Dorośli ludzie, zatroskani powszedniością, zapominają, że najważniejsze wspomnienia z dzieciństwa dotyczą codziennego życia. Warcaby i "Monopol". Związek pomiędzy nim a dzieckiem rozluźnił się, gdy Leland zaczął pić, ale kiedy zrozumiała, że skończył z tym na zawsze, wszystko zaczęło się układać. Nie lubił jej męża, Gennara.

Żyłaby teraz, gdyby się poddał albo wyszedł z budynku i wezwał policję. Nie, nie mógł być tego pewien. Nie mógł sobie przypomnieć, czemu zrobił tyle dziwnych rzeczy tej nocy. Na pewno byłoby lepiej, gdyby się spóźnił na samolot w St. Louis. Wypadek w drodze na lotnisko mógł go zatrzymać. Stałoby się tak, gdyby zaufał losowi. Wyjął broń, żeby trzymać się swojego rozkładu. Powinien zwracać uwagę na to, co mu podpowiada los.

Zupełnie jakby się spieszył, żeby zobaczyć śmierć swojej córki.

Każdy policjant może powiedzieć, że wcześniej czy później uświadamia się sobie wszystkie błędy, które kiedykolwiek się popełniło. Życie zmuszało do robienia błędów.

Pomyłki są w tym samym stopniu częścią ludzkiej natury, co sytuacje, które do nich prowadzą. Może Mały Tony miał czas, żeby zrozumieć swój błąd? Steffie umożliwiła Lelandowi wystrzelenie do niego całego magazynka. Nie mogła znieść tego, co się stało z jej ojcem. Czuła się winna. Nikt o tym nie pomyślał.

Zastanawiał się, co by się stało, gdyby mierzył w głowę. Mógł ją trafić. Gdyby się usunęła, może zabiłby Tony'ego. Mogło mu się to nawet udać. Pewnie by przy tym zginął, ale byłoby to lepsze od tego, co się stało.

Wszedł na czterdzieste piętro z pistoletem w rękę. Nie było potrzeby zachowywania ostrożności. Przeszedł obok pokoju, w którym na stole były poukładane pieniądze, i poszedł

w stronę schodów na dach. Musi to zrobić szybko. Jeśli policjanci weszli do budynku, to wspinali się teraz po schodach - wolno i ostrożniej ale wchodzili na górę. Nadchodził kres jego samodzielności.

Na korytarzu prowadzącym w stronę klatki schodowej zwolnił i zaczął iść ostrożnie.

Słyszał ją na górze. Myślała, że nie grozi jej atak z dołu. Przypomniawszy sobie, że to on jest ofiarą tego napadu, że jego córka żyłaby, gdyby nie ci ludzie, i także ta nowa osoba na dachu, która zginęłaby już kilka godzin temu, gdyby wtedy ją spotkał. Od samego początku znał

ryzyko! Może Steffie także je znała? To jednak nie zmieniało niczego.

Musi jeszcze utrzymać się na nogach, wytrzymać trochę dłużej. Policja może dojść do tego, co tu się działo w tych ostatnich minutach, ale bez świadków nie potrafią niczego udowodnić. Człowiek spędza całe życie zjedną lub drugą odznaką, nie wiedząc, czy jest dobrym, czy złym policjantem, ale jedna rzecz staje się w końcu oczywista: potrafi popełnić zbrodnię lepiej niż ktokolwiek inny.

Zasada pierwsza: żadnych świadków.

Nie miał zamiaru pójść do więzienia z tego powodu, że jakiś przedsiębiorca ukradł

sześć milionów. W tej sytuacji rozwiązanie, które okazało się dobre dla Małego Tony'ego i dziewięciu członków bandy - i Stephanie - będzie równie dobre dla Klaxon Oil. Jeśli mu się uda, zniszczy tych ludzi.

- Nie ruszaj się!

- *Kamerad.*

- Mów po angielsku! Ręce na głowę!

Tym razem była to nieduża dziewczyna, pulchna z różnymi policzkami i zielonymi oczami. Wyglądała na niewiele starszą od Judy. Judy była nawet wyższa. Na szczycie schodów leżały wyrzutnie rakiet i zapas broni, który pozwoliłby utrzymać budynek przez następny tydzień.

- Co tam masz, pistolet maszynowy czy automatyczny karabin?

Spojrzała na niego zdziwiona i wreszcie skinęła twierdząco głową. Wyglądała jak przedszkolanka. Ile mogła mieć lat? Dwadzieścia? Dwadzieścia dwa? - Widzę cię bardzo dobrze - powiedział Leland. - Rozumiesz mnie? - Czuł, że rodzi się w nim wstręt do siebie samego. - Chcę, żebyś wzięła pistolet za lufę, a dwa magazynki z amunicją w drugą rękę. Nie ruszaj się zbyt szybko.

Zrobiła, jak kazał, i wyglądała na spokojną. Nie widział jej tak dobrze, jak powiedział.

Za nią były otwarte drzwi, przez które wpadało słońce oświetlając klatkę schodową. Miała rude włosy, gęste i długie do samych ramion, piękne.

- Zejdź powoli na dół, stopień po stopniu.

Trząśnięty całym. Chciał żeby podeszła do niego na tyle blisko, aby mógł ją zabić jednym strzałem zanim zorientuje się, co chce zrobić. Nie chciał sentymentów. Nie wiedział

kim jest, co zrobiła i kogo zabiła.

Jeśli była tutaj o świcie, mogła strzelać do helikopterów.

Usiłowała go zabić. Kolejny błąd. Płaciła cenę porażki. Znajdowała się na dole schodów, trzymając w ręku kałasznikowa. Wystraszona patrzyła mu w oczy i próbowała się uśmiechnąć. Miała piękne zęby. Trzymał pistolet nisko, żeby nie myślała, iż mierzy do niej.

Wstrząsały nim dreszcze, i poczuł, że się zmoczył. Kiedy podniósł pistolet, zrozumiała, iż pozwolił jej żyć tych kilka sekund dłużej tylko po to, aby zniosła mu broń. Otworzyła usta do krzyku. Leland wiedział - nie zdążyła nic przeżyć, umierała, nie doświadczywszy normalnego życia. Pomyślał o swojej córce i strzelił dziwce w czoło, prosto między oczy.

W radiu panowała cisza. Na ulicy nie było słychać żadnych strzałów. Leland znalazł

oprócz sześciu milionów także dokumenty, listy, wewnętrzne zarządzenia, niektóre z nich z inicjałami Steffie - S.G., które przypominały kwiatek. Nie martwił się policją. Niczym się nie przejmował. Ciekawe, czy ktoś spróbuje go zastrzelić, gdy pieniądze zaczną się unosić nad miastem: Czy policja przyjmie, że to któryś z terrorystów? Może później dadzą takie wyjaśnienie. Uznanie, kto ma rację, a kto nie, było kwestią sposobu interpretacji. Człowiek siedzący w helikopterze mógł pociągnąć za spust, ponieważ nie miał szansy dobrać się do pieniędzy.

Potrzebował teraz krzesła na kółkach; i tak będzie musiał podjechać kilka razy do okna - obok zmasakrowanego Riversa i szczeniaka ze złamanym karkiem. Tu, na górze, był

jedyną żyjącą osobą. Dziesiątki, dwudziestki, pięćdziesiątki, a nawet setki ułożone w paczki, przeliczone i podpisane przez nieznaną bankierów z Santiago. Po takiej robocie powinno się zabić także i ich, jeśli miało się trochę rozsądku.

Będzie musiał zdrzeć banderole z dziesiątek paczek. Rivers i szczeniak leżeli zupełnie sztywni, jak

para nakrochmalonych koszul. Cwaniacy. Zwłoki.

Znowu poczuł ból w nodze. Nie miał pojęcia, czy to dobry czy zły znak. Pierwsze paczki znikły poniesione wiatrem. Otwierał po pięć sztuk, a potem je wyrzucał. Od ulicy doszedł go ryk, następnie okrzyki radości i wiwaty. Usłyszał zbliżający się helikopter.

Odsunął krzesło i szybko otworzył pozostałe paczki. Wiatr porwał banknoty i poniósł do góry w postaci trzepoczącej chmury. Następne krzyki i klaksony samochodów. Pospieszył po następny ładunek. Sześć milionów - sześć milionów więcej, jeśli chodzi o budynek.

W helikopterze wiszącym przed oknem pokazał się człowiek z kamerą. Leland upewnił się, że jest dla niego niewidoczny. Może wpadną na to, kto wyrzucił pieniądze, ale nie będą mogli tego udowodnić. Otworzył wszystkie paczki, potem ułożył je na krześle i przesunął koło zwłok - wiatr porwał pieniądze jak konfetti na święto Czwartego Lipca.

Słyszał klaksony samochodów w całym mieście. Zebrał resztki swoich rzeczy. Był gotowy do zejścia na dół.

Na trzydziestym dziewiątym załadował kałasznikowa i wszedł do pomieszczeń z komputerami. Zatrzymał się w pół kroku widząc, że to, co zamierzał, nie ma większego sensu. Chciał wyładować oba magazynki w komputery. Nie miałyby to żadnego znaczenia.

To była część nowej magii, którą młodzi tak dobrze rozumieli. Cokolwiek zniszczy, szybko zostanie zastąpione czymś innym, a miejsca pracy przeniosą gdzie indziej. Ludzie zajmujący się komputerami pewnie z chęcią przyjmą wyzwanie.

Odrzucił karabin na ziemię. Niech policja znajdzie jego odciski. Potem sprawdzi, czy okazali się na tyle dobrzy, że je odnaleźli. Jedna rzecz nie dojdzie do skutku: policja i Klaxon Oil nie zdołają udowodnić mu niczego. Nawet tego, że ma tę cholerną oszukaną odznakę.

Sześć milionów i koszty budynku - to powinno wystarczyć. Na oko, spowodowane przez niego szkody wynoszą ze dwadzieścia pięć milionów, wystarczająco dużo, żeby wywołać paniczne wyprzedawanie akcji na Wall Street. Prezes Klaxon Oil nawet nie zdawał

sobie sprawy, jakie kłopoty czekały go jeszcze z powodu Lelanda.

Nic z tego nie przywróci Stephanie do życia. Chciał wiedzieć, kiedy - jak dawno temu

- odsunęła się od niego na tyle, iż nie mógł jej pomóc ani niczego w jej życiu zmienić.

Włączył radio.

- Tu Leland. Schodzę na dół.

- Cześć, Joe. - Al Powell. - Gdzie jesteś?

Nie chciał, żeby go przyłapano na kłamstwie.

- Trzydzieste dziewiąte, schodzę z czterdziestego. Właśnie dostałem ostatnią osobę na górze. Czy macie już tego faceta na dole?

- Nikogo nie widzieliśmy. Co to znaczy, ostatnią osobę na górze?

- Mówłem ci, że słyszałem Jak mówią dwanaście. Uważnie liczyłem. Odkąd wyłączyłem się o dziewiątej, zabiłem jeszcze czworo, w tym Małego Tony'ego.

Taco Bili zawył z radości.

- Widzieliśmy dwoje - powiedział Al Powell. - Spadli na wóz policyjny.

- Nie. Jeden to był Mały Tony. Kobieta, którą zabił, to moja córka, Stephane Leland Gennaro.

- Joe, o rany, postaraj się przyjąć to spokojnie.

- Nie, chcę, żeby wszystko było jasne. Zabiłem jeszcze troje oprócz Małego Tony'ego, dwóch mężczyzn i kobietę. Kobieta jest ostatnia - leży na czterdziestym piętrze. Mówiłem ci, że bardzo uważnie liczyłem. Zabiłem jedenaście osób.

- Joe, uspokój się!

Znajdował się na trzydziestym ósmym piętrze.

- Nie, posłuchaj mnie, do cholery! Jeden jest na dole. Jeśli nie jesteście pewni, czy go dostaliście, to sprawdźcie. Nazywa się Karl. Zabiłem jego brata i on o tym wie. To jakiś twardy drań, pokryty smarem i sadzą jak ja. Znajdźcie moją wnuczkę. Powie wam, że jeden z nich był pokryty sadzą i być może zaschła krew. Tego właśnie nie zabiłem. Rozumiesz? Nie załatwiłem nikogo takiego jak on.

- Joe, dlaczego nie usiądziesz i nie poczekasz, aż wejdziemy na górę i wydostaniemy de? Jeśli dach jest wolny, to możemy wysłać tam ludzi.

- Mam jeszcze jedną kulę. Ten facet słucha nas cały czas. Na którym piętrze jesteście?

- Schodzą do nas ludzie ze wszystkich czterech klatek schodowych. Mamy tylko twoje słowo, że załatwiłeś właśnie tyle osób i że było ich właśnie dwanaście. O nic cię nie proszę, ale postaraj się zrozumieć naszą sytuację i pozwól nam wykonać robotę.

- Został jeszcze jeden.

Ból się zwiększał. Szedł teraz mechanicznym, wolnym krokiem, opierając ciężar ciała na balustradzie. Czuł, że jest wykończony - jeszcze trochę i zemdleje. Potrzebował opieki lekarskiej. W tym tempie policja nie znajdzie go jeszcze przez kilka godzin, nawet jeśli wejdą przez dach. Zresztą przy wciąganiu do helikoptera mogliby go łatwo upuścić na ulicę.

Wypadki zdarzają się wszędzie. Dla wszystkich zainteresowanych byłoby najlepiej, gdyby cała rzecz została nie wyjaśniona.

Zastanowił się nad swoimi uczuciami: nadal bał się upadku. Strach nie zniknął, nawet kiedy Steffie spadła na ulicę. Na samą myśl o tym wywracał się w nim żołądek. Miał jeszcze jedną kulę, a na karku Karla, szukającego go po budynku, Na zewnątrz wyglądało to tak, jakby ludzie chcieli, żeby zginął, a już na pewno liczył na to prezes Klaxon Oil. Po tej nocy lista oczekujących na jego śmierć będzie jeszcze dłuższa.

Idąc na dół przypominał sobie wszystkie nocne zdarzenia, leżące martwe ciała, ale był zbyt zmęczony. Tak zmęczony, że nie miał pewności, czy kiedykolwiek będzie potrafił dokładnie odtworzyć w pamięci wszystko, co się stało. Niech inni się o to martwią. Chciał spać. Nie miał najmniejszego zamiaru myśleć. Później odpowie na wszystkie pytania.

Pierwszą osobą, z jaką podejmie rozmowę, będzie jego prawnik.

Na trzydziestym drugim piętrze przyszło mu do głowy, że mógłby zobaczyć pokój Steffie. Jeśli chce nadal żyć, to powinien zapomnieć o tego typu sprawach. Kiedy udzieli mu pomocy, będzie potrzebował kąpieli, posiłku i snu. W tej właśnie kolejności. Chciał zobaczyć swoje wnuki. Bardzo chciał porozmawiać z Kathi Logan. Dzieciaki miały ojca, ale nie przypuszczał, żeby chciały z nim zostać. Nie były takie małe, a Leland nie był taki stary. Miał

powód, żeby żyć.

Na dwudziestym ósmym piętrze zatrzymał się, aby odpocząć. Usiadł ciężko na schodach, wyciągając sztywne nogi przed siebie. Bolały go bardzo, tak samo jak plecy, klatka piersiowa i ramiona. Schodząc w dół, starał się zmniejszyć obciążenie jednej z obolałych stóp i przenosił ciężar ciała na drugą. Wiedział, że da sobie radę. Wszystko będzie w porządku, kiedy tylko go znajdą. Zamierzał szybko wydobrzeć. Właśnie tego chciał. Nabrać sił, zjeść befszytk i pieczone ziemniaki. Zacznie obiad od sałatki z krewetek.

Wstał.

Musiał się zatrzymać na dwudziestym drugim piętrze i tym razem położył się na ziemi, żeby rozluźnić zeszywniałe mięśnie klatki piersiowej, *Terra incognita* - pomyślał o małych pokoikach i labiryncie biur znajdujących się za ścianą klatki schodowej - małe bastiony urzędniczego podziału terytorium. Co by się stało, gdyby otworzył drzwi i znalazł

kolejne komputery, więcej pieniędzy, więcej cywilizacyjnej magii, znajdującej się poza jego zasięgiem? Wstał i zaczął dalej schodzić, myśląc o tym, jak starzejący się człowiek może wierzyć w siebie mimo zaprzeczających dowodów, mimo wszystko.

Na dziewiętnastym piętrze zaczęli znowu go wzywać, więc wyłączył radio, chcąc ominąć niebezpieczną strefę. Gdzie krzesło-bomba trafiło windę? Wrak pokazywany w telewizji wskazywał,

że jedna czy więcej, a nawet wszystkie klatki schodowe były niebezpieczne. Jeśli zakładnicy schowali się w środkowej części budynku, to nikogo z nich nie napotka. Nie chciał natknąć się na nikogo. Miał jeden nabój i wolał nie rozwalić głowy przypadkowej osobie.

Schody były nie naruszone. Wybuch musiał skierować się na okna. Może budynek nie był wcale tak bardzo zniszczony? Zrezygnował z pomysłu obejrzenia obu pięter. Za duże ryzyko. Leland nie podejrzewał Karla o wyobraźnię, ale czy potrzeba jej było wiele, aby obstawić jedno z pięter, którego widoku Leland musiał być najbardziej ciekaw?

Na piętnastym znowu się zatrzymał. Tym razem wszedł do środka. Niektóre płyty sufitowe zostały zerwane, okna powybijane, ale wszystko inne wyglądało tak, jakby biuro czekało na poniedziałkowy poranek. Usiadł na biurku, posunął się do tyłu, tak że uda leżały na blacie, i położył się na plecach. Musiał zetrzeć grubą warstwę brudu ze szkiełka zegarka, żeby dostrzec godzinę. Jeśli zegarek chodził dobrze, było prawie południe.

Wolałby zostać tutaj.

Musi zejść na dół. Jego córka nie żyje! Jej dzieci są same. Nie może się zatrzymywać.

Człowiek nigdy się nie zatrzymuje, bez względu na wszystko.

Ledwo udało mu się podnieść. Mięśnie drżały tak bardzo, jakby ktoś nim potrząsał.

Słońce weszło już wysoko i wpadające przez okno światło miało kolor perłowy. Kto posprząta pokój jego córki? Zajął się swoimi rodzicami, ale Bóg zaoszczędził mu oddawania ostatniej posługi Karen. Nie chciał tego robić dla Steffie. Nie chciał naruszać jej prywatności.

Znowu szedł naprzód.

- Bill, możesz mnie połączyć z Kathi?

- Pewnie, stary. Co tylko chcesz.

- Joe? Wszystko w porządku?

- Wiesz, co się stało?

- Tak, wiem. Tak mi przykro. Jeśli tylko mogę ci pomóc w jakiś sposób...

- Dostałem ich wszystkich poza jednym facetem. Ciągłe gdzieś tu się znajduje.

- Pokazywali to w telewizji. Policja powtarza, że nie może niczego być pewna. Czy nie mógłbyś zostać tam, gdzie jesteś? Powiedz policji, gdzie się znajdujesz, i poczekaj na nich.

- Ten facet słucha każdego słowa, które mówimy. Jest tu gdzieś w pobliżu.

- Joe, nie musisz się nim zajmować!

- Ona ma rację - powiedział Al Powell. - Słuchaj, wierzę ci. Nie chcę, żeby ci się coś stało!

- Ja go nie szukam! Staram się jedynie wydostać stąd!

- Proszę, Joe.

Zupełnie jakby żył dla jakiejś uludy. Co mu zostało? Wszystko, na co on i Karen razem pracowali, ich wszystkie plany i wszystko, co przetrwało katastrofę, którą sobie zgotowali, zginęło. Pozostała jedynie ich historia i przemijanie czasu. Nacisnął guzik nadawania.

- Co się jeszcze dzieje? Co pokazują w telewizji?

- Ulice są zapchane samochodami - powiedziała Kathi. - Ludzie starają się podążać za pieniędzmi, które wiatr zwiewa na wschód. Budynek jest ustawiony bokiem do Beverly Hills i do kierunku, w którym wiatr niesie pieniądze, i ludzie w rolls-royce'ach stoją w korkach ulicznych. Jeśli zrobiłeś to po tym wszystkim, to cię będę kochała przez całe życie.

- Nic nie wiem o żadnych pieniądzach. Nie widziałem żadnych pieniędzy.

- Chcesz, żebym przyjechała do ciebie?

- Zamierzam dostać się do odpowiedniego szpitala. Postaraj się trochę odpocząć.

Niech wszystko się trochę uspokoi.

- Będę czekała na ciebie - powiedziała Kathi.

Zapomniał, że na dole czeka także telewizja. Poczul coś, jakby początek strachu - nie wiedział, co to takiego. Odezwał się Al Powell.

- Joe, pozwól mi coś powiedzieć. Schodzą do nas ludzie grupkami po dwie, trzy osoby i mówią, że na górze są jeszcze inni, zbyt zmęczeni czy wystraszeni, żeby zejść o własnych siłach. Jest już tutaj jakieś czterdzieści osób, ale nie ma twoich wnuków. Na podstawie tego, co nam powiedziałeś, kapitan Robinson obmyślił plan. Wysyłamy grupki oficerów wszystkimi czterema klatkami schodowymi. Ci ludzie są dobrze uzbrojeni. Gdy wejdą na każde piętro, przekażą mi wiadomość przez radio, ja poinformuję ciebie. Nie musisz nam ujawniać swojej pozycji. Gdy oficerowie zbliżą się do ciebie, usiądź na schodach i załóż ręce na głowę. Ściągniemy cię na dół. Obiecuję to. Obiecuję ci to, partnerze.

Byli bardzo ostrożni i zajęło im to następne czterdzieści minut. Był już na szóstym piętrze, gdy usłyszał ich głos i szuranie butów. Usiadł na schodach, założył ręce na głowę i głośno oznajmił swoją obecność.

* * *

Zupełnie, jakby gdzieś wyjechał i od lat nie miał kontaktu z ludźmi. Kiedy rozbroili go i Al przekazał im przez radio, że mają właściwą osobę, dwóch oficerów wzięło go na ręce i zaczęli znosić na dół.

Było ich razem sześciu i mówili jeden przez drugiego, co mu odpowiadało, gdyż sam nie miał nie do powiedzenia. Przeraziła go perspektywa omawiania wszystkich szczegółów. Stracił na wadze; czuł z jaką łatwością go nieśli i przekazywali swoim kolegom.

- Jak się czujesz?

- W porządku. Wszystko w porządku.

- Powiesz nam, jeśli będziemy cię zbytnio pod rzucać.

- Nie, robicie to świetnie.

Słyszał głosy na drugim piętrze, wyraźne mimo stalowych drzwi. Mruknął coś niechętnie i niosący gooficer powiedział, że będzie się musiał do tego przyzwyczaić.

- Jest tu! Jest tutaj! Odsuńcie się!

Drzwi otworzyły się, ukazując ścianę ludzi, policjantów, dziennikarzy, kamerzystów, krzyczących i popychających się nawzajem, starających dostać się do niego. Światło było tak jasne, że oślepiiony zamknął na chwilę oczy. Lekarz rozcinał mu już nogawki od spodni, a u jego stóp stały nosze.

- Chcę być przytomny jeszcze przez chwilę.

- Jak się pan czuje? - spytała dziennikarka.

- Czy rzeczywiście zabił ich pan wszystkich?

- Gdzie jest Al Powell?

- Tu jestem. - Stał kilka kroków dalej z ręką na rękojeści pistoletu, rozglądając się ponad głowami kłębiących się ludzi.

Leland uśmiechnął się.

- W telewizji lepiej się prezentowałeś.

- Zapamiętam to sobie. - Odsunął się, nie patrząc nawet na niskiego, ciemnowłosego mężczyznę po jego lewej stronie. - To jest kapitan Dwayne Robinson.

- Leland, musimy ci zadać kilka pytań. Przeglądamy właśnie taśmy wideo i jesteśmy bardzo ciekawi, kto się pozbył pieniędzy i dlaczego.

Leland zobaczył, że Powell potrząsa głową: taśmy nic nie ujawniły.

- Nie odpowiem na żadne pytanie bez porady mego adwokata - oznajmił Leland. -

Jestem pewien, że najpierw zażąda, aby udzielono mi pomocy lekarskiej.

- Pozwólcie nam z nim mówić - zażądał ciemnowłosy dziennikarz.

W tej chwili, po pierwszym odgłosie dochodzącym z jego lewej strony, Leland zorientował się, co się dzieje przy drzwiach na północno-wschodnią klatkę schodową. Chciał

rzucić się na podłogę, ale Robinson blokował go, przyciskając z całej siły do ściany. Karl krzyknął i otworzył ogień, strzelając do dziennikarzy, których wycie i jęki niemal zagłuszał

terkot kałasznikowa. Leland znowu poczuł się tak, jakby patrzył w lustro. Karl był cały pokryty brudem, smarami i krwią. Chciał zabić wszystkich znajdujących się w holu. Kolejne szaleństwo wynikające z żądy, która rozpoczęła to wszystko. Karl nie miał zamiaru ustąpić i ktoś musiał to przerwać. Leland też nie umiał zrezygnować i nawet Stephanie nie potrafiła go powstrzymać - nawet jej śmierć.

Karl także zobaczył Lelanda. Dokładnie, jak swoje odbicie w lustrze. Nie widział

nikogo oprócz niego - Leland wiedział o tym. Robinson wyjął pistolet, ale nie zamierzał

strzelać. Karl wystrzelił. W tej samej chwili Al Powell schwycił Robinsona za ramię i pchnął

na linię ognia. Na twarzy Powella widać było determinację, której Leland zupełnie po nim nie oczekiwał. Robinson potknął się i padając zasłonił Lelanda swoim ciałem. Leland poczuł

uderzenie w udo. Zanim impet i ciężar ciała Robinsona przewróciły go, dostrzegł jeszcze, jak Powell mierzy starannie i dwoma celnymi strzałami rozrywa Karlowi czaszkę, która odpada w strumieniu krwi i szczątkach rozpryskującego się mózgu.

Kiedy starał się wydostać spod Robinsona, Powell odciągnął zwłoki kapitana, potem schylił się i rozerwał rękami spodnie na nodze Lelanda. Było pełno krwi i Leland czuł się tak, jakby ktoś wylał mu talerz gorącej zupy na nogę.

- Lekarz! Lekarz!

Przy Lelandzie leżał martwy doktor. Ludzie zaczęli się poruszać i wstawać z podłogi.

Ktoś zaczął krzyczeć, a inni przyłączyli się do niego.

- Daj mi ten pieprzony rzemień - powiedział Powell, ściągając z niego pasek. - Nie umrzesz przy mnie, nie teraz. - Zawiązał pasek mocno na nodze, powyżej rany. Podobał mi się sposób, w jaki schowałeś się za Robinsona.

Leland patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

- Zginął jak bohater - dodał Powell. - Pamiętaj o tym.

- Wolałbym, żebyś nic nie robił.

Powell spojrział na niego.

- Wiem. Ale nikt nie powinien myśleć o sobie w ten sposób - zwłaszcza facet, którego uważam za swojego partnera.

- Robinson popełnił błąd - powiedział na głos Leland, ale mówił do siebie.

- Oddał swoje życie za ciebie - odparł Powell. - To jedyny sposób, w jaki możesz na to patrzeć. Krwotok zatrzymany. Będziesz żył.

- Jesteś cholernie dobrym policjantem - powiedział Leland.

- Przy tobie nie jestem żadnym policjantem.

Naokoło tłoczyli się policjanci, chcąc zobaczyć wszystko dokładnie. Ktoś trzymał wysoko butelkę z plazmą. Pojawiła się nowa twarz.

- Nie puść, synu, tego paska.

- Sierzancie — sprostował Powell.

- Sierzancie, przepraszam. Masz rację. Nie puść go.

- Uspokój się — powiedział Powell do Lelanda. - Masz jeszcze przed sobą wiele lat życia.

Leland nie odezwał się. Chciał coś powiedzieć, ale nagle odebrało mu siły, nie mógł nawet myśleć.

Zrozumiał, że może wszystko już zostawić - odpłynąć swobodnie. Całe długie życie, które dotąd przeżył, zaczęło wolno przesuwać mu się w pamięci. Ktoś go podniósł, toczono go do drzwi. Ktoś trzymał plazmę i biegł koło Powella. Powell uśmiechał się. To ten sam facet, który jeszcze przed chwilą wyglądał tak groźnie.

Leland zamknął oczy. Teraz i później będzie miał czas, żeby pomyśleć o lataniu.